DOLA

Tejże autorki poprzednio wydane:

Płomyk. Z pamiętnika instytutki. Wyd. II, rb. 1·20.
Z pamiętnika niedoszłej literatki. Nowele i obrazki (w druku).

EUGENIA ŻMIJEWSKA

DOLA

POWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ E. ORZESZKOWEJ

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1910

Zmijewska Eugienja

Dola

PRZEDMOWA.

Gdybyśmy mogli wzbić się na wyżyny wysokie, dalekie i z lotu orła na tę ziemię spojrzeć i wzrokiem orlim wnętrza ludzkie przejrzeć, ujrzelibyśmy glob nasz owinięty, jak czerwonym wężem, łańcuchem ludzkich dramatów. Co życie — to dramat, co serce — to dramat: mniejszy, większy, głośniejszy, cichszy, ale wszędzie jest, w każdej nici naszego miliardowego pasma jest. To prawda.

Wśród dramatów ludzkich niezliczonych są nieuniknione, przez żywiołowe siły, przez fizyczne konieczności, przez nieobliczalną grę przypadków sprowadzane, którym żadna moc ludzka zapobiedz nie może, których w zupełności, a części nawet i w części, nigdy z powierzchni ziemi nie zgładzi nikt i nic. To druga prawda.

Ale jest trzecia: ta, że istnieją całe kategorye dramatów ludzkich, które w pewnej części

lub całkowicie rozum ludzki wykreślić z życia może przez oczyszczenie z pierwiastków złowrogich podłoża, z jakiego wyrastają, przez wprowadzenie światła do ciemności, wśród których się rozwijają, przez wypracowanie lepszej równowagi pomiędzy walczącymi w życiu czynnikami, przez mnóstwo środków, które zmniejszają zło na korzyść dobra, boleść na korzyść radości, kłótnię rzeszy na korzyść ich harmonii.

Czy nie w tych to właśnie czynnościach rozumu, gdy do pracy go napędzają sumienie wykształcone i żywiołowe parcie człowieka ku dobru i szczęściu, tkwi właśnie to, co nazywamy postępem? Czy w każdej z nich nie tkwi zaczyn lepszej doli ludzkiej, jaśniejszej ery świata?

Mnóstwo dramatów, które wykreślonymi z życia być mogą, których przynajmniej liczba zmniejszoną, ostrość stępioną być może, rozwija się na podłożu — złego przygotowania młodych istot ludzkich do życia.

Życie, to nie żart, nie bal, nie igraszka, nie sielanka. Życie to kamieniami wybrukowana, kolcami najeżona droga, to — rzecz zawsze surowa, czasem okrutna, to bój, do którego trzeba mieć pancerz i rękawice rycerskie, praca, którą tylko w obfitem świetle i zapomocą wybornych narzędzi, bez ciężkich omyłek wykonać podobna.

Tymczasem, regułą dotąd prawie powszechną jest, że istoty młode w bój ten wstępują, do

pracy tej przystępują — z przygotowaniem w najlepszych wypadkach niedostatecznem, w najgorszych zupełnie żadnem, albo złem. Stosuje się to do płci obu, ale powszechniej i wszechstronniej do niewieściej, niż do mězkiej. Panów świata, źle do życia przygotowanych, spotykamy wielu, lecz pocztowi niewiast, które rozpoczynają życie z naturą i ukształceniem lalek, motylków, koników polnych, gąsek, pawiczek etc. — na imię legion. A tymczasem, aby wziąć się za bary z tą potęgą i, nie dając jej wydrzeć sobie godności człowieczej, wyrwać od niej trochę szczęścia, a przynajmniej spokoju zadowolonego, trzeba być w pełnem znaczeniu słowa tego — człowiekiem.

Istotą nieprzygotowaną i więcej jeszcze, źle przygotowaną do życia jest bohaterka tej powieści, Dola Żalińska vel Płomyk.

Dlaczego Płomyk? Ma to dla bohaterki i powieści znaczenia duże.

Stosownie do fizycznych i psychicznych organizacyi swych, różne różnie wyobrażają sobie życie: jako salę balową, jako łąkę ze strumykiem i słowikiem, jako wulkan, wiecznie wybuchający. Wieczne przyjemności świata i jego zabaw, albo wieczna poezya dni i uczuć, albo wieczne uniesienia namiętności. Do czego która z temperamentu i wyobraźni największy uczuwa pociąg, to sobie o życiu wyobraża, w tem sobie

cel zakłada, ku temu postępki, myśli, marzenia swe obraca, ani wiedząc, ani przypuszczając, że obok i naokoło istnieje mnóstwo jeszcze innych elementów życia, że na ten najbardziej pożądany trzeba czekać, zapracowywać i o niego walczyć, a nieraz i wywalczywszy, tracić, albo wyrzekać się go wypada.

Dola Żalińska posiada ten ustrój fizyczny i psychiczny, który ukazuje życie w postaci wulkanu. Miłość. Bezpamiętna, namiętna, zachwytami bez granic nabrzmiała miłość — i nic więcej. Nie ta miłość zróżnicowana, która, z licznych pokładów duszy ludzkiej wytryskując, oblewa rożne punkty dotykalnego i abstrakcyjnego świata, ale ta pierwiastkowa, ograniczona, osobnikowa, której na imię: on i ona, mężczyna i kobieta.

Gdyby Dola Żalińska przystępowała do życia z zaczątkami tamtej, szerokiej i różnorodnej miłości, możnaby ją nazywać płomieniem; że zaś napełniona jest snami o tej tylko jedynej, otrzymała nazwę: Płomyk.

Płomyk to jest, mający kształty i rysy dziewczyny pięknej. Piękny, wdzięku pełen, łagodny, w dotknięciu niezmiernie miękki, naiwny, o realnościach życia, o realnościach tej samej miłości, której gorący dech całą treść jego wypełnia, nieuświadomiony Płomyk.

Natura dość uboga, mało przenikliwa, przez każde dotknięcie życia, jak przez wiatr trzcina,

chwiana i wstrząsana, natura do najwyższego stopnia niebezpieczna. Bez żadnych świateł, bez żadnych wsparć wewnętrznych, wchodzi w życie. Gdybyż choć o tej miłości, która stanowi jedyny przedmiot jej myśli i marzeń, żądz i dążeń, posiadała wyobrażenie choć trochę do rzeczywistości zbliżone. Ale gdzie tam! Wie o niej tyle, co ślepy o kolorach. Czuje tylko w samej sobie jej płomienny i bezustanny oddech, ale o samej jej istocie, o jej różnych wartościach gatunkowych, o kolejach i bezdrożach, na które prowadzi, nie wie nic.

Z takim leciuchnym, a nakształt żaru gorejącym bagażem wchodzi w życie, w świat. Gdybyż ze wszystkimi strażami i parawanami swymi otaczało ją bogactwo! Ale nie. W świat i w życie wchodzi, jako dziewczyna uboga, ogniska rodzinnego pozbawiona, na chleb codzienny pracować potrzebująca.

Wyobrazić sobie można, co dziać się i stawać poczyna dokoła tego płomyka, tak kształtami i rysami pociągającego, a — bezbronnego. Hej! hej! toż to drugiej połowy ludzkiego rodu ponęta, łup, lep słodki, cel pościgu — karnawał! Młodzi i starzy, pracujący i próżniacy, nikczemnicy, lekkomyślnicy i nawet wcale skądinąd szlachetni, z wędkami, z sieciami przybiegają i — hejże — na tę miłą i tyle obiecującą rybkę!

Tu występuje na jaw cała głęboka i bezgra-

niczna niemoralność dzisiejszego stosunku mężczyzny do kobiety. Zamiast pomocy, przyjaźni, dobrej rady braterskiej, czara piany zatrutej, zmysłowej, brudnej. Pokusy, sidła, fałszywe uwielbienia, pokrywające złośliwą drwinę, drwinę pająka z łatwowiernej muchy, która w pajęczynę nastawioną złapać się pozwala. Dziewczyna piękną jest. Może być ubogą w rozum, wolę, we wszystko, co duchową istotę człowieka stanowi, nic nie szkodzi, jest piękną, więc pożądaną. Gdy wypije podawaną jej czarę zepsucia, gdy upadnie w zastawioe na nią sidła — zginie. Nic nie szkodzi: jest piękną — więc zginąć musi. Ubogą i bezbronną jest — tem lepiej; nieświadomą życia i brudnych jego podścielisk — tem łatwiej i zabawniej; młodą jest — tego właśnie potrzeba.

Bezlitość, bezsercowość, amoralność ucywilizowanych z wierzchu samców, — skądinąd, na innych drogach życiowych, szanownych poniekąd ludzi.

I oto — dramat. Dramat z osnową bardzo poważną i bardzo aktualną. Jeden z tych, których powstawaniu w znacznej mierze, jeżeli nie w zupełności, zapobiedzby można, któreby można z powierzchni ziemi zrzucić. Dramat często powtarzający się w życiu i opisywany w książkach, ale rzadko z taką jak w tej znajomością życia, świata, ludzi i wyrazistością w ich przedstawianiu.

Pierwszy też tom dramatu tego, w formę powieści ujętego, przed rokiem prawie w świat wyszły, spotkał się u czytającego ogółu i u krytyki z powodzeniem bardzo niezwykłem. Przedstawiał sposób, w jaki biedna Dola do życia przygotowaną była, i dawał przedsmak tego, co w dalszym ciągu młodzieńczości spotkać ją musiało. Cała bezmyślność i bezcelowość, bezładność sposobu wychowywania dziewcząt w ścianach domowych. Przejmujący uczuciem gorzkiego żalu, z artystyczną obrazowością skreślony epizod pobytu Doli w zakładzie wychowawczym dla panien, znanym pod nazwą Instytutu Maryjskiego. Ten epizod, ten opis wszystkiego, co w duszyczkach młodych dzieje się i staje wśród ścian Instytutu, należy do najpiękniejszych, najciekawszych ustępów powieści.

Bardzo oryginalny, psychologicznie pogłębiony, smutkiem i nieledwie grozą napełniający. Perły, zda się, czyste, z czystego morza dobyte, a w strumieniu żółci i octu kąpane. Żółć i ocet nie imają się atłasowej duszyczki Płomyka, ale też nie przenika do niej żadna kropla napoju, wzmacniającego rozum i wolę, żaden promień z tych świateł, które rozszerzają widnokręgi i zaostrzają błądzący po nich wzrok. Wstępuje tedy w świat pracy, walki, złych żądz, podstępnych intryg, dziewczyna — dziecko, dziecko słabe, wpółślepe,

mieszkającą w niej siłą elementarną chwiane i targane.

Co tutaj dzieje się z nią i dziać się musi? Opowiada o tem ta druga część powieści. Bolesna historya. Jedna z mnóstwa podobnych. Mieści się w niej myśl społeczna wagi znacznej, ale i dla twórczości artystycznej pole szerokie. Pierwszą, autorka wysnuła z rozumem, a drugie wyzyskała z talentem wielkim. Przedtem już z licznych prac publicystycznych lub treść społeczną mających zaszczytnie znana, przez pierwszy już tom tej powieści, jak przez bramę tryumfalną, weszła w koło powieściopisarzy, czytanych szeroko i przez krytykę głośno oklaskiwanych. Niechże i ten drugi taką samą, gładką i równą, kwiatami usłaną drogą w świat wchodzi i przez świat przechodzi.

Obok wielu innych osnów i obrazów, wśród których — jeżeli wolno mi życzenia, z osobistych pojęć o sztuce pisarskiej, jej środkach i celach wyrazić, — pragnęłabym widzieć nieco mniej — fizyologii, a szczególniej patologii, — znajduje się tu niezwykle pogłębiony obraz tej rzeczy niezmiernie ważnej i niezmiernie złej i krzywej, którą jest powszechnie panujący w epoce naszej stosunek mężczyzny do kobiety, zwłaszcza do kobiety, obdarzonej pięknością ciała, a nie obdarzonej siłą, ani podniosłością ducha. Przysłonięte zwierzchnią polituрą cywilizacyi, istnieją tu

momenty dzikości pierwotnej, dokonywają się usiłowania i czyny, niezmiernie stan i obyczaje jaskiniowców przypominające. Lekkomyślność graniczy tu z występkiem, występek wstępuje w dziedzinę zbrodniczości. Z za osłony salonowego komplementu albo eleganckiej i czasem nawet uczonej drwiny błyskają oczy żarłocznych wilków. Żadnego współczucia, ani braterstwa. Żadnych cugli, na kark pierwotnych namiętności zarzuconych. Amoralność i aspołeczność taka, jakby po tej dziedzinie życia powszechnego fale cywilizacyi, uspołecznienia i chrystyanizmu nie przepłynęły wcale, lub przepłynąwszy, ściekły bez śladu w tę otchłań rozłamów i rozdźwięków, którą jest psychika ucywilizowanego człowieka. Rozłamów i rozdźwięków — gdyż zjawisko tem się bardzo ciekawie komplikuje, że jednak te wilki, które dokoła Płomyka wyją i siecie zastawiają, skądinąd, na innych polach i drogach życia — są ludźmi. Wskazywać się to zdaje, z jak niezmiernie głębokich i trudnych do zniszczenia pokładów organizacyi ludzkiej tryska zjawisko.

Lecz właśnie, im głębiej w naturze ludzkiej osadzone i do zniszczenia trudniejsze jest zjawisko, tem cenniejszy, tem większej uwagi godzien obraz, który je rozumowi i sumieniu ludzkiemu przedstawia, szczególniej jeśli go, tak jak w tej książce, przedstawia z talentem artystycz-

nym po jednej stronie, a po drugiej z tym rozumem, który talent pogłębia i na szalach piśmiennictwa czyni ważkim. Z dowcipem także. Gorzkim, ostrym, nieraz kłującym jest dowcip, z jakim autorka stosunek panów świata do biednego Płomyka przedstawia, ale takiej goryczy można powiedzieć: Szczęść Boże! bo jako środek leczniczy spływa na wielką ranę świata. I takiemu kłującemu ostrzu powiedzieć można: Szczęść Boże! bo przyczynia się do budzenia ze snu sumienia świata.

I słowa te piszę dlatego, aby utalentowanej autorce i tej jej książce, jej zamiarom i przyszłości, drogom jej myśli, serca i talentu, z całego serca powiedzieć: Szczęść Boże!

El. Orzeszkowa.

I.

— Co pani dolega?

— Miewam bóle głowy, krzyża, jestem ciągle osłabiona.

— Ile pani ma lat?

— Dwudziesty pierwszy.

— Panna czy mężatka?

— Panna.

— Jeszcze?

— Tak, panie doktorze.

— Dlaczego?

— Jakto dlaczego?

— Pytam: dlaczego pani dotychczas za mąż nie wyszła?

— Przychodzę do gabinetu lekarskiego nie do konfesyonału.

— A ja nie pytam przez ciekawość. Żeby pomódz, trzeba wiedzieć co zaszkodziło.

— Mówmy lepiej o chorobie.

— Tamto jest jej przyczyną.

— Przyczyną jest — anemia. Cierpiałam już

na nią, będąc dzieckiem. I teraz ciągle mi dokucza.

— Nic pani nie dokuczało poza tem?

— Mówiłam już: bóle głowy, osłabienie. Ach, prawda, zapomniałam, ból w krzyżu i — tutaj, poniżej pasa.

— Tak, pani istotnie anemiczna; dziąsła blade, krzyż osłabiony! Ciężkość w nogach? Prawda? Proszę się rozebrać.

Złotowłosa pacyentka rumieni się, waha.

— Panieńskie ceregiele nie na miejscu. Rozebrać się trzeba. Nie mogę zbadać płuc, serca — przez suknię.

Ręce, drżące, rozpinają stanik.

— Dlaczego pani przyszła sama?

— Bo nie miałam z kim.

— Pani jest sierotą?

— Mam matkę. Nie mieszka w Warszawie.

— A niema tu pani krewnych, znajomych?

— Lato. Wszyscy powyjeżdżali z Warszawy.

— Czemu pani została?

— Czekam na obiecaną posadę.

— Jaką?

— W jednem z tutejszych pism.

— Pani będzie łaskawa położyć się. Ot, tak. Proszę odetchnąć głęboko. Proszę wstrzymać oddech... Muszę znowu zastrzedz się, że nie pytam przez ciekawość: Pani czuje się nieszczęśliwą?

— Skąd pan wie? Wszak nie powiedziałam.

— Jestem od tego, żeby wiedzieć, choć mi nie mówią... Pani bywa często smutna. Chwilami ogarnia panią rozpacz.

— To niema nic wspólnego z bólami krzyża ani boku.

— Zdaje mi się, że *ja* tu jestem do rozróżniania przyczyn i skutków. Albo pani będzie ze mną szczera, albo ta konsultacya jest zbyteczna. To nie salon. Przyszła pani do mnie po radę — muszę poznać dolegliwości, zbadać je do gruntu. Każdy sumienny lekarz postępuje w ten sam sposób. Czy pani jest po raz pierwszy w gabinecie doktora?

— Pierwszy raz – sama.

— Więc dwadzieścia lat? Hm!

— To bardzo dużo?

— Nie, ale dużo dla pani.

— Więcej, niż dla innej?

— O wiele więcej.

— Dlaczego?

— Moją rzeczą jest pytać. Wszak pani schudła?

— Tak!

— Od jak dawna?

— Przed rokiem.

— Ze zmartwienia?

— Tak.

— Z miłości niewzajemnej?

Złotowłosa pacyentka spuszcza siwe oczy i powiekami łzy zagarnia.

Lekarz przygląda jej się badawczo i wreszcie orzeka:

— Pani *musi* wyjść za mąż. To najważniejsze i najpilniejsze. Kobiety z takiemi brwiami potrzebują miłości — koniecznie. Jest nieubłagana celowość w naturze. Przy warunkach normalnych będzie pani zdrową i — śliczną. Po co się pani nastroszyła? To nie kompliment. Dziś jest pani zaledwie — niebrzydką. Warunkami normalnymi dla pani — małżeństwo. Dlatego je przepisuję.

— Czy pan mi nie zapisze — nic więcej?

— Tymczasem będzie pani brała zimne prześcieradła. Gdzie pani mieszka?

— Chwilowo u krewnych, którzy bawią zagranicą.

— Czy pozostawili służbę?

— Nie. Mam posługaczkę przychodnią.

— Jeśli tak, to trzeba chodzić co rano do mego zakładu. Tam będą panią wycierali. Proszę się do mnie zgłosić za tydzień... Adres pani... Mam zwyczaj zapisywać... Przepraszam — od kobiet pracujących biorę połowę tego. ...Dziś mamy wtorek. Proszę przyjść w sobotę — koniecznie, a nieufność może pani zostawić w domu. Gabinet lekarski — i konfesyonał, to jedno.

Doktór wciska przemocą jednego z dwu da-

nych mu rubli w rączkę złotowłosej pacyentki i żegna ją serdecznym uściskiem dłoni.

Dola Żalińska wraca do domu z głową spuszczoną. Nie słyszy ulicznego turkotu, nie widzi przechodniów. Wspomnienia, zbudzone pytaniami doktora, przesuwają przed jej oczyma.

Nie, nie pójdzie już do tego obcego człowieka, który tak brutalnie zagląda w jej przeszłość.

— I jego kuracyi nie chcę i jego ustępstw, — buntuje się złotowłosa.

. . . .

...Z miłości niewzajemnej?

Czemu jednak nie była kochaną?

Śliczna. Kobieca — przekobieca. Upajająca a czysta. Pożądała miłości i wzbudzała pożądania...

Więc czemu?

...Ona to kiedyś zrozumie.

Dziś jej się zdaje, że to największe nieszczęście; że gdyby spłynęło na nią wszystko, co wznieca radość, wszystko — oprócz kochania — odwróciłaby się od wszystkiego, i w niczem nie znalazłaby uciechy.

...Smutno złotowłosej.

Urąga losowi, bo jeszcze nie wie, że szczęśliwym jest nie tylko ten, co rozkoszy doświadcza, ale i ten, komu rozpacz duszę łamie, na krzyżu ją rozpina.

Nie wie, że cierpienie, zarówno jak i radość — to życie.

Nie wie, że nieszczęściem najgorszem — niemoc odczuwania zarówno radości, jak i cierpienia.

Nie rozumie, że póki człowiek pożąda czegokolwiek, nawet bezskutecznie, póty jest szczęśliwy, że to właśnie pełnia życia.

...Czemu nie była kochaną?

Ona to kiedyś zrozumie.

Teraz jej smutno, bo szczęście odleciało. — Ona wierzy, że szczęście jest tylko — jedno; że gdy odleci, nie może wrócić znowu, pod postacią — inną.

Płaczesz, bo jakiś tam pan Kazimierz, z szafirowemi oczyma, kochać cię nie chciał.

Dlaczego nie chciał?

Z czasem to zrozumiesz i uznasz, że wszystko na tym świecie jest — logicznem, jest — konsekwencyą.

Ale dziś płaczesz, przypominając sobie: jak to było...

Ha! co tu w bawełnę owijać, było — nierozsądnie — i bardzo, bardzo... nietaktownie.

A teraz leczysz się na anemię.

Dobrze ci tak, Dolu.

. . . .

II.

— Zaledwie panią odszukałem — mówi dr. Derkacz, po długiem dzwonieniu, wchodząc do mieszkania baronowej Derp, które Dola Żalińska zajmuje w nieobecności wujenki.

— Stróż mi powiedział, że panią znajdę tutaj. Cóż za barykady! — Łańcuchy — samotrzaski... Trzeba pokazać białą łapkę, jak w bajce, żeby się dostać do tej fortecy.

— Po co pan do niej szturmował?

— Bo chcę wyleczyć moją pacyentkę – wbrew jej woli.

— Czuję się zupełnie zdrową.

— Tak nagle? Z Bożej łaski, bez kuracyi? — bo wiem, że pani nie chodzi do mego zakładu.

— Osłabienie było chwilowe. Minęło. Bardzo żałuję, żem zasięgała porady.

— Żałuje pani? Dlaczego?

— Bo nie lubię trudzić nikogo napróżno. Ot, i teraz pan doktór czas traci przeze mnie.

— Naprzód czasu nie tracę, bo go poświęcam choremu, który udaje zdrowego i tem sobie szkodzi. Powtóre, czynię to nie dla pani, lecz przez zamiłowanie do swego zawodu. Tu chodzi o ludzkie życie.

— Aż tak?

— Tak. Wobec dziwnego uporu, muszę oświad-

czyć, że pani jest zagrożona poważną chorobą. Jeśli jej nie stłumimy w zarodku, może się to źle skończyć.

— Śmiercią?

— Może.

— To nie jest złem — najgorszem.

— Pani chce umrzeć? No, naturalnie. Wiedziałem. Ale ja, jako lekarz, nie mogę na to pozwolić. Mamy obowiązek ratowania ludzi od śmierci, nawet wbrew ich woli.

— I wbrew ich szczęściu?

— Pozwoli pani, że o szczęściu nie będziemy mówili tutaj, w przedpokoju, wśród pak i kufrów. W dalszych apartamentach znajdzie się chyba jakie krzesło.

— Proszę, niech pan wejdzie — na chwilę.

— Ja też długo bawić nie myślę. Chcę tylko pani powiedzieć to, czego nie mam prawa przed nią zataić. Pani jest niesłychanie nerwowa i anemiczna. Jakieś ciężkie cierpienie skłoniło panią do zupełnego zaniedbywania zdrowia. Ręczę, że w chwilach dziecinnej desperacyi musiała się pani zaziębiać — naumyślnie.

Rumieniec oblewa przejrzystą twarzyczkę.

— No, tak, — ma się rozumieć. Gdzieżby taka osóbka czekała na ukojenie. Środki gwałtowne — palenie mostów za sobą! Logiczny wynik temperamentu... Ja jednak panią zrozumiałem od razu.

— Co mi grozi?

— Przechodziła pani zapalenie płuc. Prawda?

— Że też pan odgadł?

— Wcale nie odgadłem, tylko wyczułem, przy badaniu. Ale to nie jest złem najgorszem w organizmie. Przypuszczam, że osłabienie, ból krzyża i boku powoduje inna przyczyna. A tej jeszcze zbadać nie mogłem. Na to musimy się lepiej poznać. Czy nikt się panią nie opiekuje?

— Jestem pełnoletnia.

— Ale bardzo jeszcze naiwna i niedoświadczona. To bije w oczy. ...Więc pani leczyć się nie chce?... Woli pani umrzeć. Ale umrzeć nie tak łatwo, jak się zdaje... Chyba...

— Nie, panie, życia już sobie nie odbiorę.

— Już? Zatem pani próbowała.

— Nic już nie powiem. Pan mnie łapie za słówka. Ja się pana boję.

— To także dzieciństwo — naiwność. Przekonywać pani do siebie nie będę. Nie przyszedłem tu na rozmowę. Jako osoba chora, zupełnie samotna — chwilowo, bardzo smutna — także chwilowo, pani ma prawo do mego czasu, do mojej wiedzy. Mogę pani wrócić zdrowie, więc mam obowiązek to uczynić. Przy zdrowiu, znajdzie się szczęście — to kwestya nerwów, trawienia... Pani się oburza? W dwudziestu latach myślimy, że szczęście — to miłość wzajemna, a nieszczęście — zawód miłosny. Szczęśliwy wiek.

Otóż pani żyć nie chce, ale z pewnością chce pani być szczęśliwą. Co?

— Wiem, że już nią nigdy nie będę.

— Tak pani sądzi? No, spróbujmy. Proszę mnie słuchać ślepo, a może ta desperacya minie... Tylko pamiętajmy, że doktór, to nie mężczyzna. Boją go się i wstydzą — tylko dzieci. Pani, taka samodzielna kobieta, powinna mieć więcej odwagi i — ufności. Zapewne panią ludzie skrzywdzili. I teraz w każdym mężczyźnie widzi pani Don-Juana. Ładny mi Don-Juan z siwą głową. Dla mnie już od dawna nie istnieją kobiety — tylko pacyentki. A pani nie jest znowu tak piękną, żeby nawet starego człowieka wyprowadzać z równowagi. Interesuje mnie tylko choroba. Niechże pani o tem pamięta i nie będzie śmieszną. Do widzenia jutro, w moim zakładzie, o 9-ej rano.

. . . .

Tak, doktór odgadł. Chciała umrzeć.

Kiedyś, bardzo dawno — przed trzema laty — zdawało jej się, że widzi to na własne oczy — jej ukochany, jedyny na świecie, tak samo, jak ją, a nawet więcej, inaczej, całował inną kobietę — mężatkę.

Wpadła do pokoju — zobaczyła to — i potem żyć już nie chciała.

Zamiast śmierci, przyszła — gorączka.

Potem maligna zasnuła rzeczywistość, jakby siecią pajęczą.

Co było prawdą? Co złudą? Dola już nie wiedziała, a może — wiedzieć nie chciała. Bo po tem wszystkiem przyszło znowu szczęście, i zatarło tamte obrazy.

Gdy po ustąpieniu gorączki otworzyła oczy i zobaczyła nachyloną nad sobą bladą twarz kobiecą, nie od razu przypomniała sobie, co ją skłoniło do wyjścia naprzeciw chłodnej śmierci w tę noc grudniową. Straciła pamięć. Ale natychmiast, po tem przebudzeniu się z nieświadomości, uczuła w sobie — nieszczęście. Wiedziała, że jej było źle przedtem; że będzie źle teraz — zawsze. Nie pamiętała — dlaczego, ale miała w sobie ból.

...Ta twarz kobieca, nachylona nad jej łóżkiem — gdzie ona ją widziała? Te czarne oczy?...

Głos dźwięczny szepnął:

— Dzięki Bogu!

Ten głos przenika chorą dreszczem — wstrętu.

Ona ten głos zna.

Powoli, stają przed Dolą obrazy, jakby poszarpane na strzępy, a w sercu budzi się żal...

To *jej* twarz. To *jej* oczy. To *ona* — *tamta.* On *ją* całował. *Jej* ręce oplatały *jego* szyję — wtedy.

Widzieć *jej* nie chce. Opuszcza ciężkie powieki, z pod długich rzęs spływają łzy na pobladłą twarzyczkę. Wie już, gdzie jest. Przypomniała sobie wszystko.

— Nianiu, nianiusiu — szepcze, jak dziecię wzywające ratunku.

— Jestem, *detyno* — odzywa się głos bardzo drogi i twarda, spracowana ręka kładzie się na czole chorej.

— Nianiu, ja chcę tylko ciebie — nikogo więcej.

Zaszeleściał jedwab, drzwi skrzypnęły.

Dola usypia.

Śpi długo, bardzo długo, snem krzepkim, uzdrawiającym.

Budzi się wreszcie. I znowu przypomina sobie wszystko, co było przed chorobą.

— Nianiu, czemu ja nie umarłam? — szepce.

— Bo żyć trzeba.

— Ciężko.

— Będzie lżej.

— Nigdy.

— Będzie, Doluniu.

— Nie, nie, nie! Dla mnie już nic niema na świecie.

— Et, nie lubię, jak Dola gada głupstwa.

— To smutna prawda, nianiu.

Jeżeli *ty* tak mówisz, to *ja* nic nie powiem. Ot, napij się rosołku.

— Nie chcę.

— Dobrze! Nie dowiesz się, co było, jak ty chorowała. Nie powiem, kto tutaj, ot, na tem samem miejscu, łamał ręce i za włosy się targał. A ja sobie stoję, patrzę i myślę: — Oj, kocha on ją, kocha. Pokłócili się pewno — jak to młodzi — a ona do okna, w zimie i chce umierać... tak od razu. Niedoczekanie twoje, lubciu. Od czego niania?

— To już daj ten rosół. Wypiję.

— Jak tak, to i ja będę dobra dla ciebie. I nie pożałujesz, serce.

Dola podnosi powieki — nagle, radośnie. Oczy jej duże wydają się ogromne, od cieni, które rzuciła pod nie gorączka; biegną niespokojnie po pokoju, z nadzieją, z trwogą może. Przeszukały wszystkie kąty i znowu ukryły się pod powieki.

— Nianiu, mów! Ale niech tu nikt nie przychodzi. Nie wpuszczaj *Fräulein*.

— Możesz być spokojna, *doniu*[1]. *Frajleina* już nie przyjdzie. Oj, dużo, dużo zmieniło się przez te parę tygodni.

— Nianiu, mów.

— Kiedy — bo nie wszystko można. Ty taka niewinna, aż strach.

---

[1]) Córeczko — po małorusku.

— Możesz wszystko mówić — ja już... straciłam niewinność.

— Rany Jezusowe! Opamiętaj się, Doluniu, a to jeszcze kto posłyszy i, broń Boże, pomyśli, że prawda.

— Bo i prawda.

— Niech Dola głupstw nie gada. Wstyd! Gdzie to się takich rzeczy nauczyła? Ty nawet nie wiesz, co to znaczy.

— To ty, nianiu, nie wiesz, co ja widziałam, co ja robiłam.

— Mów, jak na świętej spowiedzi.

— A nie będziesz się gniewać.

— Mów.

— O sobie mogę mówić; o innych — nie.

— Co mnie do innych. Mów o sobie.

— Nianiu, mnie całował mężczyzna — i... ja jego...

— To taak? To ną to ja ciebie kąpała w nieckach? Na to mama strzegła i *madmazele* następowały tobie na pięty? To ty *taka* wyrosła?

— Widzisz, nianiu, gniewasz się na mnie. A ja jeszcze słaba.

— Detynko, przepraszam. Już nie będę, ale mnie złość porwała... Że ty jego kochasz — to ja już dawno widzę; ale żeby się całować — przed ślubem — panna z takiego wielkiego

domu — jak jaka dziewczyna z *przygrubnika*[1]). Tego ja się po tobie nie spodziewała!... Ot, już nic tobie nie powiem, bo ty jeszcze leżysz; ale jemu, to nagadam.

— Nianiu, zlituj się, nic nie mów jemu. On nie winien.

— Dobrze: nie winien! Cóż — ty jemu wieszałaś się na szyję. Co? On zaczął — znam ja tych podłych mężczyzn, znam. Ty młodzieńka, a on już *zdorowa dubyna*[2]). Ale i ty dobra! Mało tego, że on chciał; trzeba było pokazać jemu figę. Czy ty widziała kiedy, żeby mama, albo niania, albo jaka porządna osoba całowała się z obcym mężczyzną?

— Widziałam, nianiu. Oj, widziałam.

— I ty widziałaś? Toż nie była żadna porządna osoba. Już jej niema. Wypędzili, jak psa. Pani kazała jej spakować się i wyjechać zaraz, żeby i śladu po niej nie zostało... Pan nie śmiał za nią się *zastępować*[3]) — musiał jeszcze dać konie do stacyi...

— O kim ty mówisz, nianiu?

— A — no, o *Frajlenie.*

— Aa!

— Taka *marmuzela*, taka szelma, a i to cie-

---

[1]) Piekarnia.
[2]) Tęgi dąb.
[3]) Wstawiać.

bie lubiła. Aż strach, jak płakała, kiedy dowiedziała się, że ty chciałaś umrzeć! Oj! płakali my wszyscy, nawet ten zbereźnik — pan — szarpał wąsy i na własne uszy ja słyszała, jak mówił: »jedna była na świecie dobra i ućciwa, i tę dyabli wezmą«. Widzisz, nawet *taki* na tobie się poznał. A cóż dopiero inni!

— Nianiu, mów — kto jeszcze?

— A obiecujesz, że nie będziesz się z nikim całować?

— Już nikt nie zechce.

— Oj, takich, co zechcą, nie szukać. Ale choćby chciał i prosił i napierał się — najmilszy, ty od niego uciekaj, bo to grzech... Gdyby ty była umarła z tej gorączki — na psa urok — toby za te całowanie zaciągnęły dyabły do piekła. Taki byłby z tego smak!... Dlatego Pan Bóg ciebie uratował, żebyś ty się mogła poprawić. Już tego więcej nie będzie. *Hodi!* [1])

— Nianiu, czy on mnie kocha?

— Ojoj! i jak jeszcze! Awantury wyprawiał — tu, przy twojem łóżku... Jak ty dostałaś w nocy gorączki — po tem siedzeniu w otwartem oknie — *zduryła, jej Bohu, zduryła* [2]), moja lubcia — on wtedy właśnie nocował... Nad ranem, widzę, źle. Tu trzeba dochtora. Cały dom postawiła ja

---

[1]) Dosyć!

[2]) Oszalała, jak Boga kocham, oszalała.

na nogi. Pani biega, ręce łamie, traci głowę. Nie bardzo ja ją dawniej lubiłam, ale widzę, godna osoba i ciebie kocha.

Dola wzdryga się i znowu opuszcza powieki. Niania prawi dalej:

— ...Wtedy on — ten twój Kaźmirz...

— On nie mój, nianiu.

— Jak ty mnie będziesz przerywać, to nic nie powiem.

— Już nie będę.

— Wtedy on wybiega z pokoju gościnnego — posłyszał, co jest, i zbladł... Mówię tobie, zbladł, jak te płótno, co się bieli na słońcu. I zaraz krzyczy: »Ja pojadę po dochtora«... W pięć minut już jego nie było, a w godzinę — przyjechał z nim dochtór. »Zapalenie płuc — powiada — może być i zapalenie mózgu«. A ty leżysz w gorączce i ciskasz się i krzyczysz: »Nie chcę, nie chcę« i takie jakieś słowa, co ja ich nie rozumiałam. Czysta desperacya! Pani w płacz — nie puszcza do ciebie nikogo — tylko sama chce siedzieć, pilnować...

Znowu dreszcz przebiega po ciele złotowłosej.

— Mówię wtedy: »Trzeba posyłać po naszego pana« — niby po papę. A pani na to: »Poczekajmy, może to przejdzie«... Akurat czekać, kiedy może śmierć za pasem! Nic ja wtedy nie pytam i posyłam kozaka po papę... Przyje-

chał. Pani nie chciała jego puścić tutaj. Powiada: »dla chorej potrzebny spokój«... Biedny papa stał pod drzwiami i — płakał. Słyszysz — płakał — taki mężczyzna uczony, rozumny!... Pani poszła jego uspakajać i przeprowadziła do salonu. Siedzę ja tutaj, przy tobie, i odmawiam koronkę a oczu z mojej detyny nie spuszczam... Skąd ten Kaźmierz wziął się — jak z pod ziemi wyrósł... Ot, raptem, stoi tutaj, na tem miejscu i patrzy, patrzy na ciebie — nawet mnie nie widzi. A potem, jak nie buchnie na kolana przy łóżku, jak nie chwyci twoją rączkę. — Nie słychać żeby całował. Tylko tak usta przylepił do twojej ręki i trzyma... i trzyma bez końca.

A ty rzucasz się w gorączce i wołasz:

— »Więc to tak — to tak«. — »Boli!« I zrywasz się. — Ja do ciebie — a ty krzyczysz: »Nianiu, on nie tylko mnie — on...«. A Kaźmirz jak się nie złapie za głowę. Aż go zamroczyło z tego żalu:

Ja powiadam do niego:

— »Niech pan stąd sobie idzie i nie pokazuje się na oczy«. Bo mnie złość porwała, że całe to nieszczęście przez niego.

On wtedy do moich rąk i całuje... Jak chcę mieć Boga przy skonaniu, tak mówię prawdę: całuje po rękach — *mnie* całuje i mówi do mnie: *pani*.

— »Pani — powiada — ją kocha — pani — powiada — nie dopuści, żeby ona umarła«.

Trochę mnie serce zmiękło dla niego — nie przez te *panią*, ani przez te całowanie rąk, tylko widzę: i on ciebie kocha. Ale nic. Udaję, że się jeszcze gniewam i powiadam:

— »To, póki była zdrowa, nie mógł pan być dla niej dobry, a teraz już nic nie pomoże«.

— »Pomoże — ona żyć musi« — powiada.

— »I będzie pan znowu jej dokuczać...«

— »Nie będę«.

— »Oj! z oka ja już jej teraz nie spuszczę — niech tylko ozdrowieje!«

A on za mną, jak za panią matką pacierz:

— »Niech tylko ozdrowieje!«

Aż tu wchodzi pani. Zdumiała się bardzo, że on tutaj i powiada:

— »Za dużo osób w pokoju«.

I kazała jemu wyjść.

On wyszedł. Potem pani mówiła, że ja jestem zmęczona i że ona sama posiedzi przy tobie. Udałam, że dobrze — ale przysiadłam za drzwiami, i, co ty zajęczysz, albo krzykniesz, to ja biegnę.

— A potem, nianiu? Mów...

— Potem — pani zobaczyła, że ja nie odstąpię i siedziały my we dwie przy tobie do rana.

— A potem co?

— Potem znowu był dochtór.

— I nikt więcej?

Papa codzień przyjeżdżał — cztery mile. — Ot, jak on ciebie kocha. Wracał po nocy, w zadymki — a przyjeżdzał — ale pani nie puszczała jego tutaj. Bywało papa stoi i stoi pod drzwiami, ręce założy na krzyż, głowę spuści i stoi. Pani jego nie puszcza. Przeprasza, ale nie puszcza.

— A potem? Nikt więcej już mnie nie żałował?

— Wszyscy. Cała służba, nawet kuchcik Sydorek.

— Nianiu, już jestem zmęczona — chcę spać.

— Śpij, lubko.

. . . .

Kocha! Kocha!

Żyć warto!

— Dzięki Ci, Boże, żem nie umarła, żeś mnie nie wysłuchał!

. . . .

I wracały młode siły. Przyszło zdrowie.

Gdy po raz pierwszy wstała i, ze spuszczonym złotym warkoczem, z oczyma powiększonemi jeszcze przez chorobę, wpatrzonemi jakby w zaczarowaną krainę marzeń i tęsknot, wyszła ze swego pokoju, gdzie przeleżała trzy tygodnie, była ładniejsza, niż przed tem.

W domu zapanowała radość. Tę śliczną, miłą nauczycielkę kochali wszyscy, nawet uczennice, które przedtem słuchać jej nie chciały. Teraz nabrały dla niej szacunku, całowały ją po rękach.

Dola była wzruszona, a jednak w swem postanowieniu niezłomna.

...Opuści ten dom — wszak to jej nakazuje miłość własna, jeśli już nie miłość zraniona, zdeptana.

Nie może być pod jednym dachem z kobietą, która zdradziła nie tylko męża, lecz i ją — przyjaciółkę.

Rzecz dziwna, Dola miała już urazę wyłącznie do *niej* nie do *niego*. Toć płakał przy jej łóżku — całował po rękach jej nianię.

Dotychczas Dola unikała spojrzenia swej rywalki. Udawała, że śpi, gdy pani Dropińska przychodziła ją odwiedzać w chorobie.

Ale teraz muszą się spotkać oko w oko. Bryznie jej całą swą wzgardę, powie jej co myśli o takiem postępowaniu.

A potem... potem trzeba będzie wyjechać w świat szeroki. Już nigdy nie zobaczy *jego*.

To okropne!

...Jeszcze dzień jeden... Może on właśnie dziś przyjedzie...

Może przeprosi wytłómaczy...

Jakże tu zresztą bryzgać pogardą, gdy

wszyscy tacy dobrzy, serdeczni!... Nawet pan Dropiński — ten nieokrzesany koniarz, który wpierw nigdy ust do niej nie otworzył. I on dziś bardzo mocno za rękę ją uścisnął i powiedział:

— No, nie tylko złego dyabli nie biorą — czasem i dobrego.

. . . .

Dola rozważała długo, jak przywitać się z panią Martą Dropińską.

Po długich namysłach, postanowiła — podać rękę. Inaczej nie sposób — ale tylko końce palców... same koniuszki...

Z tem postanowieniem wyszła rano do sali jadalnej.

Ale — pani Marty — przy śniadaniu nie było. Podobno, miała migrenę. Nie pokazała się przez dzień cały.

O zmroku, gdy Dola siedziała w buduarku, zadumana i bardzo jeszcze osłabiona, a w domu było cicho (bo dzieci pojechały na spacer z nową boną Francuską) — usłyszała leciutki szelest jedwabiu.

Serce zabiło w niej mocno. Chciała zostać, zmierzyć tę kobietę spojrzeniem dumnem, odwrócić się, i — wyjść z pokoju.

Zanim zdołała to uskutecznić, silne ramiona

oplotły jej szyję, i głos bardzo ciepły, dźwięczny, szepnął:

— Moja ty droga, kochana!

Chciała wyrwać się z nieszczerego uścisku. Tamta, była silniejsza, przyklękła obok niej i przytuliła ją mocno.

Dola broniła się jeszcze, odwracała głowę. Pani Marta przygarnęła ją do piersi.

Zamiast pogardy, z serca złotowłosej wypływał cichy żal nad utraconem złudzeniem. Zacisnęła zęby — na nic się to nie zdało — gorzkie łzy popłynęły rzęsiście.

A pani Marta tuliła ją coraz serdeczniej. Dola broniła się coraz słabiej, wreszcie, już bronić się nie mogła, i nie chciała.

Zrobił się w niej spokój. I znowu, jak po słowach niani, jak często podczas powrotu do zdrowia, przyszło jej na myśl, że to, co *niby* widziała na własne oczy, to co jej pokazała Niemka, — ten uścisk miłosny pana Kazimierza z kobietą, która ją trzymała teraz w objęciach, że to było przywidzenie, początek maligny.

I dobrze jej było z takiem zwątpieniem w świadectwo oczu własnych, z rodzącą się znowu wiarą w ludzi.

Pani Marta gładziła ją po głowie.

— Moje drogie maleństwo — szeptała — moja córeczka — bardzo jeszcze słabiutka, ale z dniem

każdym będzie lepiej — będzie zupełnie dobrze... Tyś do szczęścia stworzona — wszyscy cię kochają, a ten jeden, jedyny, ten drogi...

Dola wzdrygnęła się znowu.

— Nie mówmy o nim; nie mówmy — szeptała błagalnie.

— Mówmy właśnie. To najważniejsze. Ty nie wiesz, jak on cierpiał...

— Wiem!

— Już?... Czy pisał?

— Nie. Mówiła mi niania.

— Skądże ona?...

Chłód powiał nagle z głosu pani Marty.

Doli zrobiło się zimno, i strach ją ogarnął... Powiedziała znowu za dużo.

Nie nauczy się nigdy rozumu. Przed chwilą gardziła tą kobietą, a teraz okazuje jej zaufanie nadmierne, zdradza przed nią tajemnice najświętsze.

— Nie lubię, gdy sługi mieszają się w nie swoje rzeczy — mówi tym samym, chłodnym głosem pani Marta.

— Niania, to nie sługa.

— Prosta kobieta — nie można z nią wchodzić w konfidencye.

— Ona mnie kocha prawdziwie, to też wszystko jej mówię.

— Wszystko?

— O sobie.

Lekkie drgnięcie powiek pani Marty, tak lekkie, że go nie spostrzega Dola. Zresztą, choć powiedziała te słowa naumyślnie, choć chciała je zanurzyć jak sondę, w głąb serca tamtej — powiedziawszy, nie śmiała spojrzeć jej w oczy. Przelękła się.

— Niania ciebie kocha — wiem — mówi pani Dropińska głosem już zupełnie spokojnym i ciepłym. — To bardzo dobra kobieta, ale, wierzaj mojemu doświadczeniu, taka powiernica może ci tylko zaszkodzić głupotą, zbytnią gorliwością. Wszak masz — mnie. Będę ci służyć radą, jak matka, pragnę kierować twymi krokami. Ty jesteś jeszcze bardzo dziecinna.

— O, nie, już nie. Poznałam ludzi...

— W gorączce? W łóżku?

— Przed gorączką.

Aż strach Doli, że to powiedziała.

Ale pani Marta nie rozumie aluzyi — patrzy jej w oczy otwarcie, szczerze.

— Domyślam się — powiada, wyczytawszy w nich jakby tajemnicę. — Domyślam się, do czego zmierzasz. Cierpiałam w milczeniu — nie robiłam ci żadnych zwierzeń — szanowałam twoją niewinność.

Serce zamiera w Doli... Więc nadeszła chwila wyjaśnień.

Brak jej odwagi i żal, żal okropny, że będzie musiała powiedzieć to słowo, po którem nic

innego nie pozostanie, jak opuścić Bołhan... I nigdy już może nie zobaczy — jego.

Wyjedzie w chwili, gdy zaczął ją kochać naprawdę, gdy, dzięki jej chorobie, własne serce poznał...

— Ale trudno. Trzeba! Trzeba! — utwierdza się w duchu.

A pani Marta, nie dostrzegając widocznie tego pasowania się Doli, mówi ze smutkiem i rezygnacyą:

— Z twoich słów widzę, że wiesz, że spostrzegłaś już sama. To zresztą było widoczne, tylko tak naiwne stworzonko, jak ty, mogło nie zobaczyć od razu.

...*Co* ona powie? *Jak* ona *to* powie? Jak ona może mówić o tem spokojnie... bez wstydu? — myśli Dola.

— Cały dom widział - ciągnie dalej pani Marta — ja zamykałam oczy, bo już mi brak sił do walki... bo to tak ciągle... Nie z tą, to z inną... Już taki zwyczaj — nałóg...

Co to znaczy? Więc *on* — całuje — *każdą?* Tembardziej pani Marta nie powinna była mu pozwalać całować i... siebie.

— Ja już tak się morduję od lat dwunastu... Zaczęło się to prawie nazajutrz po ślubie.

...Co? Co? Czy to dalszy ciąg maligny?

— Młodziutka jesteś, moje dziecko - ale jednak uważam sobie za obowiązek ci to powiedzieć...

Wolę żebyś się o tem dowiedziała odemnie, niż od — niani...

Dola coraz mniej rozumie...

— On dotychczas ciebie oszczędzał — uważał za gąskę...

...Za gąskę — *on* — *ją?*

— Ale po nim wszystkiego spodziewać się można... Miej się na baczności... Wszak sama na własne oczy, widziałaś, co wyprawiał z *Fräulein?*

— Kto? O kim pani mówi? — woła Dola, miarkując wreszcie, że zachodzi jakieś nieporozumienie.

— Przecież wiesz o kim mowa? Po co mnie zmuszasz do nazywania ran po imieniu?... Od pierwszej chwili, instynktem czystej duszy unikałaś mojego męża...

. . . .

Co to wszystko znaczy? Jakim sposobem, skąd wszedł do tej rozmowy — pan Dropiński. Taka marna, nieznaczna figura... Któżby się zastanawiał nad tem co on robi!

...Dola przypomina sobie: widziała pana Dropińskiego z Niemką, kiedyś, jak szli w gęstą aleję... Zapomniała o tem zupełnie...

...Więc to było tak... To dlatego wypędzono Niemkę..

...Dlatego... A przecież i ona, Dola, całowała obcego mężczyznę.

...Tak, ale nie był żonaty, i... nikt tego nie widział...

Złotowłosa czuje się nagle bardzo winną — podwójnie: i tych pocałunków i — bezkarności.

...Gdyby wiedziano, że i ona także — i ją odesłanoby na stacyę...

...Ale wszak i pani Marta...

Czyż naprawdę? Czy mówiłaby z takiem oburzeniem o innych? Czy patrzałaby na nią tak otwarcie?

I któż jej, Doli, chciał otworzyć oczy? Kto, pod fałszywym pozorem kazał jej wejść do buduarku, zobaczyć uściski tych dwojga — pani Marty i *jego?*... Kto? — Ta sama Fräulein...

Bezwstydna, obrzydliwa dziewczyna!

...Bezwstydna?

Tak samo, jak i ona, jak Dola...

Nie, gorsza: bo pan Dropiński żonaty, i taki prostak, głupi!

...Ale i Fräulein głupsza od niej -- prosta dziewczyna...

...Boże! jak tu sobie poradzić z myślami? Jak trudno sądzić ludzi i siebie! Jakie to wszystko zawiłe!

Skoro tak bywają karane pocałunki, ona, Dola ma obowiązek przyznać się przed panią Martą — i karę ponieść – w świat odjechać. W świat daleki, szeroki...

Przed chwilą jeszcze tę samą panią Martę

sądziła, potępiała. Teraz — siebie chce przed nią oskarżyć... Jaka to trudna rzecz — życie...

I znowu Doli żal, że nie umarła.

. . . .

Pani Marta nie widzi jej rozterki. Zapatrzona przed siebie, w szarą mgłę wspomnień bolesnych, gładząc ręką puszyste włosy nauczycielki, mówi ze smutkiem:

— Ty jeszcze nie wiesz, co to gardzić...

Przed chwilą zdawało się Doli, że wie. Teraz już wątpić zaczyna.

...— Gardzić, a mieć obowiązek szanować i — kochać, obowiązek zastrzeżony przysięgą... To piekło... — mówi pani Marta. — Wydali mnie za mąż — miałam lat siedemnaście. Nie znałam życia... Ot, był młody, niebrzydki, ładnie tańczył... Szalał za mną... Mówił, że mnie na rękach nosić będzie... Rodzice mówili, że on mnie złotem obsypie... W domu było skromnie, a ja lubiłam zbytek... Nie usprawiedliwiam się — nie. To było bardzo źle z mojej strony... Kara przewyższyła winę... Że on jest niewykształcony, prostak, że nie mamy ze sobą nic wspólnego — o to mniejsza. Byłabym się przywiązała — zamknęła oczy i uszy... zniżyła się do niego... Miałam najlepsze chęci... Wierzyłam, że on mnie kocha. Pragnęłam i ja go pokochać!... Nazajutrz po ślubie — stojąc w oknie, ot tam,

zobaczyłam, jak pędził za dziewką folwarczną — jak ją dogonił i... uszczypnął, a potem do stajni zaciągnął...

Dola odrętwiała ze zdumienia.

...Szczypał? — Dlaczego?

Było jej wstyd, i przykro i straszno, jak gdyby dowiedziała się o czemś potwornem — naprzykład, że ktoś z jej znajomych kradnie. — Albo, jak gdyby stanęła przed kałużą i... bała się, że ją błoto obryzga...

Czemu takie rzeczy dzieją się na świecie?

...Całować, źle bardzo — grzech. Ale już szczypać z miłości — obrzydliwie!

. . . .

A pani Marta mówiła dalej, i coraz smutniej...

...— Patrzyłam na takie sceny po parę razy na dzień... Wcale się nie krępował, nie wstydził... Bałam się nieraz wejść do pokoju, żeby go nie zastać z — mamką, niańką, pokojówką... Ma pociąg wyłącznie do izby czeladnej... Po całej wsi biegają jego dzieci...

Jakto — jego dzieci? Więc dzieci można mieć nie z żoną, nie z mężem? — dziwi się Dola.

W domu jej rodziców, panna służąca Ludwiczka, miała dziecko. Mówiono wtedy Doli,

że ona nie jest panną, że ma męża — w ukryciu, pod sekretem.

...Doprawdy, tyle jest rzeczy na świecie niezrozumiałych - nawet dla 17-letniej panny i do tego nauczycielki.

...Biedna pani Dropińska!

. . . .

... - Tobie pierwszej to mówię, bo sama widziałaś na własne oczy — ciągnie dalej pani Marta — weszłaś do tego domu, jak promień słońca, jesteś moją jedyną pociechą. Tak mi z tobą dobrze! Gdybym była egoistką, nie cieszyłabym się myślą, że pan Kazimierz cię zabierze.

...Znowu serduszko Doli bije, dzwoni — na trwogę, czy na radość... Szalone!

— Nie wiem, co pomiędzy wami zaszło i pytać nie chcę... Jakaś drobnostka zapewne... sprzeczka... Oj! młodzi! Niania mówi, że zaziębiłaś się naumyślnie... Wątpię, żebyś była tak dziecinną... ale choćby nawet. *Tout est bien, qui finit bien.* A w dodatku: niema złego, któreby na dobre nie wyszło: on w ciągu twej choroby poznał własne serce, dowiedział się, że cię kocha naprawdę. Ma jeszcze do zwalczenia różne trudności. Będzie musiał — albo ożenić się wbrew woli matki — a sądzę, że ty się

na to nie zgodzisz — albo zwalczyć jej opór. Ona chce go ożenić bogato — ma już upatrzoną *heritierę*. Bo wiedz o tem, zostając żoną pana Kazimierza, nie zrobisz świetnej partyi. On jest zrujnowany — *tout bonnement*. Będziesz musiała zakasać rękawy. Czy potrafisz? Za kilka miesięcy, jeżeli nie weźmie panny bogatej i długów nie spłaci, wierzyciele, Żydzi, wystawią mu majątek na sprzedaż. A wtedy, co? Może za pozostałe parę tysięcy weźmie *posesyę* [1]), a może będzie musiał pójść w służbę... Ciebie to nie przestrasza? naturalnie. Jesteście młodzi, kochacie się. Jakoś to będzie... Powiem ci nawet — wszelkich starań dokładam, aby do tej licytacyi nie doszło. Ja sama, jak wiesz, nic nie mam, ale mój mąż bogaty. Ma leżące kapitały... Namawiam go, proszę, żeby pożyczył panu Kazimierzowi na spłatę najpilniejszych długów lichwiarskich... Gdyby się licytacya odwlokła, choć o rok jeden, może przyjść urodzaj, jak to u nas, i nieszczęście zostanie zażegnane na czas dłuższy... Mój mąż waha się, nie widzi w tem dla siebie interesu. On zawsze i wszędzie chce widzieć interes. To jedno istnieje dla niego na świecie — no, i dziewki folwarczne i konie... Ja jednak nie tracę nadziei, że go namówię. Znam na niego jeden sposób, skuteczny, i użyję go

---

[1]) Dzierżawę.

w ostateczności, choć mi jest wstrętny... Ale dla ciebie gotowa jestem na wszystkie ofiary... Ty musisz być szczęśliwa — jesteś stworzona do miłości... Ale, ze względu na matkę pana Kazimierza, radzę nie mówić nikomu, że się kochacie...

— Nie, nie... on mnie nie kocha... Ja wiem — napewno.

— Tak mówią zawsze kobiety kochane... Zresztą przekonasz się... On ci sam powie.

. . . .

...Kocha ją... — Ma jej to powiedzieć... czyż ona w takiej chwili może opuszczać Bołhan — dla przywidzenia, poświęcać szczęście już — blizkie!

...On ją kocha... Wszak mówiła to nie tylko pani Marta, lecz i niania...

Powiedział i on sam — w kilka dni potem.

. . . .

Pani Marty nie było w domu. Pojechała z wizytą bardzo daleką. Dola siedziała w buduarze o zmroku... wtem doleciał ją turkot. Uczuła od razu, że przyjechał — *on*.

Chciała biedz do swego pokoju, nie wiedziała sama dlaczego — czy żeby włosy poprawić, czy żeby uciec przed nim, choć go tak bardzo zobaczyć pragnęła... Zdało jej się nagle, że nie ma

jeszcze dość sił, aby go widzieć. Przelękła się — szczęścia.

Drżała ze strachu, z radości, drżały jej nogi, ręce. Biegła ku drzwiom. Już była przy portyerze, gdy nagle znalazła się na jego piersi, w jego ramionach... Nie słyszała jego kroków... Przyskoczył, schwycił ją z tyłu, głowę jej przechylił i wpił się wargami w jej usta — jak wtedy... pod kaplicą. A ona zapomniała znowu o świecie całym, o wszystkiem. Zdało jej się, że tamte pocałunki były wczoraj, że nic po nich złego nie zaszło.

Radość weszła do jej duszy smugą świetlaną, rozgwarem wszystkich soków żywotnych, zatargała jej nerwami, obudziła ją do szczęścia, do życia i — ubezwładniła zarazem.

Któżby się kochaniu opierał?

Nie ona, nie ona z pewnością.

W pokoju było cicho — tylko dwa spojone ze sobą oddechy dyszały rozkoszą, wsączały żar do krwi, rozpalały ją ogniem pożądania.

Całował. Wypijał z niej cały ból, całą rozpacz ostatnich tygodni, całą niemoc. Odbierając jej siły, wlewał w nią — życie.

Warto, warto wyzdrowieć bodaj dla takiej jednej krótkiej chwili.

...Była krótką — tak im się zdawało. Trwała tak długo, że Doli tchu zabrakło.

On uczuł, że wiotka postać słania się, i pod-

trzymując ją wpół, przyprowadził do fotelu. Objął jej kolana, głowę w nie wtulił, i tak klęczał. A ona siedziała cichutko. Jedna ręka zwisła na sukni, druga spoczywała bezwładnie na jego ramieniu; podnosiła się i opadała w takt jego oddechu.

...Klęczał u jej nóg — *on* — ten sam, przez którego tyle wycierpiała...

Może ją oczy mylą?

...Serce nie myli — nie.

Powtarzała sobie w myśli:

— To on... To on! Kocha!

I miała w duszy błogość...

...Niech tak klęczy jak najdłużej!...

...Niech nic nie mówi... Wyczuwała każde uderzenie jego serca. — W tem sercu jest — ona.

...Cisza, rozkosz — on...

Rozwiała się ciemna czupryna — podnosi się droga głowa... Do uszu Doli wpada szept cichy...

— Biedactwo! Moje biedactwo!

Taki słodki szept!

Po raz pierwszy od dawna — spotykają się ich oczy...

Nie... czyż doprawdy? Te szafirowe, ukochane — szkliste są, wilgotne.

...On płakał nad nią... On, taki silny, niezłomny!

...Taki dobry, jedyny!

— Wzięłaś mnie, dziewczyno — szepce — wzięłaś całego — i już teraz na zawsze. Musisz być moją — moją... żoną!... Co mi tam inni... świat cały? Mnie trzeba ciebie — jednej... Muszę mieć!

I całował jej ręce wychudłe, i znowu szalał, zapamiętywał się aż do bólu... I ona z nim... i życie było takie piękne... i nic nie zmąciło tej radości.

Długo siedzieli sami. Dzieci były daleko, w swoim pokoju.

Niania zaglądała niepostrzeżenie... raz i drugi... Zdaleka żegnała ich znakiem krzyża i odchodziła na palcach, szepcąc za nich pacierze.

. . . .

Nie chciał czekać na powrót pani Marty. Odjechał, mimo ciemnej nocy i złej drogi. Odjechał, ale miał przyjechać za dni parę, miał często odwiedzać — narzeczoną.

...Jest narzeczoną!... Jego narzeczoną!

A potem będzie szczęście większe — jeszcze niepojęte, niezrozumiałe, a już pożądane.

...Będzie?

. . . .

Tak pięknie zapowiadało się życie Doli. I oto zaciążyło jej znowu. I złamana, przychodzi po

zdrowie, choć go nie pragnie, choć wolałaby umrzeć.

Już raz zawiodła się. Uwierzyła znowu i to temu samemu... Znowu chudnie i płacze. I znowu jej źle...

Dobrze jej tak. Będzie miała naukę na przyszłość...

...Ej! Gdzietam!

. . . .

III.

— Płomień! Istny płomień w postaci kobiecej! — woła od progu dr. Derkacz, któremu otwiera drzwi Dola, ubrana w szlafrok ponsowy, oszyty taśmą złocistą. — Aż oczy bolą od blasku — mówi doktor, kiwając głową i przypatrując się swej pacyentce. — I taka kobieta za mąż nie wychodzi!... No, jakże się tam pani czuje po dwutygodniowej kuracyi?!... Miała pani przyjść do mnie we wtorek... Czekałem napróżno... Zaczynam doprawdy przypuszczać, że jestem — straszny... Zrobiły mnie takim same pacyentki. Gdy się jest doktorem kobiecym, trzeba wzbudzać postrach — to samoobrona. Inaczej oneby nade mną przewodziły, nie ja nad niemi. Przedewszystkiem nie można pacyentek dopuszczać do słowa, bo konsultacya trwałaby po kilka godzin.

To też nie pozwalam im mówić — każę tylko odpowiadać na pytania... Pierwszy raz spotykam taką, która i na pytania odpowiadać nie chce. Cóż dziwnego, że mnie pani zaciekawia... Pani wciąż stoi na stanowisku obronnem, choć napastnika niema... Musiała pani mieć do czynienia z okropnymi zjadaczami kobiet... Więc tacy są Ukraińcy!... U nas — inaczej! Z braku czasu, miłość wyszła z mody... A jakże tam sprawa z zamążpójściem?... Zdecydowała się pani?

— I toby nie pomogło. Do małżeństwa potrzeba dwojga decyzyi.

— A tamten drugi decydować się nie chce. Głupiec! Nie domyśla się, jakby mu było przyjemnie! Chyba zmarniał ród męski... Coprawda, mało wiem o nim. Od lat dwudziestu mam do czynienia — z pacyentkami wyłącznie.

...No, wie pani, że to nareszcie nudne! Nic i nic! Muszę sam pytać i odpowiadać. Siedzi pani, milczy, z nadąsaną minką... Chce pani pracować wśród mężczyzn, to trzeba się z wielu rzeczami oswoić. Taka *Sainte Nitouche* dobra do klasztoru, a nie do redakcyi »Brzasku«.

— A skąd pan wie, że ja mam wejść do redakcyi »Brzasku«.

— Ja wiem wszystko. Proszę to zapamiętać. A i to wiem jeszcze, że tam pani nie czekają z radością. Nie chce im się nabierać manier. Wolą chodzić bez tużurków i krawatów i sypać

tłuste dowcipy, niż patrzeć na ładną panienkę — bo jednak pani jest ładna — zwłaszcza w tym szlafroczku... Otóż musi pani być przygotowana na różne przykrości... Nie tak łatwo wkraczać w męską grzędę, jeśli się na niej nie depce, jako gęś lub kokoszka. Brak pani pazurów. Te oto pazurki, wypolerowane, złamią się. Pani wogóle nie jest typem bojowniczki o tak zwane »prawa kobiece«... Do haremu — do alkowy — a nie wycierać łokietkami redakcyjne biurka... *Une grande amoureuse* — to społeczne zadanie osoby z takiemi brwiami. Nie trzeba nigdy wychodzić ze swojej roli. To się mści. A w dodatku ostrzegam, że towarzystwo mężczyzn jest dla pani nie tylko niebezpieczne, ale i — niezdrowe.

— Niezdrowe? A to dlaczego?

— Czy pani doprawdy niewiniątko, czy to panieńskie udawanie?

— Ja nigdy nic nie udaję... Gromili mnie za to; uczyli, jak się to robi... I ja sama chciałam się nauczyć — nie mogę — nie potrafię! Nie mam do tego zdolności.

...— Ha! i takie bywają! Co prawda nie miałem z niemi do czynienia... Gronostaj — biały łabędź. Nie wiem, jak mówić z taką panienką ślicznie wychowaną, która ma lat 20, od lat trzech pracuje na siebie wśród obcych, chce wstąpić do czysto męskiej redakcyi, a nie rozumie najprostszych rzeczy w naturze. I z pewno-

ścią matka i nauczycielki chlubią się, że panią wychowały tak skromnie. Gdyby im kto, naprzykład ja, powiedział, że zgotowały tem zgubę i zdrowiu pani i tej, tak świetnie strzeżonej, moralności, wezwałyby pomsty Boskiej na takiego bluźniercę. Ha! życie wskaże, kto się mylił — one, czy bluźnierca.

...I pani tak ciągle sama?

— Wujostwo zostawili służącego, ale nigdy go w domu niema — nie wraca nawet na noc.

— Pani się nie boi?

— Cóż mi się stać może?

— Jest pani odważna. Nie lęka się pani lwów ani tygrysów — tylko ludzi... mnie naprzykład... A mnie właśnie bać się nie trzeba... Powtarzam to za każdem widzeniem — bezskutecznie... Właściwie ja od pani nic nie wiem — o pani. Nic zgoła. Znamy się od miesiąca. Widuję panią po parę razy na tydzień. Badam... przyglądam się... monologuję... Czy pani myśli, że to zabawne przychodzić tutaj i słyszeć — tylko siebie?

— Czemu pan przychodzi?

— Wiem, że pani miałaby ochotę wyrzucić mnie za drzwi. Ale ze mną, gdy się uprę, sprawa niełatwa. A właśnie uwziąłem się panią wyleczyć.

— Czuję się zdrowszą.

— I chce pani, żebym sobie poszedł? A ja

pani powiem, że takie sypanie szańców, gdy nikt nie myśli o ataku, jest po prostu śmieszne i parafiańskie. Czy tak nakazuje edukacya wstydliwa, szlachecka?

— Ja pana bardzo proszę, żeby pan raz na zawsze przestał wyszydzać moich wychowawców i moje wychowanie. Jestem taką, jaką jestem. I dobrze mi z tem.

— O! Bardzo! Świadczy o tem i zdrowie i te zabiegi o trzydziestorublową pensyę w redakcyi »Brzasku«... Że też pani albo nic nie mówi, albo jak się odezwie, to z komunałem, znoszonym przez stare ciotki. Czy pani nie ma już nic innego do powiedzenia? Chwilami zdaje mi się, że pani mało inteligentna. — Pastelowy obrazek — bez duszy... Choć nie. Byłaby pani zdrowsza... Więc po co opierać się głosowi natury? Szkoda marnować życia... Pożałuje pani tego po niewczasie.

. . . .

...Żałowała już i dziś... Ale cóż mogła w tem swojem smutnem życiu zmienić, teraz i dawniej — w przeszłości?

...Za każdem widzeniem, doktór powtarzał jej, że opiera się swym przyrodzonym instynktom, że bluźni własnej naturze.

...O nie! Aż za bardzo poddawała się jej wezwaniom. Szła zawsze za podszeptem pragnień — szalonych, marzeń — niedorzecznych.

Cóż jej z tego przyszło?

Co przyszło?

Czy sama sobie życie zepsuła — czy — jej ludzie? Jakże to było?

. . . .

Jak było?

Po tem pojednaniu z panem Kazimierzem nie chciała myśleć, pamiętać. Zamykała oczy — i była szczęśliwą.

Padła w otwierające się przed nią ramiona. Zapomniała o przestrogach swojej starej przyjaciółki pani Wolińskiej: że »mężczyznom ufać nie można i że, chcąc z nimi dojść do ładu, trzeba zawsze robić to, na co się niema ochoty«.

...Byli narzeczonymi. Dał jej nawet pierścionek — śliczny, staroświecki: pośrodku duży rubin, a od niego szły promienie z brylancików, tworząc jakby gwiazdę. To była gwiazda jej szczęścia. Nosiła ten pierścionek na palcu tylko w nocy, bo prosił i przykazywał, aby we dnie zawieszała go na łańcuszku z medalikami.

Tak chciał. Nie opierała się jego życzeniu.

Pani Marta była dla niej, jak siostra. Osłaniała ich zawsze swemi skrzydłami, a dbała o dobrą sławę Doli nie mniej chyba od pani Wolińskiej.

Nie zostawiała ich nigdy sam na sam.

— Niech wam się zdaje, państwo narzeczeni,

że mnie tu niema — mówiła do nich, gdy pan Kazimierz przyjechał pierwszy raz po porozumieniu się z Dolą.

Usłyszawszy taką zachętę, zerwał się z fotela, zaczął biegać po pokoju, wreszcie stanął przed panią Martą.

— Jacy narzeczeni? — burknął. — Skąd ta wiadomość? Czy z garderoby? Pani łaskawa, w naszej sferze — mojej i panny Adeli — nikt nie powtarza plotek ani się narzuca z opieką, gdy go o to nie proszą.

Ostre odpowiedzi ani przycinki nie zrażały pani Marty. Rozpościerała wciąż nad nimi swe skrzydła opiekuńcze.

— Nie płoszcie się. To ja! Tylko ja! — mówiła innego dnia, wchodząc do pokoju, w którym siedzieli. — Zawadzam — z pewnością, ale chcę być... wizykatoryą, odciągającą gorsze skutki. Gdyby kto przyjechał, zobaczy, że siedzimy we troje... A teraz odwracam się do was plecami. No, no, nie krępujcie się...

— Niechże pani da pokój z tą inscenizacyą! — wybuchnął. — Nie lubię pisać pod dyktandem, a tem mniej występować w rolach narzuconych.

Dola nie mogła zrozumieć, dlaczego p. Kazimierz mówi rzeczy tak dla niej bolesne.

Wszak ona mu się nie narzucała. Sam powiedział, że się z nią ożeni. A teraz... żałuje

widocznie. Chce się cofnąć. Jest niedelikatny nie tylko dla niej, ale i dla pani Marty. Co się stało?

Rzuciwszy jej te słowa, chodził po pokoju, targał wąsa, wciąż zapalał gasnący papieros. Po chwili zaczął mówić z panią Martą o czemś zupełnie obojętnem. Wreszcie pożegnał się i wyjechał.

Przez następne dwa tygodnie nie pokazał się.

Pani Dropińska radziła Doli napisać, że za nim tęskni.

Pokusa była wielka, ale jeszcze większa obawa, aby nie pomyślał, że: »narzucają mu rolę«.

Wreszcie przyjechał sam, bez wezwania.

Był dla Doli bardzo chłodny. W ogólnej rozmowie przycinał jej.

Mówiono o projektowanym balu kostyumowym.

— Ty, Dolu, musisz się przebrać za Wenecyankę — proponowała pani Marta.

— Może lepiej wystąpić, jako obłok, bo wciąż wisi w obłokach albo — jako łzawnica: o byle co już oczy we łzach pływają, — burknął złośliwie.

Innego dnia, wśród rozmowy z panią Martą o beletrystyce, Dola zarzuciła Estei brak wyobraźni...

— Bo pani zachciewa się romantycznych przygód — wtrącił pan Kazimierz, dotknięty

jakby osobiście tym zarzutem — paniby chciała naturalnie, żeby bohaterowie puszczali się wpław przez morze dla ujrzenia ukochanej bodaj na chwilę. Czasy Leandra i Hero minęły bezpowrotnie. Dziś ludzie nie jadą i dwóch mil po złej drodze, żeby zobaczyć przedmiot miłości, a z tęsknoty za nim — siadają do winta.

Pani Marta wstała i chciała wyjść.

— Nie przeszkadzam — rzekła żartobliwie. — Najlepiej kłócić się na cztery oczy.

— Nie mamy sobie nic do powiedzenia na cztery oczy ani wobec pani — rzekł ostro.

Dola czuła, że się rozpłacze. Wyszła z pokoju.

...Czemu on ją tak dręczy? Wszak kocha... To nie ulegało wątpliwości. Tego samego wieczoru, po kolacyi, przechodząc z jadalnego pokoju do buduaru, nieznacznie wsunął jej w rękę papierek. Karteczka paliła ją w dłoni... Przeczytać... jak najprędzej przeczytać! Pod pozorem, że ją głowa boli, pobiegła do swego pokoju.

I przeczytała:

»Słodka! moja!«

Tylko tyle!... Tak dużo! Warto było cierpieć dla takich dwu słów...

A cierpiała za każdym jego przyjazdem. Pastwił się wprost nad nią. Bała go się nie mniej, jak w dzieciństwie — matki, nauczycielki, panny

Olimpii, jak w instytucie damy klasowej, pani Werner.

Drażniło go każde jej odezwanie w towarzystwie, jej obecność nawet.

Gdy znajdowali się sam na sam, był nie mniej dziwny. Całował ją, bez pamięci, lecz gdy usta od jej ust oderwał, padały z nich słowa przykre.

— Po co na mnie patrzysz przy ludziach — mówił szorstko — na co te demonstracye? Czy my tu jesteśmy, żeby wystawiać nasze uczucia na pokaz? Bobyś lepiej siedziała w swoim pokoju. Gdy zechcę, znajdę sposób zobaczenia się z tobą.

Stosowała się do jego woli — pokornie, bez wymówki, nawet bez żalu.

Nie przyszło jej na myśl, że można mu się opierać, odcinać, że można walczyć. Nie umiałaby. Ona umiała tylko cierpieć, i chudnąć i blednąć — i płakać nocami.

Była bardziej smutna z powodu jego zachowania, niż upokorzona niem, a smutna bardziej dlatego, że nie może z nim często rozmawiać, jak tem, że on nią poniewiera.

W stosunku do niego zatracała miłość własną, godność, ambicyę: była jego rzeczą. Wolno mu było robić z nią, co chciał. Nie zdawała sobie sprawy z tych uczuć, ale były w niej silne. Miała duszę miłującej niewolnicy, dla której rozkoszą — jęczeć pod batem tyrana. Nie darmo

od dzieciństwa kazano jej chodzić w jarzmie niewoli. Wszelka niewola znieprawia.

Za nadejściem lata, widywali się przelotnie, w ogrodzie, na werandzie.

...Uścisk dłoni, spojrzenie — to jej musiało wystarczać niekiedy na całe tygodnie.

Pani Marta robiła jej z początku wyrzuty, że stroni od towarzystwa; ale po pewnym czasie i ona zaczęła ją uważać za nauczycielkę, nie za przyjaciółkę, jak dawiej...

— Ma prawo, myślała Dola.

A jednak coraz częściej płakała w swoim pokoju.

. . . .

— Panno Adelo, proszę zabrać dzieci — rzekła do niej raz pani Marta w obecności pana Kazimierza.

Nie łatwo było spełnić rozkaz wobec niesforności dziewczynek.

— Że też pani nie umie dać sobie z nimi rady. Trzeba mieć więcej taktu, powagi — zgromiła ją pani Dropińska głosem podniesionym.

Z drugiego pokoju, goniąc dzieci dokoła jadalnego stołu, Dola usłyszała, jak on mówił:

— Pani niebawem każe pannie Żalińskiej zamiatać pokoje.

— A pan — jakiem prawem mi zabroni?... Czy jako narzeczony?

— Nie pozwoliłbym ubliżać żadnej kobiecie. Przodkowie pani przywykli słuchać rozkazów, dlatego pani nie rozumie, jakie to upokarzające... A może pani chce wziąć odwet za upokorzenie przodków?

...Dola nie słyszała dalszej rozmowy. Dzieci dały się wreszcie wyprowadzić.

. . . .

Tego wieczoru siedziała na odległej ławeczce. Nagle głos drogi szepnął po ukraińsku:

— *Choć ono meni ne myłe, pry meni joho ne byjte* [1]).

Ramiona oplotły jej szyję i usta, przy jej ustach mówiły:

— *Ale ono meni myłe! myłe!* I takie biedne!

Świetlana smuga padła znowu na serce Doli, osuszyła jej łzy.

. . . .

Lekceważący ton, w jakim pan Kazimierz odzywał się do Doli w towarzystwie, oddziałał na panią Martę. »Traktowała« ją coraz bardziej z góry. W zamian jej mąż stawał się coraz

---

[1]) »Choć mi ono niemiłe, bić go przy sobie nie dam«. Przysłowie ukraińskie, charakteryzujące uczucia solidarności — małżeńskiej, rodzicielskiej, lub innej, które się budzą, gdy drugiej osobie dzieje się krzywda.

uprzejmiejszy dla ładnej nauczycielki. »Nabierał manier« — jak myślała Dola.

Pewnego dnia — a było to już pod jesień — pan Kazimierz, idąc do ogrodu, spotkał wracającego, jak zwykle ze stajni, pana Dropińskiego.

Wytworna sylwetka Doli zarysowała się w głębi szpaleru.

Obaj mężczyźni pogonili za nią okiem.

— A niechże ją dyabli — to jednak niebrzydka dziewczyna. — A jak to chodzi, z łopatek! — zawołał koniarz.

Tamten przystąpił do niego i, patrząc chłodno w jego wyłupiaste oczy, cedził przez zęby:

— Cóż to? Dziewek folwarcznych zabrakło, że pan zwracasz uwagę na panny z wielkich domów? Nie radzę, bo ze mną sprawa.

Odwrócił się i zostawił koniarza w pasyi głupiej, bezradnej.

. . . .

Wieczorem, pan Dropiński, mówiąc ze swym najszczerszym przyjacielem i przysięgłym *maître des plaisirs*, lokajem Tomaszem, wyrażał bardzo pesymistyczny pogląd na »gości swojej żony«.

— To wszystko hołota! Objada się, spija moje wina, »nagaduje« się z moją panią o różnych mądrościach...

— Gdybyż to tylko gadali, proszę pana...

— Mnie to nie mają za psi pazur — ciągnął dalej, udając, że nie słyszy insynuacyi famulusa. — Muszę nakoniec im pokazać, co to ja, Zobaczysz...

— Et, proszę ja pana, nic nie zobaczę. Niech no tylko pani spojrzy po swojemu, a położymy uszy po sobie.

— Dureń jesteś! Zawsze ci to mówię.

— Może dureń, ale ja tam nie kiwam palcem w bucie. Ja nie byłbym taką »lemieszką«. Jaby tę całą zgraję od dawna przepędził won... A to tylko ściel im łóżka, buty czyść a noś herbatę...

— Skończy się to, skończy, mój Tomaszu...

— ...Skończy się na święty Jury, kiedy w niebie będą dziury...

— A wiesz, ten Jarnowski to chyba ożeni się z panną Dolą.

— Ożeni! Zaraz ożeni. Ożeniłby się może... Ale od czego nasza pani? Ho! ho! Ma ona głowę na karku... Niby to ich swata, a tak kręci, żeby z tej mąki chleba nie było... Bo pan za dobry... »Dawaj pieniądze... dawaj bryljanty... cugi! A co ja wyprawiam — tobie dyabli do tego...« Oj, mądra ona, mądra! Pan nie da na nią człowiekowi marnego słowa powiedzieć... A byłoby co mówić do jutra... Bo to czort wie, poco było się żenić z tą aptekarską córką... Albo to nam źle było przedtem w świętym stanie kawalerskim?...

Wszystkiego, o czem dusza zamarzy — po same dziurki od nosa... Dziewcząt — to we wsi ubyło?... Czy co?

— Tomek, powiadam ci, stul pysk, bo dostaniesz po mordzie.

Widocznie Tomasz nie usłuchał ostrzeżenia bo nazajutrz chodził spuchnięty... z jednej strony i opowiadał klucznicy:

— Ja do mojego pana, z dobrem słowem, jak do anioła. A mój anioł mnie — w pysk.

Nad dworem bołhańskim zawisła chmura. Pan Dropiński był w najgorszym humorze.

— Tylu trzymam łajdaków — burczał podczas obiadu — a do ust nic wziąć nie można... Jakaś zdechła krowina! Bo też nikt nie dojrzy... Wszystko wielkie państwo... Jak się raz zabiorę, to wymiotę — co do nogi.

Było to mówione głosem cichym, zdziwionym jakby śmiałością słów.

Pani Marta udawała, że nie słyszy. Opowiadała coś z wielkiem ożywieniem panu Kazimierzowi, który już bawił dwa dni, niewiadomo dlaczego, bo był także w najgorszym humorze i wcale się nie odzywał.

Po skończonym obiedzie, gdy wstawano od stołu, pan Dropiński, patrząc z podełba na Dolę, zaproponował:

— Może pani zechce przejechać się nową

czwórką ogierów — jeden w drugiego złotogniady. Taka maść, jak pani.

Czy to miało być komplementem, czy było powiedziane na przekór panu Kazimierzowi? Sam mówiący nie zdawał sobie z tego sprawy.

Pani Marta udała, że i tego odezwania męża nie słyszy, lecz uderzyła w niego spojrzeniem. Stropił się. Spuścił głowę pokornie.

Odpowiadając za Dolę, rzekła do niego:

— Panna Adela pójdzie na spacer z dziećmi, bo *mademoiselle* kończy mi peniuar.

— Skoro każdy wychodzi tu ze swojej roli, więc ja zostanę dziecinnym *bońcem* i będę pomagał pannie Żalińskiej — rzekł pan Kazimierz.

Pani Marta, jak mąż jej przed chwilą, spuściła głowę.

Dzieci już na podwórzu zaczęły się kłócić.

— Właśnie, że pójdziemy na *basztan*[1], — wołała Józia.

— Nie, do jaru przy gorzelni — krzyczała Mania. — Panno Dolu, ona chce iść na basztan, żeby się zajadać kawonami, a mama nie pozwala.

— Panno Dolu, ja chcę, żeby pani szła ze mną. Pani *dla nas* idzie na spacer. Niech pani z nami rozmawia, nie z panem.

---

[1]) *Basztan* pole, zasiane ogórkami, kawonami i melonami.

— Milczeć! — huknął pan Kazimierz. — Jak śmiecie tak mówić do panny Adeli? Szkaradne bębny! Niechno-no jeszcze co podobnego usłyszę, a łby poukręcam... Dalej, naprzód! Trzymać się za ręce!

Popędziły, jak źrebaki, i zniknęły wśród burzanów.

— A i pani też dobra! — zwrócił się gniewnie do Doli. — Takie to ślamazarne! bezradne! Byle osieł może kopać, deptać, nawet te oślęta... Moje... moje biedactwo najmilsze, kochane!

Dola podniosła oczy wdzięczne, zdumione.

Ostatnie słowa otuliły ją ciepło. Zapomniała o swej poniewierce.

Dzieci sfukane odbiegły bardzo daleko. Zniknęły już z oczu zupełnie. Oni tego nie spostrzegli... Któżby pamiętał o dzieciach w takiej chwili?

Dla tych dwojga istniało tylko — ich dwoje.

Ujął rękę Doli, wziął ją całą w dłoń i cisnął tak mocno, że aż bolało.

Ten ból sprawiał jej rozkosz.

Bezmiar szczęścia płynął od nich w step, szeroko, bez zapory.

A od stepu wracał ku nim i oblewał falą krzepką.

Całowali się tylko oczyma — słodko, długo, a słońce szło z Kaziem w zawody i całowało, także gorąco, złote włosy Doli, rozpalało iskry

w jej oczach i przenosiło pocałunki z jej ust na jego usta i kojarzyło tę rozkochaną parę.

A był jej swatem i powiew od stepu i brzęk owadów i wielka cisza. W tej ciszy, na harfie z przędzy słonecznej, grały ich serca. A kopuła niebieska dziewosłębiła także, nakrywając ich oboje, odgradzając od świata. I mogło się im zdawać, że na tym wielkim świecie, oprócz ich dwojga, niema nikogo.

I słońce, i niebo, i wiatr, i ta cisza — wszystkie swaty raiły jemu tę cudną dziewczynę.

Oj! warto wszystkiego się wyrzec, byle nią się nasycić — dowoli.

Zdradliwy wiaterek niósł mu zapach jej ciała, jej włosów. I jakże tu nie roztworzyć ramion?

Przycisnął ją do piersi i nie miał już nawet sił całować, tylko tulił — mocno.

A słońce, zrobiwszy swoje, zdradliwie, chyłkiem, kryło się za nieboskłon. Zrzucało z siebie odpowiedzialność. Przeszkadzać im nie chciało.

W panu Kazimierzu, od tej ciszy, rozlanej w naturze, nawet krew przycichła. Dusza jego nasycała się rzewnością.

Tulił bezbronną i bezradną dziewczynę i szeptał cicho:

— Moja ty! dobra! serdeczna! Takie to same na świecie. Broniłem się przed tobą długo. Już nie obronię... Chwyciłaś mnie za serce — i trzy-

masz... A takie to niby słabe. Oj! ty! ty!... Dobra! dobra! Za dobra! Nawet ze mną...

Głaskał ją po głowie, jak dziecię; zaróżowioną twarzyczkę brał w dłonie, słodycz z niej pił oczyma; ustami muskał powieki, opadające na oczy siwe. I nie szukał nawet ust, rozchylających się w uśmiechu niewymownego szczęścia.

Patrzył na nią tak, jak jeszcze nigdy, z rzewną tkliwością i nigdy tak żywo nie czuł, że tej bezbronnej dzieje się krzywda — przez niego.

Wziął ją za rękę i prowadził w dal, w step, w kraj baśni, starej jak świat, a zawsze nowej i cudnej. I głosem miękkim, słowami dobremi, otwierał przed nią wierzeje tej zaczarowanej krainy, otwierał nowe widoki szczęścia.

— Ja ciebie stąd wyrwać muszę. — To bagno! — mówił. — Do ciebie brud nie przystaje — ale już dosyć tego. Nie chcę, żeby moja... moja przyszła żona, oddychała tą zgnilizną...

— Kaziu, więc naprawdę kochasz?... A ja już myślałam...

— Oj, ty, detyno! Nie rozumiesz ani mnie, ani siebie — ani świata... Ludzie tutaj źli — pamiętaj — nie można im pokazywać, co w sercu na dnie. Ty, hołubko! Ale to się już kończy... Nie dam. Nie pozwolę. Wyrwę cię stąd. Muszę... Słuchaj... Dziś mamy sobotę. W przyszłym tygodniu, we wtorek, pojedziesz do Humania. Za-

żądaj koni. Powiedz, że chcesz się poradzić doktora; że jesteś chora. Wyglądasz blado, mizernie. Uwierzą. Niech konie bołhańskie zostaną w zajeździe, u Borucha. Ty wsiądziesz w dorożkę i przyjedziesz do Zofiówki o 2-ej. Będę na ciebie czekał na polach Elizejskich. Nikt nie zobaczy, nie podpatrzy. Muszę się z tobą rozmówić o naszem małżeństwie... Dużo trudności — dużo przeszkód... Zwalczę... Tylko tutaj bądź ostrożna... Nie zdradź się niczem. Ona bardzo domyślna... I jeszcze jedno. — Zamykaj się zawsze na klucz w swoim pokoju. Ani chwili nie siedź przy drzwiach otwartych...

Coś zaszeleściało, coś zapiszczało w burzanach.

Dziewczynki biegły ku nim, zdyszane.

— A myśmy były na basztanie! — wołała z oddali Mania.

— I najadłyśmy się kawonów — krzyczała Józia. — A jak pani powie mamie, to ja powiem, że pan Kazimierz nas »przepędził« i że pani się z nim całowała.

— I ja widziałam. I ja!

. . . .

Z kolacyą musiano czekać. Rzecz niesłychana. Pani Marta pojechała z mężem na spacer.

Wrócili późno, oboje widocznie zadowoleni z przejażdżki.

Oddawna już pan Kazimierz był odjechał.

Nazajutrz Tomasz został wyprawiony przez panią do Humania po wina i przakąski. Na koszta podróży (30 wiorst pańskimi końmi) pani Marta dała mu dwadzieścia pięć rubli.

— Szelma to ona jest — mówił na wsiadanem do kucharza Trofima — ale czasem człowiekowi z tem dobrze.

Druga para koni wiozła pannę służącą do matki pana Kazimierza. Pani Marta prosiła ją o wzór do roboty kościelnej, bardzo pilnej.

Pan Dropiński, wyjątkowo, dał konie na rozjazdy, bez wyrzekania, i nie mruczał za wyprawienie na cały dzień ulubieńca Tomasza.

— Taki się zrobił od wczoraj, że choć go smaruj i jedz. Och! ona z nim umie! Słyszał ja wczoraj z kozła co nieco – opowiadał stangret Hawryło.

. . . .

Nic nie powstrzyma Doli. Pojedzie do Humania. Wyjeżdża wózkiem trzęsącym, parą szkapiąt — a na stajni bołhańskiej stoi sześć czwórek cugowych. Jedzie szczęśliwa, w dżdżysty poranek wrześniowy i nie czuje nawet, że chłodno, nie czuje, że wózek trzęsie.

Któżby na to zważał, jadąc — do szczęścia. Nie ona.

Zamyka oczy i marzy.

Mile ukraińskie, jakże długie! Na niebie szaro, na ziemi brudno.

Niebo nie cieszy się z wycieczki Doli, słońce namawiało ją do złego, a teraz oczy zamyka, o niczem wiedzieć nie chce. Nie przyświeca jej na drodze, po której dąży, niebaczna, szalona.

. . . .

Ale skądże ma być rozsądną? Kto ją uczył stanowić o sobie? Matka, nauczycielki, damy klasowe brały wszystkie jej myśli i czyny na swoją odpowiedzialność, zmuszały ją do robienia tego, co im dyktował jakiś dogmat lub po prostu — zły humor, fantazya.

Wychowywano ją tak srogo, tak moralnie I oto, na skinienie mężczyzny jedzie, sama nie wie poco, oddaje mu się na łaskę i niełaskę.

Przymyka oczy i chciałaby otworzyć ramiona i czuje w ciele bezwład; krew szemrze, głowa ciąży, nogi drętwieją.

Może od wstrząśnień wózka? Nie, od czegoś innego jeszcze, czego nie rozumie sama, a zrozumieć chce bardzo, choć jej wstyd myśleć o tem.

Przeczuwa, że *to* jest właśnie szczęście największe... Jedzie nie do Borucha, nie do Zofiówki nawet, jedzie po złote runo — po szczęście... Każdy obrót koła zbliża ją do niego.

...Czy istotnie zbliża?

. . . .
. . . .

— *Pannuńciu, wże pozno — a płakaty można i na wozi.*

...Co to? Parobek Danyłko stoi z biczyskiem na progu zajazdowego numeru i przypomina Doli, że trzeba wracać — do tych złych ludzi.

...I tu, i tam, wszędzie źle na świecie...

Czemu jej tak źle?

Taka już jej dola. — Nie, takie jej szaleństwo.

Dokoła niej pustka — gorsza, niż na tym stepie, po którym wiezie ją Danyłko.

Rozpogodziło się. Noc jasna, ciepła. Na niebo wschodzi księżyc.

Oj! czemu?

Żeby jej było jeszcze smutniej. Żeby jej wskazać te szlaki, na których przed paru godzinami rozsiała tyle nadziei; aby swe złudzenia odnalazła na tych burzanach.

Dokoła pustka świetlana, a w niej rozpacz, a przed nią, jakaś czarna bezdeń żalu, a za nią, jak babie lato — snuje się długa nić wspomnień.

Nadzieje były tak wątłe, jak ta nić babiego lata.

Zerwały się... i nie nawiążą...

A jednak Dola śmierci nie chce. Chce żyć, żeby się zanurzyć w morzu tęsknoty — bo tęsknota to także rozkosz... Szczęśliwszą się czuje, niż wtedy — w ową noc grudniową. Wierzy, że

on kocha... Chce żyć tą myślą, tą jedną myślą, i zdaje się jej chwilami, że jej to wystarczy do końca życia.

Ubiera swe nieszczęście w kształt poetyczny i mimo szczerego, wielkiego bólu przychodzą jej na myśl słowa dumki:

„Na szczoż meni krasa moja, koły nyma doli?

Chwilami strach ją ogarnia przed tem morzem tęsknoty, z którego jej się zdaje, że już nie wypłynie nigdy. To znowu zalewa ją fala wspomnień słodkich.

Warto cierpieć dla wspomnień takich, dla takiej miłości...

Nie oddałaby swojej rozpaczy za szczęście spokojne, banalne...

I on pozostał złamany, nieszczęśliwy. Nigdy jej nie zapomni, choć ożeni się z inną...

. . . .

...Z początku chciał być okrutnym, na nią wylewał gniew, którym wrzał przeciw sobie.

— Czemu przyszłaś? Chciałbym wiedzieć czemu? — zawołał, ujrzawszy ją przy pawilonie Dyany.

Smutne przeczucie wypełzło nagle z jej serca.

...On ją o to pytał? Wszak sam prosił żeby się tu stawiła.

— Przyleciałabyś na skinienie każdego mężczyzny. Ktoby się żenił — z taką!

Stała pod drzewami alei przerażona, zdrętwiała.

...Czy to *on* mówi?

A on mówił:

— Na myśl ci nie przyszło, że wystawiam cię na próbę, że to żart być może...

— Nie! Byle nie to!... To nie był żart.

Skurczyła się, jak zwierzę smagane.

Odwrócił się. Patrzeć nie chciał na tę postać, podciętą, jak łodyga bujnego kwiatu.

Jego słowa brutalne przygniotły ją, tchu pozbawiły.

I nagle płomieniem ogarnął ją wstyd. Miała obrzydzenie do siebie. Z głową spuszczoną poczęła uciekać — byle dalej:

Ocknął się, rzucił się naprzód. Zastąpił jej drogę.

— Zostań! — szepnął głosem miękkim. — Krzywdzę cię znowu... Wybacz... Tyś nie winna — Moja wina — moja! Tyś dziecko — i kochasz i... ufasz... Nie warto...

Stała bledziutka, ze spuszczonemi oczyma, ciężkie, grube łzy spływały po jej twarzy.

— Tylko nie płacz! Tylko nie płacz! — prosił.

Wziął ją za rękę i wiódł, jak dziecię.

Szli, nic do siebie nie mówiąc. Wprowadził

ją pod sklepienie olbrzymiego głazu, do groty Łokietka.

Posadził ją przy sobie. Przytulił, i głaskał, i pieścił. Płakała cicho. Od czasu do czasu poruszały się ramiona i łkanie więzło w gardle.

— Cicho, serdeńko, cicho. Ja tego nie myślę... Ja tego nie mówiłem *naprawdę*... Nie wiedziałem, jak tobie oznajmić, że... Niech mnie Bóg sądzi, chciałem szczerze... Słuchaj... Matka wie o naszem kochaniu... Wczoraj dostała krwotoku.. Do ciebie dusza lgnie, a strach... nuż ona ze zmartwienia umrze... Ot, los! *Ni tudy, ni siudy*... Powiem ci prawdę.. Bałem się tu przyjechać... Bałem się ciebie, ty moja słodka. Nie śmiałem w oczy ci spojrzeć... Chciałem pisać — napisać, że nie możemy... nigdy... do siebie należeć... Ale ciągnęło... żal chwycił... Raz jeszcze napatrzeć się twoich oczu, włosów... pożegnać cię, na zawsze, dziewczyno.

Brał w oczy, w duszę jej obraz, wyśpiewywał potężną pieśń życia, hymn miłości.

Marnotrawna jesień, najpiękniejsze wzory, dzierzgane purpurą, amarantem, zasnuwała siecią pajęczą i strząsała z drzew liście szczerozłote; słały się do stóp tych dwojga. A okrutne życie obrywało listki z cudnego kwiatu ich miłości i oddawało wiatrom na igraszkę, aby je niosły gdzieś, hen, po szlakach tęsknoty, zapomnienia. I przez dziwną ironię losu, u wejścia do tej

groty, ręką Trembeckiego wypisane, witały ich słowa:

Strać tutaj pamięć nieszczęść,
Przyjmij szczęścia wieszcze.
A jeśliś jest szczęśliwym,
Bądź szczęśliwszym jeszcze.

— Ty mi wszystko wybaczysz — tyś dobra... — mówił — toć i większy żal jeszcze — i złość na tę marną dolę, na siebie... Jam słaby, walczyć nie umiem... A jak pomyślę, że kto inny — tak jak ja w tej chwili... Chciałbym na ustach twoich położyć pieczęć... i żeby jej nikt złamać nie śmiał. Nikt, słyszysz?

Wyciskał tę pieczęć gorącą. Kładł ją na wargi, na bladą twarzyczkę, na czoło... Szalał z miłosnego zapamiętania, z rozpaczy. Głaz wisiał nad ich głowami, ale cięższy głaz przywalał ich młode serca.

— Dosyć tego — nie chcę cię widzieć — zawołał nagle Kazimierz. — Poco się męczyć? I ja zapomnę i ty... Musimy... Taka już dola. — Takie życie... Nie my pierwsi — nie my ostatni.

— Kaziu, Kaziu, ja sił nie mam, ja nie przeżyję.

— Bądź rozsądną, *doniu*... Inaczej być nie może... A czułem, że źle będzie z nami. Czułem od razu, w Pokutyńcach... I chciałem usunąć się z twej drogi... Ciągnęło... i przyciągnęło... Z lo-

sem nie wskórasz. Tak było zapisane. Ale ty rzuć tę hołotę, *kiń* — mówił po chwili zadumy, gładząc jej złote włosy. — Wyjedź od nich. To szubrawcy!

— Dobrzy dla mnie!

— Czy ty nie masz żółci, czy ambicyi? Toć ona depce po tobie, a on...

— Mogę cię tam widywać... choć przy ludziach.

— Noga moja już tam nie postanie... Jak tak — to tak... Ona wie, że ze mną nie łatwo. Ot, tybyś ze mną może poradziła — dobrocią... Ale ta szelma!... Wiem, to jej sprawka... Widziałem jej pannę służącą w garderobie matki... Nasłała ją z plotkami... Tak, to przez nią... Pamiętaj, Dolu: ona zła, przewrotna... Rzuć ich, do licha.. To nie miejsce dla ciebie...

— A gdzie pójdę?

— W świat, moje maleństwo, między ludzi...

— I tu, i tam, i wszędzie źle mi będzie, ciężko — bez ciebie...

— Znajdzie się inny.

— Ty wiesz, że nie.

— ...I będziesz całowała innego...

Odsunął ją ruchem gwałtownym. Głowę sparł na ręku i ciężko się zadumał.

— Nikt — nigdy, Kaziu — szeptała, kładąc mu główkę na ramieniu. - Ty wiesz — ja tylko ciebie jednego... przez całe życie.

— Oj! detyno! detyno! — mówił, kiwając głową.

— Nie będę, nie mogę być twoją żoną — wiem. Rozumiem. Tak trzeba.. ale mnie jeszcze nie porzucaj. Ja nie mam siły. Mnie tak ciężko... Bądź jeszcze moim choć troszeczkę, choć na krótko — dopóki — dopóki się nie ożenisz... Będziesz do mnie pisywał, jedyny, kochany, będziesz. I ja do ciebie...

— Poco?

— Bo się kochamy... bo to będzie moja pociecha jedyna... Potem... kiedyś... ja sama przestanę. Będę rozsądna — ale jeszcze nie teraz. — Nie mogę — doprawdy — jeszcze nie mogę...

Jakże jej odmówić, trzymając ją na sercu, tuląc po raz ostatni to biedne ptaszę, spłoszone chłodnym życia powiewem, tę hołubkę, którą zostawiał na pastwę jastrzębiom!

Rozstać się było trzeba...

Do nóg jej się osunął i kolana ściskał; jej rękoma twarz sobie zasłaniał. Czuła na nich jego łzy — męskie łzy. Przytłaczały jej serce, jak ten głaz, wiszący nad ich głowami.

I było im ciężko. Żegnali się i wracali znowu, i rozstać się nie mogli.

. . . .

A teraz podchmielony Danyłko trzęsącym wózkiem wiezie ją po stepie.

Co chwila odwraca się do niej i pociesza jak umie:

— *Na szczoż wam żurytysia, pannuńciu, wy harna, mołodeńka. Pokinuł jiden, bude druhyj, bude tretij...*[1]).

Po stepie rozlega się dumka:

Kochałysia, lubyłysia, szczob maty ne znała
A teper rozajszłysia, jak ta czorna chmara
Czorna chmara rozijdetsia i doszczu ne bude
I z naszoho kochania nyczoho ne bude!

. . . .

Pani Dropińska wchodzi do pokoju Doli przed obiadem.

Jest chłodna, uroczysta.

— Pani samą chyba rozumie — zaczyna — że dalszy pobyt jej w naszym domu jest niemożliwy. Patrzyłam długo przez szpary — cedzi dalej — wszystko ma swoje granice... Byłam usposobiona życzliwie... Chciałam być siostrą, opiekunką... Pozwalałam na rozmaite niewłaściwości, przypuszczając, że dojdzie do ślubu... Ale poco miałby się żenić... teraz?... Kto inny, na mojem miejscu, kazałby koniom zajechać przed

---

[1]) Poco się panienka martwi? Panienka ładna, młoda. Porzucił jeden, będzie drugi, będzie trzeci.

ganek i prosił o natychmiastowe opuszczenie porządnego domu... Nie zrobię tego, ze względu na rodziców... Wyjadę z dziećmi do Kijowa po nową nauczycielkę. Mam nadzieję, że za powrotem już nie zastanę — pani. W całem sąsiedztwie znana już jest ta wycieczka do Humania... Była tu właśnie pani Bełdowska. Dziwi się mojej pobłażliwości.

Z tego potoku słów, Dola zrozumiała to tylko, że wyszło na jaw ich spotkanie w Zofiówce.

Przed jej oczyma otwierała się przepaść — już nie tylko smutku, ale i sromoty... Czuła się shańbioną, zdeptaną — słusznie.

Obiecała wprawdzie *jemu*, że ten dom opuści; ale być wypędzoną, jak *Fräulein*, jak niegdyś, z domu jej rodziców, panna służąca Ludwiczka — co zą wstyd!

Więc na to jej zeszło? I gdzież się podzieje? Co powie ojcu? matce?... Co pocznie?

W krótkiem swem życiu nie miała nigdy sposobności stanowić o sobie samodzielnie. Szła, gdzie ją popchnęła wola matki, nauczycielek — zawsze sprzeczna z jej wolą; potem robiła to, czego żądał pan Kazimierz i co zwykle z jej pragnieniem było zgodne.

I oto znajduje się na rozstaju: gdziekolwiek zwróci oczy — krzyż. Wszystkie drogi jej przyszłego życia znaczone — męką.

Zaczęła pakować rzeczy, gorączkowo, bezła-

dnie. W miarę, jak należące do niej przedmioty znikały z powierzchni tego obcego pokoju, z serca Doli wypełzały krzywdy, jakich tu doznała i przypominały jej się słowa — *jego*:

— Czy ty nie masz ambicyi czy żółci? Byle osłowi dajesz na siebie wierzgać kopytem... Rzuć ich. To źli ludzie. Szubrawcy...

...O tak! Nikt tu dla niej dobrym nie był, oprócz niani...

Ona jedna tutaj zacna, szlachetna!...

. . . .

— Proszę zaraz dać konie pannie Żalińskiej — i mnie. Odjeżdżamy do jej ojca, do Międzyrzeczki — wołała butnie niania, wchodząc do buduarku, w którym siedziała pani Marta. — A nie żadną brykę i nie byle jakie chabety... Moja panienka nie ekonomska ani aptekarska córka.

— Jak niania mówi? Do kogo?

— Właśnie tak mówię, bo wiem do kogo.

— Proszę milczeć!

— Nie zmilczę.

— Za drzwi.

— Otóż nie wyjdę... Powiem wszystko, co mam na wątrobie. Gadali w piekarni i kuchni: »pani taka, owaka« — a ja do nich z pięściami. Kazałam gębę zamykać. — »To *brechnia* [1]). Ona

---

[1]) Kłamstwo.

nie z wielkiego domu — powiadam — ale poczciwa, dla mojej panienki dobra«. Aha! dobra!... Teraz ja już wiem, jaka to była dobroć... i dlaczego... Kawalirów się chce.

— Precz!

— Co to, ja — pies, żeby na mnie wołać: »Precz«! Taka sama, jak pani, a nawet lepsza — porządna, uczciwa kobieta i szlachcianka: nie wypadłam sroce z pod ogona... To menżatce wolno romanse wodzić, a jak młodziutka dziewczyna *zasztapie* się i usłucha gałgana... — żeby jego mamu mordowało — i pogada z nim trochę w Zofiówce i popłacze — ona mi wszystko powiedziała — to zaraz gwałt, awantura!... Niechby ja tylko chciała usta otworzyć i powiedziała menżowi, co ja wiem: co mówią w piekarni, w kuchni, w stajni, w garderobie...

— Milczeć, bo każę wyrzucić!

— Aha! Może Tomaszowi? — On taki wierny!... On bardzo swoją panią lubi!... Zaraz usłucha... zaraz... i panu nic nie powie...

Pani Marta, oprzytomniawszy z pierwszego wrażenia tych słów niespodziewanych, a tak obelżywych, przyskoczyła z pięściami.

— Proszę brać za kark, proszę! — wyzywała ją niania, wziąwszy się pod boki. — Proszę spróbować. — Narobię takiego wrzasku, że cały dwór się zleci. Niech posłuchają. Jest co słuchać...

I dzieci niech wiedzą... Co tam! Czy to pańskie! — Ot, jakieś ekonomskie bachory...

. . . .

Dola, z nianią, wyjechała czwórką cugowych koni, żegnana uprzejmie przez panią Martę. Pan Dropiński pocałował ją w rękę i sam wsadził do powozu.

— Bo też czort wie, poco pani odjeżdża. — Teraz właśnie... — mruczał.

Dzieci płakały. Cała służba wyległa przed ganek, żeby się pożegnać z »pannuńcią«.

Dola kazała się zawieźć do Międzyrzeczki, gdzie pan Żaliński, po sprzedaży Krutohorbów, był plenipotentem u swego kuzyna, hr. Strzemińskiego.

I znowu ojciec garnął »wypędzoną«, i jak przed laty kilku, po wydaleniu córki z Instytutu, nie znajdował dla niej w swem sercu słów potępienia.

...Wśród łez gorzkich, w głębokiem poczuciu swej winy wyznała mu wszystko.

Pan Żaliński pocierał siwiejącą, bujną czuprynę, targał wąsa, chodził po pokoju z rękami skrzyżowanemi na piersiach. Czuł, że trzeba — jeśli nie zgromić, to choć napomnieć Dolę, a żal nad jej gorzkim zawodem tłumił wszelki wyraz potępienia jej niebacznych kroków.

— Moja Dolu — rzekł wreszcie. — Jesteś

bardzo nierozsądna. Postępujesz nie tak, jak na dobrze wychowaną panienkę przystało. I widzę w tem jeszcze jedno: wierzysz zanadto ludziom. Z takiej wiary wyleczyć się trudno... Zawiedziesz się raz — zdaje ci się, że ci, byli wyjątkowo źli i zaufasz znowu innym. I znowu się zawiedziesz.

...Ha! tak już jest na świecie. Wilki i owce. Zle być owcą, przeznaczoną na pożarcie, ale pamiętaj Dolu, gorzej być pożerającym wilkiem. To daje szczęście — nikczemne... Ja ci nie życzę, abyś była szczęśliwą. Chciałbym cię raczej ustrzedz od szczęścia. Bo szczęście — to zasądzka... Skrzydła duszy do pełnego lotu rozwinąć się mogą tylko wśród bólu, wśród męki. Trzeba niezwykłej szlachetności, aby wyjść zwycięzko z ogniowej próby szczęścia... Ale bywają szczęścia różne — poziome i górne. Szczęściem bywa nieraz cierpienie. Takiego szczęścia danem mi było zaznać w czeluściach kopalni nerczyńskich, i na śnieżystych stepach Sybiru. Czułem się szczęśliwym, jak dłużnik, który swój dług spłacił, o ile go na to stało... Bywają ludzie, którzy najlepiej umieją kochać — idee, abstrakcye. Do takich ja należę. Nie powinienem był się żenić. Kochałem was bardzo, ale nieumiejętnie. Bojąc się wam czegokolwiek odmawiać, wszystkiego was pozbawiłem... Ha! może to i lepiej. Ruina wydobyła skarby z serca twej matki... Ona dziś szczęśliwsza, a nawet zdrowsza, niż dawniej...

Wiesz dlaczego? Bo nieszczęście, znoszone mężnie, daje spokój. Pomyślność nie może go zapewnić duszom szlachetnym: zatruwa ją wyrzut sumienia, zatruwa myśl, że rozsiadamy się przy stołach biesiadnych, a że nie ma przy nich miejsca dla wszystkich.

Ten bojownik o wielkie hasła, nie umiał odczuć, zrozumieć duszy dziewczęcej.

Dola nie zdołała się wznieść na wyżyny jego ideałów.

I ona chciała być nieszczęśliwą — lecz po swojemu, samolubnie, ze współczuciem dla *swojej* tylko niedoli, z zagłębianiem się w jej bezdeń, z lubowaniem się w niej.

Taka niedola nie przypina skrzydeł do ramion; nie pozwala wzbić się po nad niziny; jest bezużyteczną i dla społeczeństwa i dla cierpiącej jednostki.

Ale trudno — każdy cierpi, jak umie. Mało kto chce się nauczyć lepszego cierpienia...

. . . .

Z DZIENNIKA DOLI

Parypsy. Maj 1884.

Moja dusza jest zaćmiona niepokojem i tęsknotą. I tak już dawno! I kiedy się to skończy!

Ja nie żyję, tylko wciąż na coś czekam lub coś wspominam... Ciągle mi czegoś żal... nawet nadziei, skończonych zawodami; żal mi nawet chwil strasznych, gdy miotałam się w rozpaczy. Teraz nic i nic.

Jestem stworzona do wrażeń silnych a trawię się w samotności... Więdnę, usycham na odludziu... Chciałabym czas przeskoczyć, zbliżyć się do czegoś... Ale do czego... I na co ja właściwie czekam? Toć ja szczęśliwą nigdy nie będę, i być nie mogę — bez Kazia.

Myślę o nim ciągle, ale to co innego, niż patrzeć mu w oczy, niż czuć jego ramiona na szyi a wargi — na ustach. Wspomnienie, to jak podobizna ukochanej twarzy, odbita na fotograficznym papierze: widzi się rysy, ale nie można usłyszeć głosu, a choćby się szepnęło: »kocham«, niema odpowiedzi. Przeszłość utrwalona jest w pamięci, w sercu, jak te rysy na papierze, ale żaden głos nie przywoła tego, co minęło.

Bzy pachną, tak jak w zeszłym roku. I tak samo będą kwitnąć jaśminy. I blask księżyca i wschód słońca tak samo budzą pragnienie miłości, pieszczoty. A mnie nikt nie kocha, nikt nie pieści.

...Już trzy miesiące nie miałam listu od niego... Ostatni był krótki, suchy. Moje życie zamknięte, jak księga, zapisana do ostatniej stronnicy, a żyć

trzeba i niejedną jeszcze kartę odwrócić, ale pustą.

Nie mam siły powiedzieć sobie, że między nami wszystko skończone. Czekam na listy, a gdy przychodzą, płaczę, bo nie znajduję w nich tego, na co czekałam.

Gdyby on był w kraju, nie zważałabym na nic i na nikogo, pędziłabym choć pod przebraniem, żeby na niego spojrzeć, żeby go prosić: »pocałuj mnie — raz jeszcze jeden«.

Ale on bawi za granicą. Gdzie? nawet nie wiem.

A ja muszę tu siedzieć wśród tych skał.

Kiedy się to nareszcie skończy?

13-go czerwca.

...Nie chcę spokoju. Pragnę burz, choćby nieszczęść, spadających jak lawina.

Gdyby choć słówko od niego...

»...Czy ty nie masz ambicyi — czy żółci?«

Tak kiedyś powiedział.

Dziś pytam się o to siebie sama. Nie pisze, zapomniał o mnie, a ja jednak odzywam się, gonię go listami.

. . . .

Gdyby skinął, pojechałabym za nim. Wszędzie.

Niech spadają gromy, niech biją we mnie pioruny, bylebym nie drętwiała jak kamień, nie wegetowała jak roślina. Życia, pełni życia, bo oszaleję! Niech się co chce dzieje, byle się działo!

Spokój — to dobre dla trupów. Niech po śmierci przywala mnie kamień grobowy. Ale za życia niech szum drzew kołysze mnie do namiętnych upojeń; niech gałęzie nie zwisają nad moją głową — samotną; niech powiew od stepu niesie mi wieść o ukochanym, a księżyc niech patrzy na nas dwoje, zespolonych uściskiem.

Dawniej, szalenie, namiętnie, chciałam być jego żoną.

Dziś chcę już tylko, żeby mnie całował, żeby przyjeżdżał do mnie, choć ukradkiem, choć rzadko, choć na króciutko; żeby mnie uścisnął i zostawił w myśli, w sercu, dużo wzruszeń; żebym miała czem żyć — do następnego razu.

Tak mało chcę. I tego nie mam...

Boże, jeśliś jest, *jeśli w ręku Twojem* życie i śmierć nasza, to pozwól mi umrzeć, lub daj to, czego dusza moja łaknie. Wlałeś w nią pragnienie miłości, zechciej więc je zadowolnić. Czyż za mało jeszcze cierpiałam? Więcej już nie mogę.

. . . .

...Nie rozumiem rezygnacyi. Bunt przeciwko losowi, to zwykły stan mojej duszy, pożądającej wrażeń.

A jednak czasem — coraz częściej — przychodzą na mnie chwile odrętwienia. Z losem się nie godzę, ale nie mam siły wyzywać go do boju, ani mu urągać. Przestaję cierpieć i pragnąć.

Czy to złe chwile? Doprawdy nie wiem. Może to chwile wypoczynku po zmaganiu się ducha. A może blednica.

W takich okresach leżałabym dniami całymi. Mam zimne ręce i nogi i w całem ciele bezwład. Gdyby koło mnie wszczął się pożar, nie ruszyłabym się z łóżka. Głowa mnie często boli. Zdarza mi się przeleżeć noc z otwartemi oczyma i nie usnąć ani na chwilę.

Nazajutrz jestem okropnie osłabiona, a jednak trzeba wstawać do tych nieznośnych lekcyi.

Smutno i nudno na tem pustkowiu, a w dodatku jestem chora.

Czuję osłabienie w nogach, powyżej kolan i ucisk w prawym boku. Chwilami tak boli, jak gdyby kto kłuł sztyletem. I jeszcze mi coś dolega. Nie wiem, co to znaczy i nie śmiem pytać, nawet pani Hoszowskiej. Schudłam i osłabłam Postanawiam kąpać się w Dniestrze. Mówią, że to wzmacnia... Ale na co mi siły? — Chyba, żeby cierpieć więcej i mocniej.

...Komu innemu byłoby tu może nieźle. Moja uczennica, Janka, jest posłuszna i choć tak mało się nią zajmuję i podczas lekcyi myślę wciąż

o Kaziu, robi jednak postępy, zwłaszcza w językach. Ale mnie to nic a nic nie obchodzi. Nie cierpię nauczycielstwa. Nudno mi. Od czasu, jak jestem w Parypsach, ani razu obce konie nie zajechały przed ganek. Państwo Hoszowscy poczciwi. Na rękach mnie noszą, nazywają: starszą, śliczną córeczką, ale ja mam rok 19-ty, pragnę miłości, a nawet zabaw, choć mi świat bez Kazia jest grobem.

Nie chcę samotna schnąć i więdnąć i »życiem umierać«. Pragnę pełną piersią wciągać w siebie całą rozkosz, która jest na tym świecie, obok łez i cierpień...

. . . .

...Dzieciak wprawdzie, a jednak ktoś obcy, nowy. Przyjechał tu, po ukończeniu gimnazyum, siostrzeniec pani Hoszowskiej, Antoś Połtawski. Z początku był bardzo nieśmiały, ale już się trochę oswoił. Chodzimy we dwoje na spacery.

Śliczna ta okolica naddniestrzańska — to Pobereże, ale rozpaczliwie smutne.

Gdy patrzę na ten krajobraz, mam zawsze łzy w duszy.

Urwiska, przepaści, jary, ściany skalne.

Dzikie to, niedostępne, wspaniałe. Aż za wspaniałe!

Chyba tutaj nie można być szczęśliwym, a ko-

chać trzeba, bo wszystko rozpłomienia. I to niebo, i ten Dniestr, i te skały.

Dokoła kamienie — wszystko kamienne. Czemuż serce skamienieć nie może?

...Antoś powiada, że kobietom już nie wierzy. Bardzo się na to oburzyłam i nie chciałam z nim rozmawiać. Bo jak można! Przeprosił mnie nazajutrz. Mówił, że wyłącza mnie, że ja jestem z pewnością dobra i czysta. Ale że na ogół kobiety bywają przewrotne i same są winne, jeżeli mężczyźni je zdradzają i lekceważą.

Antoś jeszcze się nie kochał, ale jego starszy kuzyn, Staś Lipowski, — zupełnie już dorosły — szalał za jakąś Wandą, ubogą panienką, z którą rodzice nie pozwalali mu się żenić. (Jak to dużo takich panien nieszczęśliwych!)

Ta jednak nie chciała być nieszczęśliwą. Wyszła za innego. (Jabym tego nigdy nie zrobiła). Antoś przyszedł do niej właśnie z listem od swego kuzyna, w chwili, gdy była zajęta przymierzaniem wyprawnego futra. Nic nie powiedział. Obrzucił ją wzgardliwem spojrzeniem. I wyszedł. Odtąd już w miłość nie wierzy. Bo niby kochała Stasia do szaleństwa! Antoś ułatwiał im porozumienie, patrzył nieraz na jej łzy, na rozpacz w chwili pożegnania.

Teraz ona... całuje może innego... I jak tu wierzyć kobietom!

...Żal mi bardzo Antosia. Niema chyba nic gorszego nad utratę wiary w ludzi.

I ja zawiodłam się na pani Dropińskiej, ale nie przypuszczam, żeby wszystkie kobiety były takie. Ja nie zrobiłabym nic podobnego, a nie jestem przecież lepszą od innych. Zapewne, bywają i gorsze ode mnie, ale jest ich niewiele. Chciałabym o tem Antosia przekonać.

. . . .

...Siedziałam dziś długo nad stawem w ogrodzie.

Dokoła stawu kasztany spuszczają gałęzie nad wodą — tuż-tuż, ale jej dosięgnąć nie mogą. Przeglądają się w niej przez całe lato i, rozkochane, tęsknią do jej lustrzanej toni. Wiatr je przygina. Już mają musnąć szklaną taflę. Odrzuca je znowu. Zawieszone nad nią — tęsknią.

Przyjdzie jesień — liście okryte złotem, purpurą, tęsknić będą jeszcze, ale kres tęsknoty stanie się blizki: zwiędną, opadną, i wtedy dopiero połączą się z wodą.

Tak będzie i z moją tęsknotą. Skończy się, gdy śmierć oderwie mnie od gałęzi życia, którą wiatr wciąż naginał i smagał.

. . . .

Zdaje mi się, że Antoś zapomniał o swojej pogardzie dla kobiet. Posądzam go, że mnie ko-

cha i cieszę z tego, bo mu to wyjdzie na dobre: uwierzy znowu w kobiety.

Czy mi to sprawia przyjemność... osobistą? Maleńką, maluteczką. Byłam znudzona samotnością i rada jestem, że oczy młode, męskie, patrzą na mnie z zachwytem. Bo że tam państwo Hoszowscy nazywają mnie »królewną« i podziwiają moją urodę, moje ruchy — to mi jest przyjemnie, ale inaczej...

Janka także rozkochana w mojej piękności. Nieraz podczas lekcyi rzuca mi się na szyję.

— Jaka to śliczna! — woła. — Jeszcze w oczko! w prawe! W czółko, w bródkę!

I wycałowuje mnie szalenie.

Zabawna! Powiedziała mi przed paru dniami:

— Teraz dopiero widzę, że i człowiek może być ładny. Zdawało mi się, że tylko psy, koty i konie!

Wychowana w głuszy, wśród skał i jarów, nie widzi ludzkiej twarzy...

Muszę być istotnie ładna, skoro to uderza w oczy, nawet dzieci.

Ale co ja mam z tej mojej ładności? Poco mi ona? Kazio mnie nie kocha...

. . . .

Antoś smutny. Patrzy na mnie i wzdycha — myśląc zapewne o swoim wyjeździe.

Nie wzrusza mnie to wcale. Bo też śmiesznie

młody. Nie jest jeszcze nawet studentem. Ma tylko studencką czapkę.

Gdy do mnie mówi — a głos ma ładny — spuszczam nieraz oczy i wyobrażam sobie, że to *tamten*, jedyny na świecie.

Antoś o swojej miłości mówić nie śmie, ale ja ją wyczuwam i to mnie odurza, jak woń białego kwiatu.

Spostrzegłam, że te kwiaty białe pachną najmocniej. Mają woń upajającą — namiętną...

Pierwszy raz w mojem życiu jestem kochana nieśmiało, poetycznie. Zastępuje mi to marzenia o miłości.

O! wchłaniać w siebie miłość, bodaj cudzą! Oddychać jej atmosferą, upajać się wzruszeniami, choćby nie swojemi!

Antoś odjechał do Kijowa. Nawet na pożegnanie nie pocałował mnie w rękę. Zapewne nie śmiał, ale wodził za mną wszędzie oczyma a oczy miał nasycone łzami.

Smutno mi bez niego, a raczej nudno.

. . . .

Mam oczy senne i tak też niemi na świat patrzę — widzę go, jak przez mgłę.

Dotychczas nie rozglądałam się dokoła. Zapatrzona byłam wewnątrz, w siebie. Nie widziałam, co się dzieje na świecie, bo na całym świecie zajmowało mnie tylko jedno: miłość.

I zdawało mi się, że to coś świątecznego, nie na codzień, a choć strasznie tęsknię za Kaziem, wolę tęsknić, niż się z nim oswoić, niż mieć z nim wspólną sypialnię, jak państwo Hoszowscy, i pokazywać mu się — nieuczesaną. *Fi! C'est tout bonnement dégoûtant!*

Jak można kochać osobę, którą się widzi w warunkach nieestetycznych, z którą się mówi o tem, że stangret odkrada owies koniom, albo że kucharz wynosi masło na wieś?

Ja będę dla mego męża zawsze ładnie ubrana i od czasu do czasu będę wyjeżdżać z domu, żeby mu nie spowszednieć.

. . . .

...Spadło to na mnie, jak uderzenie obucha. Jestem oszołomiona. Nie mogę doprowadzić myśli do porządku. Zastanawiają mnie rzeczy, obok których przechodziłam dawniej bezmyślnie.

...Wczoraj, nie wiedząc, że jestem w drugim pokoju, pani Hoszowska powiedziała do męża:

— Ten Wiszniowski (to ekonom) mógłby też mniej kochać żonę. Biedaczka znowu się spodziewa... gotowa nie przeżyć! Taka wątła! I poco im tyle dzieci!...

...Pierwszy raz słyszę, że miłość ma coś wspólnego — z dziećmi. Pewna byłam, że to rzecz zupełnie odrębna. Dzieci sobie, a miłość — sobie.

Bo i pan Woliński mówił: »Jak tylko dzieci zaczną na świat przychodzić, z miłością koniec«.

Czyżby to była nieprawda?

...Wypuszczono mnie z domu w świat, jak do lasu w noc ciemną. Błąkam się po omacku. Tylu rzeczy nie rozumiem, tylu rzeczy muszę domyślać się. Może źle. Może fałszywie...

Czasem myśl — ziarno wpada do mózgu i, zda się, nie pozostawia śladu. Aż oto nagle jedno słowo budzi je z martwoty...

...Ziarno poczyna kiełkować.

To o czem myślimy, co leży w duszy, upatrujemy i poza sobą, na zewnątrz. Póki myślałam wyłącznie o miłości, nie widziałam, co się dzieje na świecie. Teraz patrzę uważniej przed siebie i za siebie...

...Chciałabym także wiedzieć, co robi taki mąż, który zdradza żonę, jak pan Dropiński? I dlaczego zdradza?...

...Całować mężczyznę jest nieprzyzwoicie — nawet po ślubie. Nawet mąż z żoną nie całują się przy ludziach. Dlatego pocałunki mają urok; miłem jest tylko to, co się kryje poza jakąś kotarą. Ale kryją się za nią — nie tylko pocałunki. Czułam to przy całowaniu.

Teraz wiem na pewno... Że mąż sypia w jednym pokoju z żoną — zobaczyłam po raz pierwszy tutaj, bo i mój ojciec i pan Woliński, i pan Dropiński mieli osobne pokoje, na drugim końcu

domu. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam te dwa łóżka obok siebie, taki mnie zdjął wstyd, jak gdybym przeczytała cudzy list albo podpatrzyła coś złego przez dziurkę od klucza.. Ale to jeszcze nie wszystko... Myślę *o tem* ciągle od wczoraj. — Usnąć nie mogłam...

Obok jest sypialnia państwa Hoszowskich... Bałam się poruszyć, a chciałam uciekać. Zamknęłam oczy, choć było ciemno. — Schowałam głowę pod poduszkę. Tak samo nie wiem dziś, jak wczoraj. A jednak... Dziś przy śniadaniu nie śmiałam podnieść na nich oczu. A byłam ciekawa, czy oni będą zawstydzeni. A może czulsi?

Byli tacy, jak codzień.

...To jest owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego. Myślę, że złe bywa nieraz dobrem...

. . . .

...Jestem bardzo osłabiona... Nie pomagają kąpiele w Dniestrze. Moja... dolegliwość wzmaga się i z nóg mnie ścina. Od kilku dni mam okropny ból w krzyżu i jakiś ciężar wewnątrz. Trudno mi chodzić. Co to takiego? Czy każda panna dorosła to miewa?

Co mi po takiem życiu? Ani zdrowia, ani szczęścia. Nudy, ciągłe nudy, rozczarowanie do ludzi, do życia, a w dodatku robię się coraz gorsza — w myślach.

Śmierci. Albo niech się coś stanie — złego czy dobrego!...

. . . .

Sierpień.

Bóg mnie ukarał za wszystko — za bluźnierstwa, za nieczystość myśli, za ciągłe skargi na los.

Wzywałam nieszczęścia. Przyszło. Gorsze od najgorszych przewidywań.

...Już nigdy nie zobaczę ojca.

Teraz dopiero wiem, co to jest cierpienie.

...Umierał z troską o mnie, z mojem imieniem na ustach.

»Boję się o Dolę«.

A potem —

»Skrzywdził Kazimierz«...

To były jego ostatnie słowa

Nie mam już ojca!

Kochałam go serdecznie, a mnie już nikt tak jak on kochać nie będzie.

Nie byłam przy jego śmierci.

Z nas nie było przy nim nikogo, oprócz niani.

Jak to szczęśliwie, że po wyjeździe z Bołhana, została w Międzyrzeczce! Przynajmniej miał przy sobie duszę życzliwą, blizką.

Smierć przyszła nagle. Chodził, zajmował się, pisał kontrakt z żydem na pszenicę. Wtem zrobiło mu się niedobrze. Poprosił o herbatę, ale już jej nie dopił.

Czy to był atak sercowy, czy apopleksya — nie wiadomo.

I wszystko jedno. Dość, że go już niema i nie będzie.

Niania powiada, że był zawsze smutny i nieraz w nocy chodził i wzdychał. Gdy go pytała, czy mu czego nie trzeba, odpowiadał:

— Spokoju, nianiusiu, tylko spokoju.

Ma go już na zawsze!

Mój Boże! A ja tak nie cierpiałam spokoju! Taki miałam wstręt...

Ojciec był bardzo rozumny. Jeżeli pragnął spokoju — to musi być rzecz dobra i szlachetna. Bać jej się nie trzeba...

Nie będę... Postaram się... Zmienię naturę... Nic już nie chcę od życia, tylko pragnę, aby On, patrząc na mnie z za grobu, był spokojny.

Może mi wyprosi u Boga siłę do walki, do zapanowania nad złemi skłonnościami.

. . . .

Pierwszy raz w życiu jestem nieszczęśliwą — naprawdę, a nigdy jeszcze nie było mi tak cicho w duszy, nigdy obowiązek nie wydawał mi się tak łatwym! Teraz dopiero widzę, że on wypeł-

nić może każdą chwilę dnia. Już się nie nudzę. Po skończonych lekcyach, czytuję z Janką. Polubiłam ją bardzo, i ona do mnie się garnie. Pani Hoszowska okazała mi dużo serca w tem nieszczęściu. Teraz jestem rada, że nikt tu nie bywa, bo ludzie nie zrozumieliby mojego smutku. Nie chcę się w nim zagłębiać, choć mam do tego pociąg.

W ten sposób umartwiam się i to umartwienie składam w ofierze za duszę ojca.

Wieczorami czytuję — nie powieści, jak dawniej, lecz dzieła naukowe, poważne.

. . . .

Zmagam się ze sobą.

Cały rój odpędzonych marzeń obleciał mnie znowu. Nie dam sobie folgi. Przez pamięć na ojca znajdę inne ujście dla bujnej wyobraźni...

Mówiono w Instytucie, że mam wielkie zdolności do pióra. Niechże się to na coś przyda, choćby na odegnanie złych myśli.

Zaczęłam pisać nowelę. Odtwarzam dziewczynę namiętną, nie zważającą na przesądy, na: »nie wypada«. Swą miłość objawia szczerze, bez względu na to, co powiedzą ludzie, pozwala się całować...

...Ależ to ja! — Teraz dopiero, streszczając, com napisała, widzę, żem pisała o sobie, że to są

moje, smutne, dzieje. A zdawało mi się, że tworzę z głowy, z fantazyi.

Myślałam, że dość będzie opanować lenistwo, aby napisać śliczną nowelę. Tymczasem idzie mi, jak po grudzie. Niby mam bujną wyobraźnię, a nie umiem obmyślać sytuacyi, przeprowadzać rozmowy. Co innego wypracowanie pensyonarskie, a co innego rzecz, która może pójść do druku.

. . . .

Myślałam, że Kazio odezwie się do mnie po śmierci ojca... Jeżeli teraz milczy, to już widać, wszystko pomiędzy nami skończone...

. . . .

W mojej noweli chciałabym przeprowadzić myśl, że »równouprawnienie« jest niemożliwem na gruncie miłości, a właściwie — objawów miłości: bo mężczyzna o to tylko dba, czego nie może łatwo osiągnąć. Natura męska, bardzo przekorna, zmusza kobietę do ukrywania uczuć. Tylko takie kobiety są prawdziwie i długo kochane, które nie dają folgi swej miłości...

Pani Wolińska znała mężczyzn. Im więcej rozważam, tem mniej się dziwię, że Kazio nie pisze, że mnie kochał tak krótko.

Byłam zbyt łatwą zdobyczą. Mężczyźni tego nie cenią.

. . . .

...Przyszła mi nowa myśl...

Temat mój: że szczerość w okazywaniu uczuć nie popłaca — przedstawię w innem świetle. Zrobię z tego humoreskę. Już ją zaczęłam. Nosi tytuł: »Dama z taktem«.

Bohaterka - mężatka, — czyni zawsze to, co »wypada«, lecz tylko na pozór. Zachowuje zimną krew w każdej okoliczności i, robiąc źle, nie zapomina obejrzeć się, czy kto nie widzi. Obmotuje w swe sieci młodą dziewczynę; jej uczuciami — swoje zasłania.

...Co? Wszak to moje własne doświadczenia! Znowu postać, wzięta z życia... Trzeba zmienić szczegóły, żeby ludzie nie poznali...

...Więc ja mam żal do pani Marty... Drzemał w mem sercu bezwiednie i budzi się pod piórem.

Ona wszystkiemu winna. Kazio kochał mnie... Gdyby nie jej intrygi... Chciałabym zapomnieć, przebaczyć... Ojciec przebaczał wrogom... Ale ojciec był bohaterem. A ja — słaba. Spróbuję być dobrą... Myśl zajmę czem innem...

. . . .

...Muszę przerwać »Damę z taktem«. Rozdrażniają mnie wspomnienia. Chcę napisać coś nie o sobie, nie ze swoich dziejów. Myślałam długo, chodząc po parowach.

Nie będę już łatwowierną. Poznałam ży-

cie. Odtąd będę patrzyła na ludzi okiem trzeźwem.

Szkoda, że tutaj właściwie ludzi niema — tylko dwoje bardzo poczciwych. Nic o nich napisać nie można. Są zacni, dobrzy. I koniec. Chciałabym wymyśleć coś nadzwyczajnego... Tyle rzeczy nadzwyczajnych dzieje się na świecie. Choćby to, co już mnie spotkało. Ale ja o sobie pisać nie chcę. Zresztą i nie mogę. Wstydzę się. Co innego całować się na cztery oczy, a co innego podawać to do druku...

Wróciłam do pierwszego tematu: równouprawnienia na polu uczuć. Przedstawiam pannę, nie liczącą się z konwenansami...

I oto znowu z pod pióra wyszły moje własne przygody: nieszczęsna wyprawa do Zofiówki. Tylko zamiast Humania, był Tulczyn, zamiast ogrodu — zajazd. I zdarzyło się to nie nauczycielce, ale sierocie, będącej na opiece u bogatych krewnych. Potem ją wypędzają za ten skandal i błąka się po stepach. Wreszcie natrafia na jakąś pasiekę i tam przebywa kilka lat pomiędzy dobrymi ludźmi.

Znowu tak jak w Parypsach!

Że też o czemkolwiek zacznę, na sobie skończę...

. . . .

W ROK POTEM.

Que vous ai – je donc fait, ô mes jeunes années,
Pour m'avoir fui si vite et vous être éloignées
Me croyant satisfait?

Sierpień.

Więc już mnie odbiegasz, młodości ukochana. Kończę lat 20! Piszę te słowa dla siebie samej, a jednak na płacz mi się zbiera i chciałabym zatrzeć tę cyfrę.

...Dawniej, przed laty czterema, tak bardzo pragnęłam być — *starszą* a teraz, już niedługo będę – *starą panną*. Zbrzydnę, posiwieję i nikt mnie kochać nie zechce.

Smutne było moje życie. Miałam dużo biedy ze sobą. Buntowałam się. Teraz już nie walczę. Zdaje mi się, że nareszcie zrozumiałam swoje przeznaczenie.

Trwoniłam nieopatrznie wszystko, czem mnie los obdarzył. Jak rozrzutnik, nie zaglądałam nigdy w głąb skarbca. A na dnie jego był — srebrnik. Leżał w ukryciu. Zapomniałam o nim. I teraz, gdy opuszczają mnie inne dary: młodość, zdrowie, on chce mnie pocieszyć i świecić jaśniej od próchna, o które się dobijałam niebacznie.

Więc mi go nie odbieraj, o Boże! Pozbawiłeś

mnie wszystkiego. Daj przynajmniej wytrwałość w pracy twórczej. Niech mi choć to jedno zostanie, bo przecież na czemś oprzeć się trzeba! Chciałam miłości, małżeństwa. Składam je w ofierze. Mój drogi ojcze, wyproś mi tylko u Boga, żebym przestała tego pragnąć. Do nikogo żalu nie mam. Ja sama jestem winna wszystkiemu.

Co dalej będzie?

. . . .

Wrzesień.

...I to jeszcze! I to! Miara przebrana. Wiedziałam, że matka szuka dla niego panny posażnej, ale żeby tak prędko — po dwóch latach, zgodził się żenić z inną!... Czemu nie umarłam wtedy, w Bołhanie?

...Ślub za miesiąc. Chciałabym, żeby mnie spotkał jaki straszny wypadek. Żeby mnie piorun zabił wśród gromów i błyskawic, albo, żebym spadła ze skały — tej najwyższej — w Czabanowej... Bo gdybym umarła, ot zwyczajnie — w łóżku, aniby się dowiedział. A o takiej nadzwyczajnej śmierci mówiliby na Pobereżu, Podolu, i na Ukrainie nawet. Doszłoby do jego uszu...

Chciałam utopić się w Dniestrze... Strach! Byłam odważniejsza za młodu. Teraz pragnę, żeby mnie zabiła jakaś wyższa moc. Ale sama zgładzić się boję.

...Nie chcę umierać, dopóki go nie zobaczę! Zobaczyć go raz, raz jeszcze! Nie wytrzymam — pojadę do pani Wolińskiej. Może on tam przyjedzie prosić o błogosławieństwo.

Muszę coś zrobić Nie możemy się tak rozstać. Napiszę do niego.

A może Julcia źle wie... i on się wcale nie żeni... Może to plotki...

. . . .

Najdroższy mój!

Żenisz się? Czy to prawda? Napisz, powiedz że — nie. Czy już nie mam prawa o tobie myśleć i wspominać tego, co było? Wszak i Ty nie zapomniałeś. Zlituj się, przyjedź do Pokutyniec. Ja tam będę za dwa dni i czekam na ciebie. Choćby to, co mówią — ta rzecz okropna — choćby to było prawdą, nie odmawiaj mojej ostatniej prośbie. Miej nademną litość. Ja niczego nie chcę. Tylko na Ciebie popatrzeć i powiedzieć Ci raz ostatni: że nikt nie kochał Cię i nie będzie kochał, jak

Twoja, zawsze, zawsze Twoja

Dola.

. . . .

...Nie zostanę już za nic ani w Pokutyńcach ani w Parypsach. Nie mogę. Na każdym kroku

wspomnienie łez. Już nie płaczę. Otrząsnąć się trzeba. Chcę wyjechać do Warszawy. Obiecują mi jakieś miejsce. Jadę. Może na nędzę... Mniejsza o to.

Czy liść jesienny wie, w którą stronę wiatr go poniesie? Byle nie na manowce.

Tutaj dla mnie miejsca nie ma. Ludzie źli. Obmówili, wyśmiali.

Wuj Zdzisław mówił mi dawno — bardzo dawno — jeszcze tego nie rozumiałam: »Szkoda cię na porządną kobietę«.

Ja chcę nią pozostać. Muszę przez pamięć na ojca. Warszawa, mówią, bardzo zepsuta... Nie zdradzę się, że mam krew gorącą. Będę chłodną, taktowną, zagłuszę się pracą. Ha! nowi ludzie, nowe wrażenia. Zapomnę może.

Gdybyż to! gdyby!

. . . .

IV.

— Czy panią boli, gdy tutaj naciskam? Boli... Nogi drętwieją, Czuje pani w sobie jakiś ciężar, jak gdyby kto wrzucił w panią funt żelazny... Ot tu, w tem miejscu? Prawda? Ciężar zwiększa się po każdem silnem wrażeniu... No, i ten ból krzyża... zwiększa się w pewnych okresach... Pani się znowu rumieni — obraża! Kiedyż się

to skończy! Oj! to *skromne* wychowanie! Czy pani wie, że *to* właśnie, te oburzenia, są nieprzyzwoite?... Należy brać rzeczy naturalnie, fizyologicznie... Pani, ma się rozumieć, nie słyszała o tej potwornej nieskromności, która w anatomii zowie się — organami kobiecemi. Nikt nie ośmielił się pani mówić o chorobach tych organów. Dzięki właśnie tym »skromnym« przemilczeniom, pani nie umiała się obchodzić z sobą, nie wiedziała pani — czego i kiedy unikać... No, i mogę pani powinszować rezultatu — przyzwoitej edukacyi. Pani jest zagrożona chorobą poważną... Dotychczas jest to jeszcze tylko usposobienie. Przy dalszych usiłowaniach ze strony pani może to przejść — w stan... A słyszała pani o histeryi?

W oczach Doli odbija się lęk, przepastna trwoga...

— Może i to słowo było wykluczone z panieńskiego dykcyonarza?

— I niema na to rady? — pyta Dola strwożona.

— I owszem — jest, i nie jedna. Pierwszą i najlepszą zalecam od samego początku: wyjść za mąż...

— A druga?

— Druga? Hm! Druga jeszcze łatwiejsza, prostsza, ale trzeba na to być rozsądną, zaufać mi ślepo, wierzyć, że cokolwiek zrobię, to będzie

dla dobra pani... Ja tego nie mogę wytłumaczyć, tak, od razu, na poczekaniu, pani jeszcze bardzo głupiutka i... mimo wszystko — ja to w pani szanuję...

Mówiąc to, wpijał w nią wzrok, zakradający się do głębin duszy.

— Niech pan tak na mnie nie patrzy! — prosiła.

Uśmiechnął się, pogładził ją po ręku:

— Taki jasny, czysty płomień! I strawi się bez pożytku dla nikogo. Oj! głupie! głupie życie!

. . . .

...Co to są choroby kobiece i te organy?... Dola nic o nich nie wie. A uczono ją anatomii...

Pamięta, że w Instytucie profesor zaczął mówić o jakiejś »miednicy«. Panny chichotały się, spuściwszy głowy na kasetki, a dama klasowa, pani Werner, przerwała wykład jakiemś pytaniem. Po skończonej godzinie rozmawiała z profesorem długo w pustej klasie, a na następnej lekcyi nie było już mowy o żadnej miednicy,

...Ta »miednica« — to zapewne organy kobiece.

...Jej koleżanki były ciekawe, co to takiego. Zaglądały do encyklopedyi i szeptały z sobą i śmiały się... Z nią nie mówiły o tem, bo uważały ją za głupią, wiszącą wiecznie w obłokach...

Nie była też wcale ciekawa — takich rzeczy. Ciekawa była tylko miłości, od lat najmłodszych.

I oto nagle dowiaduje się od człowieka mądrego, od doktora, że *to* ma coś wspólnego z miłością, że choroby kobiece powstają skutkiem miłości niewzajemnych lub — niezupełnych.

Miłość — niezupełna! Co to takiego? Dola przeczuwa od dawna, że nawet pocałunki, to — nie wszystko. Ale *co* jest: wszystkiem, co jest zupełnością uczucia?

Gdy Kazio pocałunkami doprowadzał ją niemal do martwoty, nie była to jeszcze *zupełna* miłość.

Czego brakło? — Ślubu. A po ślubie? — co? Co?

...Doktór powiada, że i skromność i nieznajomość anatomii, to zbrodnie obciążające sumienie wychowawców i niszczące zdrowie panien...

Wszak ona istotnie popełniała mnóstwo rzeczy szkodliwych dla zdrowia: kąpała się, tańczyła, jeździła — w czasie, kiedy powinna była leżeć w łóżku, oszczędzać siły... Popełniała te szaleństwa przez skromność, żeby nikt się nie domyślił... A zresztą nie wiedziała, że to takie niebezpieczne!

...Więc *to* było powodem jej dolegliwości? Nie przyznałaby się do niej przed nikim, nawet przed kobietą... Niedomaganie, którego określić nie umie, resztek sił ją pozbawia...

Gdy dr. Derkacz je nazwał,— popatrzyła na niego oczyma zdziwionemi, szczerze, naiwnie... Spostrzegł od razu, że nie wie, co nazwa oznacza. Wyraził się jaśniej. Dola zrozumiała, a zrozumiawszy, zawstydziła się okropnie i nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

— Powinienbym panią zbadać — mówił — ale z tą... przyzwoitością...

Toć on ją bada od paru miesięcy, naciska bok, żołądek, plecy, uderza w kolana. Czy można badać sumienniej, dokładniej?

Potem jeszcze mówił:

— Głos krwi odzywa się w pani zdrowym instynktem. Wychowawcy przyciszyli go tłumikami przyzwoitości — banalnej, głupiej. Tu trzeba było nie tłumików. Raczej klapy bezpieczeństwa. A teraz w kociołku wre, kipi.

Przy tych słowach świdrował ją wzrokiem.

— Niech pan tak na mnie nie patrzy — prosiła.

Uśmiechnął się i biorąc jej rękę, powtórzył:

— Biedny kociołek!

...Bo, istotnie, czemu ona nie zna życia, ludzi, czemu nie zna nawet siebie — własnych chorób, własnego organizmu?

Czemu nie nauczono jej rzeczy, których musi dowiadywać się z ust — mężczyzny, człowieka obcego... Szorstki, nieprzyzwoity, a ona taka bezradna.

— Jak pan śmie! — powtarza mu za każdem widzeniem, gdy doktor ją pyta o szczegóły, których ona sama przed sobą się wstydzi.

— Jak pan śmie!

To jej puklerz jedyny, jedyna obrona przed dobrą czy też złą wolą tego dziwnego człowieka...

A on śmieje się i odpowiada:

— To ja miałbym ochotę wołać do tych, którzy urabiali pani pojęcia: Jakeście śmieli wypuszczać w świat takie stworzenie bezbronne i nieświadome!

...Tak! jest nieświadomą — wszystkiego. Złego i dobrego. Nie wie nawet: co złe, co dobre. Mówiono jej, że skromność jest pierwszą zaletą dobrze wychowanej panny.

Czemże jest skromność? — Nieświadomością złego — a może... może dobrego? Wstydem?

Czego właściwie wstydzić się trzeba? Pani Wolińska, matka, mówiły jej, że: wszelkiego zbliżenia z mężczyzną obcym, dłuższej nawet rozmowy. Ale dlaczego? Czy mężczyzna jest stworzeniem nieprzyzwoitszem od kobiety i może ją zgorszyć?

Ona się tego zgorszenia nie boi, i nie bała się nawet dawniej, właściwie nie bała się nigdy mężczyzn, choć jest bardzo nieśmiałą.

A dziś — już stara panna: dwudziesty pierwszy rok i życia jeszcze nie zna... Lata, spę-

dzone na wsi, to była wegetacya. Przemarzyła je, nie wiedząc niemal, co się z nią dzieje naprawdę.

No, i jest teraz w Warszawie.

Tutaj ludzie rozumniejsi. Ale i gorsi — daleko. Bo i ten doktór! Co on ma w tem, żeby wszystkie jej pojęcia moralne deptać i burzyć?

. . . .

V.

— Na miłość Boską, co pani chce robić?

Dola zrywa się z szezlągu, na którym ją położyła zarządzająca zakładem leczniczym dra Derkacza, pani Dzbańska.

— A to co znowu za komedye! Widziała pani, żeby dentysta poradził na ból zęba, jeżeli pacyent usta zaciska! Pan doktór kazał mi panią zbadać... Prześcieradła nie pomagają.

— Nie, nie, nigdy! Jak można!

Dola ubiera się pośpiesznie, wszystko jej z rąk wypada, w głowie szumi, w oczach ciemnieje.

Pani Dzbańska bierze ten opór za kaprys pacyentki.

— Moja pani, ja na grymasy nie mam czasu. Wiem sama, że trzeba ostrożnie i nic pani złego nie zrobię.

— Wolałabym umrzeć!...

— E! moja pani, śmiechu warte!

Dola już jej nie słyszy. Ubrała się. Wybiega z zakładu, spłoniona, wzburzona.

Choć nie stało jej się nic, jednak czuje, że stała jej się krzywda; że ona już jest inną, niż przed chwilą i że taką, jak była, już nigdy nie będzie.

Wpada do mieszkania, zamyka się i płaczem wybucha a wśród łez, jak drapieżne zwierzęta szarpią ją myśli, jakich jeszcze nigdy nie miała.

Uciec przed niemi!... Już nie ucieknie. Zasnują duszę grubym mrokiem; obudzą i wstyd i lęk i obrzydzenie.

Z falą łez gorzkich, odpłynęła żądza rozkoszy nieznanych. Dola już niczego nie chce od życia... a boi się wszystkiego.

Leży i nie wie, że już minął dzień cały, że noc przeszła i zaświtał nowy poranek.

Tak jest wycieńczona myślami, głodem, bezsennością, że niema siły podnieść się z łóżka, na którem przeleżała całą dobę.

Zgrzyt klucza we drzwiach kuchennych. Wchodzi posługująca jej kobieta, żona kamerdynera wujowstwa.

— Co to, panienka chora?

— Nie, moja Walentowa.

— Zaraz kawy ugotuję.

Doli zdaje się, że nie jest głodna i dziwi się, że jej kawa smakuje.

— Moi drodzy – prosi Walentową — czy nie moglibyście przyjść raz jeszcze o pierwszej, i przynieść mi obiad od tej pani, u której się stołuję... I jeszcze was proszę — odniesiecie list na Szpitalną do redakcyi »Brzasku«. Zaraz napiszę.

Dola próbuje wstać.

— A toć panienka nie może się utrzymać na nogach, taka osłabiona. Polecę najprzód po doktora.

— Nie, nie, moja Walentowa, za nic! Chora nie jestem, tylko zmęczona. Poleżę, to i wypocznę.

— Jakże tak leżeć samej w pustem mieszkaniu. Broń Boże zrobi się słabo! Posiedziałabym przy panience, ale jedna pani kazała mi uprać na jutro szlafrok. Musiałabym oddać do prania bratowej i stracić rubla.

— Dostaniecie rubla ode mnie i jeszcze za przyniesienie obiadu.

Dola rada jest, że będzie miała jakąś żywą duszę. Ogarnął ją strach.

Nagle słyszy gwałtowne poruszanie klamką od drzwi kuchennych.

— Nie otwierajcie, moi złoci — prosi Walentową.

— Kiedy-bo klamkę popsują... A to jakaś niecierpliwa osoba!

— Cicho, żeby nie było słychać, że ktoś jest w mieszkaniu.

— Proszę otworzyć. Swój! — odzywa się głos za drzwiami.

— Co robić, proszę panienki — pyta Walentowa tak głośno, że słychać ją nie tylko za drzwiami, ale i na podwórzu.

Klamka porusza się coraz gwałtowniej.

Dola nie ma siły walczyć. Od pierwszej chwili, instynktem wyczuła, że to pani Dzbańska. Teraz głos jej poznaje. Odwraca się do ściany. Widzieć jej nie chce.

— Głusi jesteście, czy co? — mówi, wtaczając się do kuchni pani Dzbańska. — Panienka w domu? — pyta Walentową.

— Ta! Niby jest, ale jakaś marna i nie chce widzieć nikogo. A pani poco?

— Puszczajcie. Ja od doktora.

— Mówiłam zaraz. Tutaj potrzebny doktór. Bo to, powiadam paniusi, leżała nierozebrana przez całą noc, a jasiek czerwony: puściła nasypka. Od czego jak nie od płaczu... Niech-no już pani idzie... i nie mówi, że ja powiedziałam o tej nasypce.

— A to z panią historye perskie! — woła pani Dzbańska od progu. — Żeby tak z każdą pacyentką, to choć powiesić się. Pan doktor na mnie! Zwymyślał, jak burego psa. »Pani jest ordynarna osoba« — powiada. — I to mnie, mnie,

obywatelskiej córce. »Z taką księżniczką — powiada — trzeba ostrożnie, jak ze szkłem«... »A niech tam i księżniczka. Mnie równa racya« — mówię... Cóż pani, chora? — pyta pani Dzbańska, nie zmieniając głosu, jak gdyby to był dalszy ciąg cytat. — Bo ja doprawdy nie wiem, co za giez panią ukąsił?

— Głowa mnie boli — przerywa Dola — chciałabym zasnąć.

— Może gorączka? Mam termometr.

— Dziękuję.

— Jak nie, to nie, ale muszę powiedzieć doktorowi. On mnie tu przysłał.

— Niech mu pani nic nie mówi. Ja już się leczyć nie będę. Nie chcę.

— A to co znowu? Pani powinna być wdzięczna, że taki doktór sławny, pierwszy w mieście, zajął się panią. I poco robić awantury! Toć ja zęby zjadłam na zimnych prześcieradłach, przepłukiwaniach, wycieraniach. Ile to panien miałam pod temi oto rękami! A potem wyszły za mąż i mają śliczne dzieci i mąż je kocha. A gdyby nie kuracya w naszym zakładzie, zmarniałyby, schudły i piesby się za niemi nie obejrzał.

Po twarzy Doli przechodzą cienie. Pasuje się ze sobą, żeby płaczem nie wybuchnąć.

— Panią głowa boli — pyta pani Dzbańska,

widząc cierpienie w jej oczach. — Wymasuję pani czoło.

— Dziękuję. Nic mi nie trzeba, tylko ciszy.

— To niby wyrzuca mnie pani za drzwi, delikatnie. Otóż nie pójdę... Kapryśnica z pani — to prawda, ale ja panią lubię. Takie to ładne i dobre i ciche! Tylko jeszcze młode i nie nabrało rozumu.

— Młoda już nie jestem — przerywa Dola.

— A ileż pani ma lat?

— Dwudziesty pierwszy.

— No, no! U nas leczą się panienki szesnastoletnie, i nie robią takiego piekła o byle co. Moja pani, trudno: co trzeba, to trzeba... Mało to przykrości na świecie, żeby płakać dla takiego głupstwa — aż nasypka puściła od łez... Jabym tam akurat płakała na pani miejscu!... Taka śliczna kobieta, zbudowana, jak na pokaz! Bo powiem prosto z mostu: cała ta choroba z samotności... A czy pani wie, że z samotnego życia można zwaryować? Napatrzyłam się, i na takie panny... Drze na sobie ubranie, bieliznę i wykrzykuje takie słowa, że aż — *mnie* wstyd. Po ścianach się drapie... Chce mężczyzny... A póki był czas, to robiła ceregiele... rozpadała się nad swoją cnotą... Komu z tego co przyjdzie? Chyba dyabłu, bo nie panu Bogu. Pan Bóg powiedział: »kochajcie się i rozmnażajcie«, — a jak? to już wasza rzecz. Nie tak, to inaczej, ze świętym

sakramentem, czy bez sakramentu. Moja pani, wiadome rzeczy, dla wszystkich kobiet po mężu nie starczy, bo kobiet ponoś wszędzie więcej. A tu krew nie woda, więc trzeba sobie radzić, jak można. To trudno, moja pani. Tak już na świecie było i będzie.

Dola odwraca się do ściany, słuchać nie chce Ma takie uczucie, jak gdyby z niej ściągano kołdrę i nagość jej odsłaniano oczom ludzkim.

...Skromność, cnota, drapanie się po ścianach, te piękne przyczyny, te wstrętne skutki... Co złe? co dobre? Gdzie prawda?

Świat, jak ciemna puszcza, za każdem drzewem czai się jakaś tajemnica, jakaś zasadzka.

A głos tej obrzydliwej kobiety wciąż terkoce:

— Mój Boże! Kobieta, jak łania i tak się marnuje! 21 lat! Czas już zmądrzeć, żeby potem nie było zapóźno. Niejedna po śmierci bije piętami w trumnę z żalu, że przepaskudziła życie.

Dola wybucha płaczem spazmatycznym. Pani Dzbańska jest pewna, że to już objaw skruchy, i rada jest, że przyszedł nie w trumnie, ale jeszcze za życia — »póki czas«.

— Niech-no pani nabierze rozumu — życzy jej, odchodząc.

. . . .

VI.

— Praca! Praca! Pani się zdaje, że człowiek stworzony tylko do pracy i do robienia na złość swojej naturze — mówi dr. Derkacz, usłyszawszy z ust Doli, że za tydzień rozpoczyna działalność literacką w redakcyi »Brzasku«.

— Więc za 30 rubli na miesiąc będzie pani łyżkami wazowemi, dzień po dniu, przez sześć godzin na dzień wylewała za okno młodość, urodę; będzie się pani pozbawiała powietrza, słońca, radości życia.

— Wolę to, od uczenia dzieci.

— Kuropatwa, gdy ją pytano, czy woli być ugotowaną czy upieczoną, powiedziała, że woli skubać zboże. Kuropatwy mają więcej rozumu od panien z Ukrainy. Ha! nic dziwnego. Od kolebki takiej pannie dobrze wychowanej powtarzają: »pracuj, szkoda czasu marnować«, »cierpliwością i pracą dobijesz się celu«, »człowiek ma na tym świecie zadanie do spełnienia«... Wszystko to kłamstwo! Najpiękniejszem zadaniem — używać życia.

— Wszak i pan pracuje. I pan spełnia na świecie zadanie szlachetne.

— Ja wcale nie pracuję — dla pracowania. Po prostu daję folgę mojej namiętności — do medycyny. Pani myśli, że uczeni, wynalazcy,

mają na względzie ludzkość, postęp. Ani im to w głowie. Oni po prostu ulegają swojemu pożądaniu wiedzy, tak jak rozpustnik — pożądaniu rozkoszy, jak skąpiec — pożądaniu złota. Ja jestem urodzonym lekarzem: idę w kierunku mojego popędu. A pani? *Une grande amoureuse*, pani szuka pracy, zwalcza wszystko, co jest jej właściwem, jak kolor oczu, włosów. I wyobraża pani sobie, że opierać się wrodzonym instynktom jest zasługą.

— Poddawać im się jest grzechem.

— Tak panią uczono! Wiem. Otóż niech pani te wszczepiane zasady uzna za jakąś burkę, tkaną w dwu barwach: z jednej strony białą, a z drugiej — czarną, i proszę ją odwrócić podszewką do góry. Wtedy wszystko co było białe, będzie czarne, i odwrotnie. Wyprawiając panią w świat, zarzucono pani burkę na ramiona ze złej strony. Niechże to pani nareszcie zrozumie.

— Jest mi w tej burce dobrze.

— O! bardzo! Tak rozkosznie, że płaczemy i chorujemy. Pani to woli, niż iść po drodze swego przeznaczenia, niż spełnić pierwszy obowiązek wobec siebie samej.

— Moim pierwszym obowiązkiem jest praca. Skoro za mąż nie wyszłam, chcę przynajmniej być pożyteczna rodzinie.

— Wszystko za te 30 rb. na miesiąc.

— Dostanę z czasem więcej.

— I pani myśli, że z tego cokolwiek komukolwiek przyjdzie. Dajmy na to, że po latach dziesięciu gorliwej pracy dostanie pani 50 rubli miesięcznie? Jaki stąd wypłynie pożytek? Komu to da szczęście? Pani? Rodzinie? I te pojęcia o pożytku człowieka? Co za absurd! Więcej niż absurd. To nikczemność! to podlizywanie się jakiejś wyższej Istocie, którą uważamy za wszechpotężną i groźną. Czyż człowiek jest tak marnym tworem, że aż *pożytkiem* musi usprawiedliwiać swoje istnienie na ziemi; w ten sposób przepraszać wszechświat, że na nim zajmuje miejsce? Dokoła nas wszystko, cała przyroda uczy, że celowość jest absurdem, wymyślonym przez idyotę-człowieka. Jabłoń rodzi jabłka. Ale czy to jej cel? Czy po to wyrosła, aby człowiek mógł zjadać szarlotkę? A kobieta czy dlatego rodzi, aby módz dzieci wychować na chwałę Boską i na pożytek bliźnich?

Panienka z Ukrainy tak sobie wyobraża świat i zaświaty: srogi jegomość z dużą białą brodą zawisł na obłoku i musztruje kamienie, rośliny i ludzi, każe człowiekowi służyć sobie — a kamieniom, roślinom i zwierzętom — służyć jemu. Krótko mówiąc: wyzysk na całej linii. Wedle zdolności do służby, wedle swego »pożytku«, człowiek zdaje egzaminy na piątki lub pałki. I to go właśnie czyni tak marnym, to go stawia na najniższym szczeblu wszechświata. Jabłoń nie troszczy

się, czy nam jabłka smakują. Nas ciągle trapi obawa, czy smakujemy bliźniemu, czy, po śmierci, będziemy smakowali — Bogu? No, i pani, ani na chwilę nie wątpi, że trzeba coś robić dla przyjemności drugich; ale o tem, że *trzeba* coś robić dla przyjemności własnej, i *co* robić trzeba, tego pani nie wie, a gdyby nawet pani wiedziała, i tak nie zechciałaby pani tego robić, bo przecież kazano pani iść w kierunku, przeciwnym głosowi krwi, głosowi przyrodzonego, pięknego instynktu.

Ależ to obrzydliwość! Kto śmie pytać lwa, orła poco żyją? I pani żyje dla siebie. Nikt niema prawa żądać od pani jakichś własności, pokrzepiających tak zwanego »bliźniego«. To pojęcie, godne aptekarzy. Podzielili rośliny wedle ich leczniczego pożytku i wyobrażają sobie, że rośliny są po to, aby oni mogli je suszyć i sprzedawać. Ani im do głowy nie przyjdzie, że to nie jest *cel* roślin, lecz ich *działanie*. Celem pani kochać, być szczęśliwą: działaniem — dawać szczęście tym, których pani pokocha.

...Tak mówił dr. Derkacz. A ojciec Doli dowodził, że osobiste szczęście jest szkopułem, że go się obawiać trzeba; mówił, że wartość człowieka zależy od jego użyteczności dla kraju.

Gdzie prawda?

Wątła myśl panienki rozwikłać tego nie umie.

. . . .

VII.

Cioteczny wuj Doli, radca Olbięcki, »wszechradca« jak go przezywano, był »naszym znanym działaczem«, członkiem honorowym dziesięciu conajmniej instytucyi, prezesem kilku towarzystw finansowych i dobroczynnych, łaskawym orędownikiem handlu, przemysłu, »wszelkiej szlachetnej inicyatywy«.

Tak z pewnością wypisywać mu będą w nekrologach.

Bardzo ruchliwy, ogromnie uczynny, cierpi na manię opiekuńczą. Do zadawalniania jej pomagają mu liczne stosunki towarzyskie. Na jego biurku piętrzą się stosy petycyi, w jego przedpokoju tłoczą się petenci.

Biedny radca skarży się, że mu nie dają zjeść obiadu, ogolić się; rad jest wszelako z tych przeszkód, stawianych przez zaufanie publiczne na drodze powszednich funkcyi jego prywatnego życia.

— Każdy do mnie, jak w dym! — utyskuje. — Czy to ja jeden w Warszawie? Gdzie kogo wkręcić na posadę, zaraz — do mnie. Gdzie jakiemu przedsiębiorstwu wyjednać kapitał — do mnie.

— Na to mi zeszło, że muszę opiekować się pannami. Ja tam do was wpadnę w tej spra-

wie — oznajmił pewnego dnia redaktorowi »Brzasku«, podając mu rękę w przejściu między pierwszymi rzędami krzeseł na »premierze«.

Uścisk ręki przejął redaktora wielką radością, zwłaszcza, że go widzieli dawni przyjaciele, a obecni wrogowie; lecz zapowiedź radcy mniej była uciesznq.

Nikt jeszcze nie mógł się pochwalić, że koniec końców, odmówił prośbie Olbięckiego. Ten i ów odmawiał wprawdzie, ale radca, niezrażony tem bynajmniej, ponawiał swą prośbę — dwa, trzy, cztery razy i więcej, aż do skutku. A że potrafił wywdzięczyć się tym, którzy popierali jego wnioski na zebraniach, lub znajdowali posady dla jego protegowanych, więc każdy z nim się liczył... Ręka rękę myje.

— Wszak nie przeszkadzam? — pytał w parę dni potem radca, wchodząc do gabinetu redaktora »Brzasku«.

Gorszej chwili do odwiedzin znaleźćby nie mógł. Godzina jedenasta. Na biurku stosy rękopisów i gazet do przejrzenia. Od pośpiechu zależy wyjście na czas numeru.

— Cóż znowu! Pan radca nigdy nie przeszkadza — upewnia go redaktor.

Zafrasowana twarz i niespokojne ruchy przeczą słowom.

Ale radca widzieć tego nie chce.

— Bo to, mój łaskawco — zaczyna, opuszcza-

jąc się na wytłoczoną kanapkę. — A niechże was z takiemi sprężynami... — przerywa sobie. — Ale mniejsza. Do rzeczy.

— Istotnie, panie radco, do rzeczy — przytakuje mu redaktor, spoglądając z ukosa na »materyał« do druku.

— Naprzód muszę panu opowiedzieć całą historyę.

Van Niecki pociera łysinę.

— Bo to, widzisz pan, miałem powinowatego na Podolu, czy tam na Ukrainie. Zacny był człowiek. Charakteryzowano go trzema słowami: rycerz, katolik i szlachcic. Takie typy już zanikają...

Van Niecki chrząka.

— Ale może ty nie masz czasu?

— I owszem, dla pana radcy znajdę — chwileczkę...

— Wiem, wiem, wy się zawsze spieszycie... Otóż ten mój krewniak — Żaliński... Znałeś go może?

— Nie znałem, panie radco.

— Szkoda! Więc nie słyszałeś, że umarł? Została żona z trojgiem dzieci... Dama, całą gębą dama. A tu majątku ani śladu... Wychowana w puchach, wątła niby, chorowita. A jak się zabrała do pracy... Te nasze polskie szlachcianki. Co za moc ducha! Gdzie na świecie takie kobiety, jak u nas! Póki ma na to — cho-

ruje, spazmuje. Ale niech tylko warunki się zmienią, rękawy zakasa po łokcie i własną pracą wychowa dzieci i na ludzi ich wykieruje. To też, panie, my, szlachta, powinniśmy się trzymać i wspierać wzajem.

»Wszechradca« był wytrawny: wiedział zawsze w jaką strunę uderzyć.

Hilary Van Niecki ani po mieczu, ani po kądzieli nie mógłby się wywieść od kasztelanów, ba, od zaściankowych nawet »panów braci«; dlatego właśnie miał ogromne pretensye do szlacheckiego klejnotu. Zwykł był mawiać, że go rodzi 5 hrabianek i 4 baronówny. Aż tak zbiorowego macierzyństwa potrzeba było, dla wydania na świat wielkiego człowieka — we własnem pojęciu. Znano jego zachcianki herbowe. Kiedyś, koledzy, w dzień imienin, ofiarowali mu piórkowy rysunek, na którym Noe, wychodząc z arki, unosi w górę polski indygenat, udzielony semickiemu rodowi Van Nieckich.

Poza plecami pana Hipolita szeptano, że ten ród ma łączność z potopem, ze względu na — niecki, i że woda była przyrodzonym mu żywiołem, bo protoplasta, niezbyt odległy, żyd blacharz z przedmieścia Pragi, zwał się poprostu Wanniecki, od zwyczajnej wanny kąpielowej.

Radca Olbięcki trafił w sedno.

Zainterpelowany co do swego szlachectwa,

redaktor nastroszył małe wąsiki i podkręcił je gestem odpowiednim do karabeli.

— Mnie pan radca pyta, czy jestem szlachcicem? Mnie? — oburzył się.

— Ja nie pytam — któżby nie znał pańskiego pochodzenia? — upewnił go radca dwuznacznie. — Chcę tylko poruszyć w panu szlacheckie sumienie. Toć my wszyscy stanowimy jedną wielką rodzinę. A rodziny, zwłaszcza ubogie, jak nasza, polska, solidarnością tylko stoją. Dlatego winniśmy pomagać sobie wzajem. Ty mnie dziś, ja tobie — jutro. Trzymać się! Nie dać się! Taka powinna być nasza dewiza!

— Ma pan radca słuszność. Jestem na pańskie usługi.

— Tak, to rozumiem! Odezwała się w panu krew szlachecka, choć porzuciłeś nasz szlachecki obóz. A więc słuchaj. Jak już mówiłem, pani Żalińska wzięła się do pracy nie na żarty. Próbowała trzymać uczniów na stancyi, ale że to — nieprzyzwyczajona liczyć się z groszem, więc, ani weź, nie mogła związać końca z końcem. Wreszcie trafiło jej się miejsce na Litwie u wdowca, niejakiego Żelwietra. — Możeś słyszał? Jest tu w Warszawie jego bratanek, doktór?

— Znam go.

— Otóż ten Żelwietr z Litwy ma dwie córki. Pani Żalińska opiekuje się niemi i dom mu pro-

wadzi. Rozumiesz przecie, że nie jest tam klucznicą, ale do reprezentacyi.

— *Cela va sans dire,* panie radco.

— Miło z tobą rozmawiać... Jesteś, bądź co bądź, *naszym,* choć pióro swe oddałeś *tamtym.* Ale już dobiegam do mety...

Twarz Van Nieckiego rozjaśniła się.

— Dwa słowa i skończę — ciągnął dalej radca. — Muszę ci tylko powiedzieć, że młodsza córka pani Żalińskiej pobiera nauki z Żelwietrównami, jej syn, jedynak, kształci się kosztem Żelwietra — tego z Litwy — w Puławach. Najstarsza córka, ta właściwie, o którą mi teraz chodzi — była nauczycielką gdzieś tam, za Bugiem. Ale młode to, sprzykrzyło jej się na odludziu — zresztą ma talent — pisuje. Krótko mówiąc, przyjechała tutaj i szuka zajęcia.

— Lepiej było zostać — za Bugiem — wtrąca redaktor.

— Takich mi rzeczy nie mów, łaskawco. Cóż to, udajesz starego, nie chcesz rozumieć młodości?

— Kiedy-bo w tej Warszawie strasznie ciasno!

— Tak się to niby mówi, a szpilka da się zawsze wetknąć w stóg siana. Zresztą, mój drogi, talent ma swoje prawa. Mogłem był wkręcić pannę Adelę Żalińską do redakcyi »Gleby«, — nasz organ, — wolę jednak, żeby pracowała pod

twoim kierunkiem, bodaj w piśmie innego obozu. A zresztą powiedziałem sobie: gdzie jak gdzie, ale w gazecie tak postępowej, jak wasza, nie odrzucą kandydatury kobiecej. Bo to jeszcze w żadnej redakcyi kobiety niema. Wy pierwsi wpuścicie ją w szranki dziennikarskie.

Olbięcki znowu uderzył w sedno.

— Co do mnie pragnąłbym serdecznie — upewniał redaktor — ale wszystkie stanowiska zajęte.

— Stanowiska! Zaraz stanowiska! Chodzi tylko o to, żeby ją posadzić przy biurku. Będziecie z niej mieli pociechę. Bardzo inteligentna.

— Co umie?

— Wszystko, co panna z dobrego domu umieć powinna.

— To mało, panie radco, strasznie mało.

— Jakto mało? Zna cztery języki. Mogłaby tłómaczyć powieści, a i z głowy napisać potrafi... Taka osóbka niewiele miejsca zajmie. Postawicie jej krzesło przy któremkolwiek biurku, i będzie siedzieć cichutko. Dacie cokolwiek do roboty, i zrobi. A zapłacicie jakie trzydzieści rubli — weźmie. Żaden mężczyznaby nie wziął, a ona — weźmie.

— Panie radco... właściwie... z taką panienką — kłopot. Co do mnie, jestem zawsze *correct*. Mam to we krwi, w przyzwyczajeniach,

w tradycyi. Ale tamci... zbierana drużyna. Mówią, co ślina przyniesie na język... A przy panience ani sposób...

— No, to się odzwyczają. Tem lepiej dla nich.

— Dajmy na to, że zechcą się odzwyczaić, choć wątpię, gorsza będzie bieda z wydawcą. Demagog, a tu latorośl szlachecka.

— A jednak pan, potomek szlacheckiego rodu, zostałeś przez niego powołany na kierownika »Brzasku«. Wierzaj mi pan — przekonywał go w dalszym ciągu radca — ja znam waszych demagogów, to najwięksi arystokraci: lubią herby, przydomki, bodaj cudze, o ile mogą się pochwalić stycznością z nimi. Rąz jeszcze powtarzam: taki Obrzutowicz miał innych do wyboru, czemuż na redaktora powołał pana?

Radca wiedział dobrze dlaczego.

Van Niecki, który przez kilka lat pracował w organie konserwatywnym, »Gleba«, w obronie katolicyzmu i większej własności zapędzał się tak daleko, że aż ośmieszał pismo.

Z tego powodu wynikł zatarg pomiędzy nim a redaktorem »Gleby«, co znowu wrzuciło Van Nieckiego w otwierające się dla niego ramiona wręcz przeciwnego stronnictwa. Z dnia na dzień, wykonał *salto mortale*, którego to skoku mógłby mu pozazdrościć niejeden błazen cyrkowy. Ludzie, patrząc na to, kiwali głowami, a pokiwaw-

szy, jedni pokazywali mu plecy, drudzy ściskali mu rękę, po dawnemu. Takich było więcej.

Z piórem swojem, bardzo ciętem, przeniósł się do przeciwnego obozu, tak jak za czasów średniowiecznych najemni szwajcarzy przenosili swe szablice tam, gdzie je kupować chciano. Van Niecki, z równą furyą, ostrzem swego pióra mierzył w magnatów i księży, jak dawniej w bezwyznaniowców i demagogów, tak samo przesadzając w gorliwości, co zresztą jest cechą znamienną ludzi bez osobistych, szczerych przekonań.

— Pan radca mi powiada — tłómaczył się — że Obrzutowicz, niby demokrata, mnie właśnie, z mojemi tradycyami szlacheckiemi, wezwał na redaktora »Brzasku«. Naprzód wiedział, że mu to przysporzy czytelników. Dwa tysiące prenumeratorów przeszło tu za mną z »Gleby« — wołał, uderzając rycerską dłonią w stół — powtóre, nie obeszło się bez ustępstw z mojej strony: musiałem przyjąć jego warunek i w demokratycznym tyglu stopiłem partykułę z nazwiskiem.

W ten sposób Van Niecki zwykł był usprawiedliwiać fakt, iż na »Brzasku« podpisany był nie z kiepska po... holendersku, lecz zwyczajnie po polsku: Wanniecki, to jest tak, jak opiewały jego papiery legitymacyjne.

— Mój drogi — prowadził do swego radca —

odkąd-że to skromnego udajesz! Czysta komedya — na Obrzutowicza się powoływać? Wiadomo, że Obrzutowicz nic nie znaczy w piśmie, tyle tylko, że daje pieniądze. Kością pacierzową, osią »Brzasku« jesteś — ty. Ani mi też nie przyszło na myśl zwracać się do Obrzutowicza, choć to faktycznie jego pismo. Znam i chcę znać tutaj — ciebie tylko jednego. Zresztą, możesz mu powiedzieć w mojem imieniu, że od nowego roku »Brzask« dostanie ogłoszenia spółki rolnej na siedmset rubli rocznie. Odbieramy ją »Switowi«, bo korekta była niemożliwa. Ten argument trafi chyba do przekonania Obrzutowicza. Powiedz mu pan, żeby wniósł podanie w czasie właściwym, a już ja je poprę... Więc kiedy ma przyjść moja protegowana? Ile dostanie? i co ma robić?... Dziś wtorek. Powiedzmy w czwartek.

— Na miłość Boską! Już tak zaraz!

— Więc w sobotę. Ale prawda, muszę was uprzedzić, że moja pupilka ma jeden wielki feler.

— Jąka się? Zezuje?

— Przeciwnie. Jest za ładna na porządną, ubogą panienkę... A tu sami mężczyźni... No, pamiętaj, kładę to na twoje sumienie. Mój redaktorze, dziewczyna z obywatelskiego domu. Ty to rozumiesz. A przypominam moje czwartki. Dawno już nie miałem sposobności widzieć pana u siebie. Proszę, bardzo proszę.

Przed Van Nieckim otwierały się drzwi, zamknięte od czasu opuszczenia »Gleby«. Obrzutowicz mógł zarobić siedmset rubli rocznie, a wszystko w zamian za przyjęcie do »Brzasku« panienki, której jedyną wadą był nadmiar piękności.

Czyż można się było wahać?

VIII.

— No, moi panowie, trudno — musicie się z tem pogodzić — bo innej rady niema — perswaduje wydawca »Brzasku«, Obrzutowicz, swoim redakcyjnym »drabom«.

Dowiedziawszy się, że obecność kobiety »skala« ich swobodę, podnieśli okropną wrzawę.

— Dobry sobie! — wybucha kierownik działu politycznego, Platon Krzeczunowicz, Rusin, z ognistą czupryną, wciąż na coś lub na kogoś oburzony, wciąż parskający, jak skwarka, rzucona na płytę. — »Niema rady« — krzyczy, wymachując piegowatemi rękoma — podoba mi się taki argument! Była »rada« — jedna, jedyna: temu staremu durniowi, radcy, powiedzieć: »nie« i wyrzucić go za drzwi razem z »dziewicą«.

...— I z ogłoszeniami? Co? Dasz mi pan ogłoszeń za siedmset rubli? No, dasz? Mów!

— Co mam dawać? Czy to ja jestem biurem anonsów?

— Widzisz? A za nią dostanę...

— Ma w posagu! To żeń się pan z nią, i będzie po krzyku!

— Ten szelma Platon! — woła, bijąc się po udach, łysy, podtatusiały przeżuwacz dzienników rosyjskich, Szymon Brejman, pełen zachwytu dla każdego odezwania Krzeczunowicza.

— Bo najlepiej, ciągnijmy ją na losy — wyrywa się szpakowaty brunet z zawadyacko podkręconym wąsem, obrabiacz kroniki miejscowej, Tytus-Marek dwóch imion Węgrzyński.

— Tybyś ją wygrał napewno — przerywa Platon. — Kanalia ma takie szczęście do kobiet, że aż obrzydliwie...

...— Dla tych, którzy go nie mają — przycina mu Tytus-Marek, miętosząc wąsa.

— Co my z nią zrobimy? — frasuje się Obrzutowicz.

— Pan nie wiesz, co robić z kobietą! —Winszuję! — parska Rusin.

— Temu, zawsze głupstwa w głowie! — zżyma się wydawca. — Trzeba jej przecież jakieś zajęcie obmyśleć, żeby nie brała darmo pieniędzy.

— ...Od pana!! Nie! Takiej sztuki nikt nie dokaże.

Obrzutowicz udaje, że przycinku nie słyszy.

— Zna obce języki, możnaby ją użyć do kroniki zagranicznej — proponuje redaktor.

— A ja? — odzywa się z nad stosu gazet, niemy dotychczas świadek tej rozmowy, stary kawaler, Izydor Sztein (koniecznie przez *sz)* korektor i referent rubryki, zwanej »Ze świata«, poza tem wciąż zafrasowany o swoje zarobki, zazdrosny o wszystko, o to nawet, czego dla siebie nie pragnie.

— Pan zawsze swoje — burczy Van Niecki. — To trudno, pismo nie wychodzi dla pana.

— Przepraszam, ja muszę wypisać swoje sześć tysięcy wierszy na miesiąc. Sam mi pan redaktor gwarantował.

— Mój panie, to nie kancelarya w magistracie ale dziennik; nie sadzawka, lecz woda bieżąca. Układ musi się zmieniać, stosownie do potrzeby chwili.

— »Potrzeba chwili« czytaj: obiecane ogłoszenia — wtrąca Platon.

— Pan się wciąż zapomina! — wybucha Obrzutowicz. — Zdaje się, że i ja mam tu coś do gadania. Panowie nie znacie się na delikatności. Mógłbym od razu przyprowadzić tę pannę i posadzić ją przy biurku. I trzeba było tak zrobić.

— Za godzinę jużby jej nie było — przepowiada Platon.

— A za półtorej mogłoby nie być pana.

— Zobaczylibyśmy! — wygraża Rusin.

— Moi kochani — łagodzi redaktor — poco

sobie skakać do oczu! Nie lepiej to mówić, jak na gentelmanów przystało?

— Redaktorowi wciąż się zdaje, że jest jeszcze w »Glebie«. My tu nie mamy obowiązku chodzić w białych rękawiczkach. Nam wolno być chamami — woła Platon.

— I korzystacie z tego — odcina Van Niecki.

— Do rzeczy, panowie, do rzeczy — nawołuje wydawca. — Jakąż przeznaczamy robotę owej pannie...

— ...»wielkiej krwi« — jak o niej mówi nasz redaktor — wsuwa Platon.

— Swój swego, naturalnie — kończy jego wtór, Szymek z uśmiechem dwuznacznym.

Van Niecki bierze to za dobrą monetę; podkręca szare, wyskubane wąsiki.

— Zdajcie to na mój rozum — powiada — ja wypróbuję jej uzdolnienia.

— Czyli mówiąc stylem potocznym: jej głupotę. Bez prób, mogę redaktora upewnić, żo ona jest do niczego — woła Rusin.

— Zobaczymy — wyraża nadzieję redaktor. — A więc panowie — dodaje — przy jednym z tych biurek zasiądzie — *ona. Chapeau bas* przed kobietą. Idźmy śladem rycerzy.

— Przedewszystkiem rycerze nie nosili na głowie »meloników«. Powtóre panu się zawsze zdaje, że przemawiasz do szlachecko-tabetycznych

mamutów z »Gleby«. Po trzecie, jeżeli *ona* chce turniejów, to trzeba było siedzieć w kasztelu; a chce do nas, do biurka, to jej wyprawimy taki turniej, że jej się przypomną babki, brane w jassyr.

— Mój panie — odcina mu redaktor — albo się jest postępowym i nie stawia się przeszkód równouprawnieniu kobiet, albo się jest konserwatystą i szanuje się kasztelanki.

— Mądrześ pan wykalkulował. Ja właśnie daję im równouprawnienie zupełne. Wszystko mi jedno: szwaczka, to szwaczka, a hrabina — to hrabina. I owszem, skórka cieńsza.

— Mógłbyś się też pan wstydzić! — gromi go Obrzutowicz.

— To ja mam się wstydzić — ja? czy pan, co frymarczysz naszą swobodą, co idziesz na utrzymanie dziewczyny z ogłoszeniami!

— Ach, ten Płatek! — parska znów śmiechem Szymon, przyczem binokle spadają mu z płaskiego nosa.

— Dość już żartów — oświadcza wydawca.

— Ładne żarty! Zrobił nam pan świństwo, i za to mamy się w pas kłaniać tej gęsi i może ją po łapach całować.

— Tylko z całowaniem dajcie pokój! — przerywa redaktor.

— Co? może ma liszaje? Wyobrażam sobie tę pokrakę!

— Nic sobie nie wyobrażaj. Chciałem wam coś powiedzieć, ale skoro jesteście tacy...

— To niby ma znaczyć, że panna, cud piękności. Stare kawały! — nikt się na to nie weźmie — dworuje z niego Platon.

— Czy naprawdę ładna? — pyta ciekawie Tytus-Marek, przezywany »Tytusem-Liviusem«, »imperatorem«, »trubadurem«.

— Ba! ba! ba! Palce lizać! — odpowiada tajemniczo Van Niecki.

— Widział ją redaktor?

— Dałbym szyję, że gada »na pamięć« — wtrąca Krzeczunowicz.

— Cóż pan dotychczas o tem milczał? — odzywa się wydawca. — Jeżeli ładna, to co innego. Posadzimy ją w administracyi. Prenumerata podskoczy.

— A nasz chlebodawca jedno wciąż w kółko. We śnie, na jawie, rubel i rubel! — woła Platon.

Obrzutowicz udaje, że nie słyszy i ciągnie dalej:

— Trzeba jej obmyśleć jakie zajęcie nie bardzo odpowiedzialne.

— Już moja w tem głowa — oświadcza redaktor.

— Tylko, mój panie, rozważnie, ostrożnie, bo to pan zwykle: szach, mach, na łeb, na szyję.

— Po szlachecku — dodaje buńczucznie Van Niecki.

— Tu właśnie trzeba po kupiecku, bo z pieniędzmi żartów niema — chyba, że pan będziesz odpowiadał kieszenią za głupstwa tej panienki.

— Ani myślę. Niech za nią składa kaucyę Olbięcki.

— Wiesz pan, to genialne! Każemy jej wpisywać ogłoszenia i zastępować Bodnara przy kasie w godzinach obiadowych. Radca złoży 300 rb., jako gwarancyę.

— Wybornie. Tylko moi panowie, niechaj jej włos z głowy nie spadnie.

— Łysa? że się tak redaktor trzęsie nad jej włosami?

— Nie! Ten Płatek! Boki zrywać! — parska Szymon.

— Już ja sobie dam z nią radę — odgraża się Rusin.

— Zlituj-że się, człowiecze, a moje ogłoszenia! — prosi Obrzutowicz.

— Cóż mnie to może obchodzić! A chcesz pan dla niej folgi, to mi pan »postaw« śniadanie z koniakiem.

Obrzutowicz udaje, że nie słyszy przymówki i zabiera się do wyjścia.

— Nasz chlebodawca znowu ogłuchł — woła, zastępując mu drogę Platon. — Panie, panie

ładny, a dajno pan zaliczkę, bo inaczej, jak Boga kocham...

— Mógłby też pan co nowego wymyśleć. Wciąż ta sama zwrotka.

— Ja, panie, jestem wagnerzysta, uprawiam lejtmotywy. Ile razy pana zobaczę, mam zawsze w uszach brzęk złota.

— Kto jak kto, ale ta kanalia, na wszystkiem zarobi, nawet na panience — huczy głosem ponurym Izydor Sztein, zazdrosny o koniak, którego znosić nie może.

. . . .

— The! Jakoś ubrałaś się nie bardzo... — bąka radca, który przyszedł po Dolę, aby ją zaprowadzić do redakcyi »Brzasku«.

Widzi panienkę w Rembrandcie ze strusiem piórem w sukni szafirowej *drap de dames*. Duży kołnierz z białej gipiury okala nieosłonioną szyję, przy jasnych rękawiczkach gipiurowe mankiety; szeroki niebieski pasek ujmuje zgrabną figurę. Wszystko to składa się na obrazek, o tyle barwny i śliczny, o ile nieodpowiedni do ramki, w którą ma być oprawiony.

— Jakto! nie podobam się wujkowi? — pyta Dola ze zdziwieniem.

— I owszem. Ładnie wyglądasz... Boję się właśnie, czy... nie załadnie. Na wizytę, może — ale tam... zawalasz sobie rękawki.

— Nic nie szkodzi. Dam do uprania.

— A nie masz jakiej ciemniejszej sukienki?

— To najciemniejsza ze wszystkich.

— Będziesz musiała sobie sprawić jakąś... poważną... Bo tak oto... samej jednej wśród mężczyzn... nie wypada.

Dola była z siebie zadowolona i pewna, że skoro tylko wejdzie, wszyscy »koledzy« otoczą ją rojem i prawić będą komplimenty, jak to czynili znajomi panowie na balach, majówkach, imieninach, słowem, gdziekolwiek jej się zdarzało spotykać mężczyzn gromadnie.

Szła do »Brzasku« zaciekawiona nowem życiem, myśląc daleko więcej o nowych wrażeniach, niż o nowych obowiązkach. Że im podoła — nie wątpiła. Takie zajęcie literackie, to właśnie dla niej!...

— Słuchaj, Dolu — mówi po drodze wuj Olbięcki. — Nie bałamuć-że tych tam, niby kolegów. Żadnych panieńskich krygów, minek!... Daj im spokój... To wszystko razem nie dla ciebie. Hołota i biedota — gryzipiórki. Synowie praczek, blacharzy... Grzecznie z nimi, ale zdaleka... Wiesz przecie... czasy demokratyczne... wszędzie psy wieszają na szlachtę... zwłaszcza podupadłą... Niech-że się przekonają, że można wywieść się z dwudziestu pokoleń po mieczu i po kądzieli, a mimo to umieć pracować nie

gorzej — od pierwszej lepszej panny Szulc albo Sznajder... Ty im to pokażesz... Pamiętaj...

Dola myśli tylko o pokazaniu im — siebie i chciałaby wyglądać jak najlepiej. Nic ją zgoła nie obchodzi, że zdobywa nową placówkę dla podupadłych szlachcianek. Nareszcie przyjrzy się zblizka »przeciwnikowi«, od którego ją odgradzano murem przyzwoitości, wobec którego obowiązywał ją kanon: »nie wypada«.

Zastanawiała się nieraz: poco mężczyźni są na świecie — i myślała, że chyba tylko po to, żeby utrudniać pannom życie, bo nic z nimi robić nie wolno: ani rozmawiać, ani chodzić po ogrodzie, ani jeździć na spacer, ani ich kochać, ani okazywać miłości tym nawet, którzy się chcą żenić, bo do chwili ślubu niewiadomo, czy się małżeństwo nie rozchwieje.

No, ale nareszcie skończyło się z tem wstrętnem: »nie wypada«. Teraz już *wszystko* wypada, skoro wolno jej będzie przesiadywać po parę godzin wśród mężczyzn.

Wróciła jej ochota do życia, odpadły smutki, tęsknoty.

. . . .

— Patrzcie-no, patrzcie. Idzie Edyp z Antygoną... — oznajmia kolegom Krzeczuuowicz, wyglądając przez okno.

— Hm! niebrzydka! wcale tego! — znajduje Tytus-Marek.

— Pozwólcież i mnie. Wzięli w pacht całe okno — skarży się Szymon.

— Chcesz na barana, to chodź prędko...

Płatek zarzuca go sobie na plecy. »Imperator« a nawet korektor przywarli do okna, wychodzącego na podwórze, którem idzie do redakcyi Dola, obok »wszechradcy«. Zniknęli w bramie.

Van Niecki sprawia szyki.

— Moi kochani — prosi — bez kawałów, bez szopek... Wszystkich was przedstawię... Widzicie, żem nie zełgał... Śliczności... Prawda?

— Mogło być gorzej — przyznaje łaskawie Płaton — ale mogło też i nic nie być, i to byłoby najlepiej.

Słychać kroki. Już weszli. Van Niecki wybiega na ich spotkanie.

— Pajac! — mruczy Płaton.

Z przedpokoju dolatuje głos redaktora:

— Bardzo mi przyjemnie, mam nadzieję, że pani wśród nas...

— Znajdzie męża — kończy Płaton głosem tubalnym.

Van Niecki stara się zagłuszyć go chrząkaniem i szastaniem nogami.

— Pani pozwoli tutaj — zaprasza do sali redakcyjnej.

Ma nadzieję, że gdy »draby« zobaczą zblizka Dolę, współpracownictwo kobiety wyda im się mniej przykre.

Korektor udaje, że jest zajęty przy biurku. Tytus-Marek stanął, jak do mazurowej figury. Szymon spogląda na Płatka, bo zwykł się na nim zawsze wzorować, poczytując go za ostatni wyraz nie tylko dowcipu, lecz i światowych manier.

Zanim redaktor zdążył przystąpić do prezentacyi, rudowłosy Płaton podlatuje z wyciągniętą ręką:

— Witamy, witamy koleżankę — woła z patosem — wielki to dla nas dzień.

Radca patrzy z pod oka i nie wie, co trzymać o tem powitaniu; wąsa pokręca, miną nadrabia, ale doznaje pewnych obaw. Ma coraz większe wątpliwości, czy Dola odpowiednia jest na pionierkę nowych praw dla szlachcianek.

— Zostawiam moją siostrzenicę pod opieką panów kolegów — powiada, usiłując zagrzać ich do uprzejmości.

— Słowem: Córka regimentu — mruczy Płaton.

— Pan radca może być spokojny — upewnia go redaktor. — Pani pozostaje pod osłoną rycerskich szabel. Wiemy, co się należy kobietom...

— W salonie i buduarze — kończy znowu Płaton.

Radca ma słuch przytępiony, ale Dola traci otuchę.

Szła na podbój serc męskich. I już od progu owionęła ją atmosfera nieżyczliwości. Dlaczego? Co to znaczy?

Słyszała, że istnieje jakaś walka o byt, że kobiety chcą w niej brać udział, a mężczyźni, bronią swego prawa starszeństwa. Nie zastanawiała się nad tem wcale, jak wogóle nad niczem, co nie było w związku z miłością.

Radca, pożegnawszy serdecznie »panów literatów«, odchodzi.

Dola miałaby wielką ochotę biedz za nim. W tej chwili uważa go za najbliższą istotę na świecie.

Ale trzeba zostać. Więc zostaje — sama, bardzo sama, trwożna, onieśmielona i bezradna, jak zwykle. Nie wie, czy ma mówić, lub milczeć. Przypomina sobie nagle wszystko złe, które słyszała o mężczyznach i boi się... A oni między sobą szepcą? Pewno o niej... Smieją się... Czyżby z niej?...

Wybawia ją z zakłopotania Van Niecki.

— Pani pozwoli tutaj — mówi, wprowadzając ją do pokoju, przedzielonego na dwoje kratką, poza którą stoją dwa biurka. — Tutaj siedzi nasz kasyer, pan Bodnar — objaśnia redaktor — a oto nasz ekspedyent, pan Weyss, który go zastępował w godzinach obiadowych. Pani obejmie

te funkcye i to biurko. Gdyby kto przyszedł z ogłoszeniami albo prenumeratą, wyda pani kwit, weźmie pieniądze i schowa do tej szufladki. To przecież łatwe. W razie wątpliwości proszę się zapytać pana Weyssa — będzie siedział w ekspedycyi, na prawo. Zresztą pan Bodnar wróci za godzinę.

Pan Weyss, jegomość ponury, zaniedbany w stroju, z dużą, czarną, powichrzoną brodą, przy prezentacyi rzucił jej spojrzenie tak niechętne, że w największej wątpliwości nie śmiałaby go o nic pytać.

Dola siada przy wskazanem biurku, otwiera wskazaną sobie księgę i nic z niej nie rozumie.

A z przyległego pokoju redakcyjnego przez otwarte drzwi dolatują wciąż szepty i śmiechy...

Za kratkę wbiega chłopak do posług.

— A to, proszę pani, przysłali ogłoszenie — mówi z roziskrzonemi oczyma.

Podaje jej kartkę, na której dużemi literami wypisano:

Pensyonat panien na wydaniu otwiera się z dniem dzisiejszym w redakcyi »Brzasku«. Ceny przystępne. Można też płacić ogłoszeniami do dziennika.

Doli przypominają się czasy, gdy, jako nowicyuszce, dokuczały jej koleżanki w Instytucie.

...Żalińska — czego ci żal? — dochodzi ją echo wspomnień odległych.

W tej chwili żal jej wszystkiego, nawet łez dawnych.

A ten nieznośny chłopiec wciąż stoi i przeszywa ją oczyma bezlitosnego łobuza.

Pochyliła głowę nad książką z ogłoszeniami. Łzy do oczu się cisną.

— Józiek! — wołają z drugiego pokoju.

Chłopak wybiega. Z sali redakcyjnej dolatują śmiechy.

— Dajże pokój, Płatek — słychać głos przyciszony.

— A nam dali? — krzyczy głos drugi.

I nagle rozbrzmiewa kołomyjka:

Did rudyj, baba ruda, siestra ruda, titka ruda...
I detyna maleńka — i ce[1]) *troszki rudeńka.*

Słychać głos nowy.

— Przyszła? — pyta.

— A jest już, jest — siedzi tam w kapeluszu i rękawiczkach.

— Przedstawcież i mnie, proszę was — mówi nowoprzybyły.

Przy biurku Doli staje staruszek z twarzą wygoloną i zasnutą drobnemi zmarszczkami.

---

[1]) I to.

— Pan Werpiszewski — rekomenduje Tytus-Marek sprawozdawcę wszelkich działów artystycznych.

— No, nareszcie! Będziemy tu mieli porządek. Pani tych urwiszów weźmie w kluby. Od dawna im się to należy. Rozpuszczone to, jak dziadowskie bicze! Jakże się sprawia ta hołota? ...Jakoś niebardzo. Pani ma smutną minkę. — Cóż wyście tutaj zrobili gałgany? Przyznać się zaraz!

Tytus-Marek podkręca wąsa z najniewinniejszą miną.

— Płaton, jak zawsze! — bąka.

— Efialtes, Iskaryota, Imperator, trzech imion zdrajca! — dochodzi tubalny głos z drugiego pokoju.

— To takie sobie krotochwile ku uciesze pani — tłómaczy felietonista.

Pod wpływem jego słów i oczu życzliwych, Doli robi się raźniej.

— Zobaczy pani — perswaduje jej Werpiszewski — jutro będzie go pani wodziła na smyczy. Tylko pokazać pazurki. Zresztą i dobroć to niezły oręż na zbereźników... A pani dobra i nieśmiała... Jeszcze nie słyszałem głosu... Widzę teraz uśmiech — śliczny... Damy sobie rady, damy... Poskromimy te dzikie bestye... Co? jak pan myśli, panie Tytusie?

— Ja, gotów jestem jeść z ręki...

— Aż tak dalece!

— Imperator! — wołają z drugiego pokoju — chodź-no tu. Katastrofa na Żelaznej. Dom się zawalił.

— Tytus-Marek wybiega.

— Dawno już pani tutaj siedzi? — pyta Werpiszewski.

— O! już bardzo dawno — odzywa się nareszcie Dola, pierwszy raz po wejściu w te progi.

— Pewny byłem, że pani mówi *takim* głosem — szepcze krytyk artystyczny. — Wszystko melodyjne, w tonie minorowym: i oczy, i uśmiech i cała postać. Pani jest wcielonym nokturnem Chopina... Bardzom wrażliwy na głos i koloryt. Przez całe życie pisałem o muzyce i malarstwie. Świat jest dla mnie barwą i dźwiękiem. Pani grywa?

— Dzięki Bogu, już nie.

— Czyżby pani nie lubiła muzyki?

— Lubię tylko: pieśni i dumki.

— Melodya słodka a rzewna, tak, to jest tonacya pani duszy.

— Pan bardzo, bardzo dobry! — szepcze Dola.

Łzy migocą na rąbku powieki; przed oczyma tańczą przedmioty nieruchome. Byle się nie rozpłakać! Mruga powiekami prędko, prędziutko.

Werpiszewski to widzi i długą, nerwową rękę kładzie na jej drżącej rączynie.

— Boi się maleństwo — szepcze, wytwarzając od razu tajemnicę pomiędzy nią a sobą.

Dola istotnie, w tej chwili czuje się malutką, bezbronną dzieciną. I garnie się do tego zacnego staruszka.

Przejęta wdzięcznością, chwyta jego rękę i chce ją do ust podnieść.

Staruszek zmienia się od razu... Sztywnieje...

— Ależ, proszę pani, na to mi jeszcze nie zeszło — mówi wstając, i najwidoczniej obrażony, wychodzi.

Dola nie ma czasu rozważać przyczyn tej nagłej zmiany w zachowaniu jej jedynego sprzymierzeńca.

Po drugiej stronie kratki stanął jakiś jegomość. Przez okienko wsuwają się pierwsze pieniądze, składane na jej ręce. Lęk ją ogarnia. Co z tem zrobić?

— Płacę za kwartał. Józef Oborski. Graniczna 8 — oznajmia prenumerator.

Dola tylko tyle wie, że trzeba kwit wystawić, lecz w jakiej formie, tego jej nikt nie powiedział. Przegląda kwitaryusz i wzorując się na nim, wypisuje nazwisko, adres i pokwitowanie z odbioru 3 rubli. Odcina kwit i wręcza go.

— Pani tutaj dawno? — zaczyna rozmowę pan Oborski.

— Od pół godziny.

— A co się stało z pani poprzednikiem, staruszkiem?

— Poszedł na obiad.

— I zostawił kasę pod strażą anielską.

Po zmieszanej twarzyczce Doli prześlizgują się oczy niebieskie, jowialne.

— A moja reszta? – pyta pan Oborski.

— Reszta?

— No tak, przecież za kwartał bierzecie 2 rb. a ja dałem 3. Chyba, że podnieśli abonament od pół godziny... Jest za co!

Nikomu nie przyszło na myśl ją objaśnić, ile wynosi prenumerata roczna, półroczna i kwartalna.

— Ej, widzę, że pani zakochana. Z wzajemnością prawda? Brunet czy blondyn?...

Dola wydyma usteczka dla nadania sobie powagi.

Prenumerator, przyjrzawszy się jej dokładnie, spogląda na kwit.

— Jakże zrobimy? – udaje zafrasowanego. — Chyba tak: Pani mi odda rubla i zamieni trójkę na dwójkę. Ot, wyszedłem na profesora — śmieje się, błyskając białymi zębami.

— Dola jest zawstydzona.

— Panie — szepcze, podając mu kwit prze-

mazany — ale pan nie powie redaktorowi - bo ja... bo jestem jeszcze niewprawna.

— Mam nie mówić? A co za to dostanę?

— Może się co panu oberwie — odpowiada mu za Dolę stary Bodnar, wracający z obiadu.

— Jak się pan miewa! — wita go niezmieszany bynajmniej prenumerator z Granicznej. — Właśnie nam pana brakło.

— Widzę, że tu jestem potrzebny.

— O! zazdrośnik! Chciałby siedzieć sam na sam.

— Ma pan kwit?

— Mam.

— Czego pan sobie więcej życzy?

— Grzeczności, mój panie.

Prenumerator z Granicznej odchodzi, mrucząc pod nosem:

— Stary Cerber!

. . . .

— No, dzięki Bogu! Trzeba okna otworzyć, niech wyjdzie ten *odor di femina* — woła Płatek.

Znowu kilka głów zasłania okno, wychodzące na podwórze. Znowu kilka par oczu ściga Dolę.

— Włosy śliczne! A jaka strzelistość postaci! — zachwyca się Tytus-Marek.

— Brzydka nie jest — przyznaje łaskawie

Płaton — ale w życiu nie widziałem takiej gęsi! Bo niech sobie będzie głupia — i owszem — ja to nawet lubię w kobiecie. Ale poco włazi na naszą grzędę. Kury macać, krowy doić, pończochy cerować, ale nie pchać się do literatury...

— Jaka tam literatura! Wpisywanie ogłoszeń... — wstawia się Van Niecki.

– Czemu jej ten stary nie zaprowadził do redakcyi »Gleby«? Wiedział, że idyotka, i chciał nas w nią »ubrać«.

— Ej! Płaton, dałbyś pokój. Niema za co mu urągać. Jabym mu nawet podziękował — wtrąca Tytus-Marek. — Śliczna, a co za temperamencik! Widziałeś brew jednolitą?

— A chrapki latają jak u młodego źrebca — unosi się redaktor. — Widziałeś usta?

— Grube, szerokie! — bluźni Płaton.

— To się nie znasz, patrzysz jak wół w aptekę. Usta ma śliczne – wargi wypukłe, a górna pod samym noskiem jakby lekko rozduszona pocałunkiem.

— A to jej się redaktor przyjrzał – odzywa się Szymon.

— Dość mi raz spojrzeć na kobietę, widzę wszystko!

— Aż tyle! — podchwytuje Tytus-Marek.

— No i co? Warto ją było przygarnąć za ogłoszenia?

— Mój redaktorze, jabym ją przygarnął i darmo — ofiaruje się Tytus-Marek.

— Ja nie — upewnia Platon.

Ale nikt mu nie wierzy.

. . . .

— Jakże tam było! Wszyscy w redakcyi padli trupem! — szydzi z Doli jej brzydka kuzynka Amelcia.

— Naturalnie, że wszyscy się w niej zakochali — przerywa siostrze Jadzia, dla której niema na świecie piękniejszej istoty od Doli.

— Tak, wam obu się zdaje, że cała Warszawa od Placu Zamkowego do Belwederu czekała tylko przybycia panny Adeli Żalińskiej, aby ją królową ogłosić.

— Że nie ciebie ogłosi, to pewno, i dlatego jesteś taka zła — odcina za kuzynkę Jadzia.

Dola nic nie mówi, wygląda zgnębiona, co wprawia w wyborny humor Amelcię.

— Przyznam ci się — dowodzi uszczypliwie — że za nic na świecie nie zgodziłabym się przesiadywać po parę godzin sama z mężczyznami... Chociaż, co prawda — ty i ja, to zupełnie co innego. Panny ubogie muszą znosić wiele przykrości...

Dola od przybycia do Warszawy, miała czas oswoić się z lekceważącym tonem Amelki, lecz drażni on ją dziś bardziej, niż zwykle.

Poco wujenka zaprosiła ją na obiad? Lepiejby jej było w czterech ścianach wynajętego pokoiku.

— Co prawda, dziwię się radcy Olbięckiemu — wtrąca wujenka. — Nie mógł też znaleźć dla ciebie właściwszego miejsca.

— Niech się mama uspokoi — syczy znowu Amelka. — Ona tam przecie długo pracować nie będzie. Po paru tygodniach poznają się na jej geniuszu. Toż nawet nie skończyła tego marnego Instytutu, i zachciewa się jej być literatką. Lepiej od razu zapisać się do biura stręczeń i wziąć miejsce guwernantki...

Panna Amelia chciałaby się pozbyć ślicznej kuzynki, zniechęcić ją do zamieszkiwania w Warszawie — czuje w niej współzawodniczkę niebezpieczną, której nie może pokonać toaletami od Hersego, ani nawet — posagiem.

— A wiesz — dodaje — wuj Zdzisław pisał z zagranicy. Oburzony, że przyjęłaś takie nieprzyzwoite miejsce. Mówi, że to wstyd, że to skandal, że musi w to wniknąć rodzina.

. . . .

IX.

Obrzutowicz znał Warszawę. Gdy po mieście rozeszła się wieść, że za kratką w »Brzasku«

siedzi złotowłosa panienka, ruch w kantorze znacznie się zwiększył, ale zysk z niego był mały.

— Ot, »zamawiają« się o byle co — utyskiwał Bodnar. — Tyle z tego pociechy, że człowiek musi odpowiadać na głupie pytania.

Uroda zastępczyni kasyera przyczyniała się tylko do jej osobistego powodzenia, a nie do powodzenia pisma. Szkodziła mu raczej.

Abonenci miejscy zaczęli opłacać nie kwartalnie, lecz miesięcznie, żeby módz częściej przychodzić, niektórzy nawet przestali prenumerować wogóle, kupując numery pojedyńcze. W kantorze było więcej roboty, w kasie mniej pieniędzy.

Bodnar mruczał i narzekał.

— Potrzebne to nam było. Z temi kobietami zawsze bieda! — skarżył się przed Weyssem, który wciąż miał żal do Doli, że mu odebrała kilka rubli na miesiąc.

Obaj byli w złych humorach. Bodnar jednak chwilami wpadał w dobry. Działo się to wtedy tylko, gdy »wielbiciele« zamiast Doli, zastawali *jego* przy okienku. Dla tej złośliwej uciechy wracał wcześniej z obiadu, a gdy mu się udało spłoszyć jakiego »bawidamka«, zacierał ręce z uciechy.

Kratka była w oblężeniu. Ciągle ktoś o coś pytał, lub o coś prosił.

Młodzi ludzie zazwyczaj pragnęli przejrzeć komplety dziennika, szukając w nich jakoby artykułów politycznych, nekrologów lub sportowych wzmianek. Zasiadali przy stole, obok kasowego okienka i przy wertowaniu kartek nawiązywała się rozmowa.

Stary Bodnar kazał usunąć stół z korytarzyka przed kratą.

Panowie starsi zapytywali Dolę, czy można zaprowadzić panienki na najnowszą sztukę teatralną; ile kosztuje bilet drugiej klasy do Kairu albo do Miechowa.

Zwykle nie umiała odpowiedzieć na pytania i była tem bardzo zmartwiona.

— Ja nigdy nic nie wiem — wyrzucała sobie, i po kilkanaście razy w ciągu paru godzin zastępstwa traciła głowę zupełnie.

Coprawda, można było stracić przytomniejszą o wiele.

Ktoś prosił o odstąpienie marek za 27 kop., a płacił pięciorublówką; zanim mu wydała resztę, już drugi pytał o adres powieściopisarza, drukującego utwór w feljetonie »Brzasku«. Musiała wstać od kasy, szukać w książce bezpłatnych odbiorców pisma; nie znalazła jeszcze, gdy właściciel składu lamp informował się o ceny ogłoszeń.

Recytowała mu jak lekcyę, ile wynosi »opłata od wiersza petitem, garmontem lub za jego miejsce na szpalcie«.

Pewnego dnia wtoczyła się jakaś dobroczynna dama. Chciała prosić o polecenie sercu czytelników ubogiej staruszki i słowem honoru upewnić, że zasługuje na wsparcie; lecz tej prośby ani tego zaręczenia złożyć nie mogła, bo przy okienku stało dwóch panów, z których jeden bardzo usilnie zalecał Doli, aby się fotografowała z profilu, a drugi chciał koniecznie dowiedzieć się: kiedy będzie w teatrze i na czem. Miłosierna dama w swem oburzeniu zapomniała o protegowanej staruszce.

— Wstydu w oczach nie ma taka panna! Tylko zęby do mężczyzn szczerzyć. I to się nazywa emancypacya! — wołała odchodząc.

Nie mniej przeciwnym pracy kobiet był stary Bodnar.

— Znowu raut, — mruczał, gdy po powrocie z obiadu zastawał »trutniów«.

Z kurytarzyka poza kratką kazał wynieść kanapę i krzesła. Miało to taki skutek, że oburzyło dwóch starych kawalerów emerytów, żądnych wiadomości politycznych. Nie mogąc się ich doczekać w domu, przychodzili około 4-ej, aby zaraz po wyjściu numeru z pod prasy dostać go i odczytywać na owej kanapce.

— Cóż to za nowe porządki! Pożałowali człowiekowi tego kawałka drzewa — oburzył się starszy, z nosem krogulczym.

— Bo to tak zawsze, jak kura chce prze-

krzyczeć koguta — wywodził drugi o twarzy apoplektycznej. — Dawniej, panie, kobiety nie wścibiały nosa w nieswoje rzeczy i było dobrze. A teraz wszędzie ich pełno, rządzą się, jak szare gęsi. Do czego to dojdzie... lepiej, że ja już tego widzieć nie będę.

Dola czuła się bardzo nieszczęśliwą i bardzo winną, bo należało przecie okazać niepożądanym wielbicielom, że nie jest rada z rozmowy. Czuła to, lecz zrobić tego nie umiała.

Wychowano ją na pannę salonową, nie potrafiła odpowiadać inaczej, jak z uśmiechem i wdziękiem. Czyniła to nawet nie przez kokieteryę, lecz przez salonową grzeczność.

Taka grzeczność bywa przekleństwem kobiet, wychowanych w cieplarni. Dają się one nieraz zgubić — przez delikatność, żeby nie urazić tych, którzy na ich zgubę czyhają.

. . . .

Wśród gwaru, zgiełku, wśród umizgów niemiłych jej wielbicieli, niezadowolenia interesantów, bólu nóg, głowy, Dola przyjmowała pieniądze, wypisywała kwity i odpowiadała na pytania, a robiła to wszystko źle, niedokładnie.

— Znowu dziś nie zgadzają się rachunki — gromił ją Bodnar. — Braknie 1 rubel 12 kopiejek.

— Musiałam czegoś nie zapisać.

10*

— Naturalnie, jak zawsze.

— To nic, dołożę.

Wyjęła pieniądze z portmonetki.

— Nie o to chodzi — protestował Bodnar. — To tylko plątanina. Każdy grosz powinien być wciągnięty, zapisany. Wczoraj było w kasie za dużo — także źle.

Od trzech tygodni Dola dołożyła już z własnej kieszeni 15 rubli, dla pokrycia niedoborów.

Ale pewnego dnia w kasie zabrakło już nie kopiejek, ale poważnej sumy — 76 rubli.

Było to przed nowym rokiem i, jak zwykle w tym czasie, roboty bardzo dużo. Oprócz niepowołanych interesantów, do okienka tłoczyli się prenumeratorowie. Dola starała się skupiać uwagę, liczyła skrupulatnie otrzymywane pieniądze. No, i mimo to wynikł deficyt.

— Niech pan jeszcze raz przeliczy, mój drogi panie — prosiła Bodnara. — To nie podobna, żeby aż tak dużo brakło.

— Liczyłem trzy razy w oczach pani. A *ja* liczyć umiem. Zapewne kręciły się te chłystki, zawracały głowę i wydała pani za dużo reszty.

— To się ten ktoś za chwilę zgłosi i odda pieniądze.

— Akurat! Zna ich pani! U nas ludzie albo nie wiedzą, ile mają w portmonetce, albo cieszą się, że ktoś pomylił się na ich korzyść. Zresztą, pewien jestem, że do deficytu przyczynił się nie

jeden interesant, lecz kilku, może nawet kilkunastu... Dawała im pani po troszeczkę za dużo i z tego urosło 76 rubli. Ogólny obrót 1024 ruble. Pewno nigdy nie miała pani w ręku takiej sumy.

— Dziękuję, że się pan na mnie nie gniewa. Ale czy to będzie można ukryć do jutra przed panem Obrzutowiczem?

— A cóż się zmieni do jutra?

— Zapłacę.

— Ma też pani pieniądze?

— Już nie.

— Więc skąd?

— Powiem panu, ale pan mnie nie zdradzi.

— Nie jestem kobietą.

— Mam piękny pierścionek z brylantem. Widzi pan. Dał mi go ojciec, a dając, prosił, żebym go nie sprzedawała, chyba w ostatniej nędzy. A to jest gorzej od nędzy.

Pokazywała brylant ogromny, okrągły u góry, zwężający się ku dołowi, oprawny misternie w listki srebrnej róży — staroświecki zabytek. Wielu pokoleniom męskim służył za spinkę do kontusza, potem za szpilkę do krawata. Ojciec Doli kazał go dla niej oprawić w pierścionek. Przez parę miesięcy przeleżał w kieszonce od kamizelki pana Kazimierza, zamieniony na rubinową gwiazdę, którą Dola nosiła z medalikami. Teraz, ku zgorszeniu Platona Krzeczunowicza

i korektora Szteina, błyszczał na czwartym paluszku pomocnicy kasyera.

— Komu pani chce sprzedać ten pierścionek? — spytał ją Bodnar.

— Pójdę do pierwszego jubilera.

— Do pierwszego lepszego. To już najlepiej do żyda. Dostanie pani z dziesięć rubli.

— Przecież to warte kilkaset. Ojciec mi mówił.

— Z pewnością. Ale żaden jubiler tyle nie da. A słyszała pani o instytucyi dobroczynnej, zwanej lombardem?

— Coś mi się obiło o uszy.

— Więc niech pani teraz słucha. Pierścionka nie sprzedamy, bo szkoda pamiątki, no, i klejnotu. Zaniesiemy go do lombardu. Wart ze czterysta rubli. Toć dadzą z pięćdziesiąt.

— A skąd wezmę resztę?

— Resztę ja pani pożyczę.

— Nie, nie, mój drogi panie. Ja panu bardzo, bardzo dziękuję. Pan taki dobry, ale przyjąć pożyczki nie mogę, bo skądże oddam. Nie zostało mi już ani rubla z przywiezionych do Warszawy pieniędzy.

— Proszę słuchać starszych, bo młodzi od tego. Że zrobiło się jedno głupstwo, to nie racya, żeby robić drugie. Ja pierścionek zastawię, kwit schowam, i będę pilnował, żeby pani opłacała procenty. Możnaby dostać za niego w lombardzie i sto rubli, ale rozeszłyby się na fatałaszki. I ja

mógłbym pożyczyć całą sumę, ale tego nie zrobię, bo chcę, żeby pani miała naukę. Odtrącać będę z pensyi po pięć rubli na miesiąc a tych chmyzów rozpędzę na cztery wiatry. Dużo pani przyszło z tej hołoty? Jeszcze dopłacać do tych umizgów! To już nie warto.

Stary Bodnar, choć na pracę kobiet narzekał i mruczał, do swojej koleżanki miał słabość. Gromił ją czasem w oczy, ale poza jej plecami zawsze bronił.

— Biedactwo, stara się, robi jak umie najlepiej. To nie jej wina, że śliczna i że trutnie zawsze na miód łase — przekładał ekspedyentowi, wciąż jeszcze zażalonemu na Dolę, choć dano mu inne zajęcie, nawet wyżej płatne.

— Gdybym ja tak sprowadzał sobie panienki do kantoru, jak ona chłopców, wyleliby mnie zaraz. Takiej wszystko wolno — sarkał Weyss.

— A! przepraszam, ona tu nikogo nie sprowadza, — oburzał się Bodnar. — Zwabiają się sami.

. . . .

Nazajutrz w godzinach obiadowych kasyera, Dola nie mogła znowu poradzić sobie z interesantami prawdziwymi i takimi, którzy nie mieli żadnego interesu, oprócz chęci przyjrzenia się jej złotym włosom i siwym oczom.

— Czy mogę się dowiedzieć o adres dra X.,

wie pani, tego, co leczy hypnotyzmem? — pyta jakiś młodzieniec w bobrowym kołnierzu.

— Może pana poinformują w redakcyi — odpowiada mu Dola.

— Chciałbym jeszcze dowiedzieć się o tym nowym sposobie wzbudzania miłości przez suggestyę.

— Proszę pana, ja teraz nie mam czasu.

— Nie szkodzi. I ja wolę w godzinach poza biurowych.

— Przepraszam, możeby państwo przerwali tę miłą rozmowę. Chciałbym zaprenumerować pismo — odzywa się poza plecami lowelasa chudy staruszek.

— I ja również — oświadcza złoty młodzieniec.

— Słyszałem, że pan chce schadzki.

— A panu co do tego?

— To, że możesz pan ze swymi konceptami iść do knajpy. Ale i panna dobra!

— Jak pan śmie ubliżać damie.

— Taka to i dama, skoro pozwala na tłuste koncepty...

— Tłuste koncepty nie przecisną się przez kratkę — łagodzi Obrzutowicz, który słysząc podniesione głosy, wpadł z drugiego pokoju.

— Ładne tu się dzieją rzeczy! — woła prenumerator. — Ani myślę czytywać takiego pisma! Proszę mnie wykreślić.

Odchodzi oburzony.

Lowelas już się przed tem wysunął.

Dola zostaje sama z wydawcą.

— Tak dalej iść nie może! — oświadcza, godząc w nią ostrem spojrzeniem. — To skandal. Panine umizgi wypłoszą nam wszystkich prenumeratorów.

Nikt w życiu nie przemawiał do Doli w ten sposób. Trudno jej było uwierzyć, że te słowa stosują się do niej. Wstała od biurka, ruchem nerwowym poczęła przekładać księgi rachunkowe i kwitaryusze... Uciec stąd jak najprędzej i nigdy nie wrócić!

Ponsowe usteczka, rozgniecione jakby pocałunkiem, przybierały kształt podkówki.

Ta podkówka wstrzymała gromy, zawieszone nad jej głową. Obrzutowicza zdjęło zwykłe mężczyznom tchórzostwo przed sprawieniem... sobie przykrości i kłopotu widokiem łez na twarzy kobiecej. To tchórzostwo nosi w stosunkach potocznych nazwę — delikatności...

Do takiej obawy przyłączył się wzgląd inny: radca Olbięcki gotów na przyszły rok cofnąć ogłoszenia.

— Niechże pani tak zaraz do serca nie bierze — zaczął innym już głosem Obrzutowicz. — Człowiek może się zniecierpliwić... Te próżniaki łażą i łażą — i nic z tego. Żeby choć jeden

zaprenumerował! Trzeba dla pani wynaleźć inne zajęcie, — zdala od publiczności.

— Ja proszę pana nie zdam się tu na nic. Sama to widzę. Od jutra...

— Ale cóż znowu! Że tam się jakieś słowo wypśnie, to rzecz ludzka, mógłbym być ojcem pani... No, no, przeprosimy się, prawda? Nie taki znowu jestem straszny, jak się wydaję...

— Panie Weyss — zawołał otwierając drzwi od przyległego pokoju. — Wrócisz pan na dawne miejsce. Będziesz zastępował pana Bodnara.

— Jabym wolał zostać przy ekspedycyi miejskiej.

— A jeszcze wczoraj skarżyłeś się, że panna Żalińska chleb panu odbiera.

— To swoim porządkiem.

— Pani od jutra przejdzie do redakcyi, — oznajmia Doli wydawca. — Zna pani obce języki?

— Znam.

— To się coś dla pani obmyśli. A teraz proszę mi dać rączkę, i zgoda.

. . . .

Dalsze losy Doli rozstrzygnęły się tegoż wieczora na sesyi redakcyjnej.

— Wieczny kłopot z tą dziewuchą! — krzyczał Płaton, uderzając w stół pięścią.

— Dziewucha! — Wiesz, znalazłeś trafne

określenie — przerwał mu stary Werpiszewski, oburzony w swym estetyzmie.

— Mówiłem od razu, że ta szlachecka latorośl na nic nam się nie zda — dowodził Obrzutowicz.

— Ale ogłoszenia panu się zdadzą — reflektował go Van Niecki.

— Ogłoszenia — ogłoszeniami, a ja tracić nie mogę, dlatego, że panna ładna i głupia.

— Oj! że głupia, to prawda — podchwycił skwapliwie korektor. Niechby sobie miała klejnoty — skąd, to jej rzecz, ale powinna rozumieć, że kasyerce nie uchodzi błyskać brylantem, wielkości grochu.

— A mógłby też redaktor ściągnąć z niej te ponsowe bluzki i kazać jej szyję zakrywać. Sensu niema — dorzuca Rusin.

— A cóż ja? Cóż mnie do tego? — broni się Van Niecki.

— Na mieście mówią, że ona patrzy na redaktora, jak w słońce — mówi pochlebnie Sztein.

— Gałgany! czegóż to nie powiedzą, czego nie dopatrzą — bronił się redaktor, chcąc dać wiele do myślenia.

Dzięki lotności swej wyobraźni, zwykł był od razu wchodzić w każdą rolę, którą mu poddawano, zwłaszcza w romantyczną lub bohaterską. Próżność kazała mu wierzyć we wszelkie pochlebstwa i szyderstwa.

— Dziewczyna aż się mieni na widok redaktora — wtrąca Sztein, w nadziei, że Van Niecki wyjedna mu podwyżkę.

— Cóż znowu! Cóż znowu! — Toć każda kobieta we mnie kochać się nie może.

— Jedna na pięć, to pewno — mówi Płaton, mrugając na Szymona.

Redaktor tego mrugania nie widzi, a procent zakochanych nie wydaje mu się za wysoki.

— Kocha się, czy nie kocha, tego nie wiem — ciągnie swoje Obrzutowicz — ale to wiem, że jej przy kasie zostawić nie można, bo jeszcze kiedy wielbiciele kratki obalą i pieniądze zrabują.

— A chciałeś pan sam tego — przypomina mu Płaton. — Dobrze tak panu. Dziewczyna ma powodzenie, ale dla siebie, nie dla pańskiej kasy.

— Pan się zapominasz! — woła wydawca.

— Nie, panie, ja tylko przypominam — krzyczy Płaton.

— Pan sobie zanadto pozwalasz! Ja tego dłużej nie zniosę!

— No, i pokłócą się o pannę — wchodzi między nich stary Werpiszewski.

— Bo wydać ją raz za mąż, i po krzyku, — radzi Tytus-Marek.

— To ją bierz — śmieje się Szymon.

— A za nią w posagu dwa pudy makulatury i trzy stare roczniki — dorzuca Płaton, odwracając się plecami do wydawcy.

— Ja bo się dziwię, że dotychczas nie znalazła amatora — odzywa się Tytus-Marek.

— A ja nie. Zapominacie, że *golissima* — przekłada Szymon.

— Wyobrażam sobie, jaka to śliczna... golizna — wtrąca Tytus-Marek, podkręcając wąsa.

— Nic sobie nie wyobrażaj! Nie dla psa kiełbasa — wpada mu w słowo redaktor z miną, dającą dużo do myślenia.

— Dosyć już tego! — przerywa stary Werpiszewski. — Mówicie jak o ulicznicy.

— Dosyć już, dosyć! — wtóruje mu Obrzutowicz. — Wracajmy do przedmiotu. Co z tą panną zrobić?

— Schować ją w najdalszym pokoju — radzi Werpiszewski. — Nie można jej wystawiać na widok publiczny.

— *Bo rozłyżut' lude* [1]), — komentuje Rusin po swojemu.

— Czyż ona doprawdy taka ładna! Ja bo nie znajduję — dziwi się Sztein.

— Bo pan mógłbyś się przewrócić przez kobietę i nie dojrzeć, czy ładna czy brzydka — mówi z pogardą Tytus-Marek.

— Panowie, zbaczamy znowu na manowce — nawołuje do porządku Obrzutowicz. — Ładna, nie ładna, ale co jej dać do roboty?

---

[1]) Bo rozliżą ludzie.

— Niech robi korektę — decyduje Van Niecki.

— Dobre sobie! To ja mam płacić za ogłoszenia pana Obrzutowicza — woła Sztein, zatrwożony.

— Nie bój się pan — uspakaja go wydawca — pensyi panu nie obetniemy.

— To co innego. Ale powinienbym jeszcze dostać podwyżkę za uczenie panny.

— Ona się wcale nie nauczy. Za głupia — orzeka Płaton.

— Wiadomo, jak gęś — wtóruje mu Sztein.

— Ale nie mniej biała — dorzuca Tytus-Marek.

— Zresztą ona nic nie potrafi. Więc mniejsza o to, co będzie robić — przekłada Rusin.

— Spróbujmy z korektą. Zobaczymy — decyduje redaktor.

. . . .

Nazajutrz posadzono Dolę w pokoju nieprzechodnim, obok Szteina. Ten pan z krzaczystemi brwiami, wciąż nachmurzony, przejmował ją nieopisanym lękiem. Starała się skupiać uwagę, aby zapamiętać wszystkie znaki kabalistyczne, kreślone na marginesach odbitek. Zdawało jej się, że każdy hieroglif jest niewzruszonym dogmatem, że gdyby go wypisała inaczej, wpłynęłoby to na losy dziennika.

Wszelkie zajęcia, wymagające natężonej uwagi,

skupienia, roztropności, nie leżały w zakresie jej uzdolnień.

Dokładała wysiłków, aby zrozumieć, zapamiętać. Sztein objaśniał ją tak ostro i niechętnie, że wolała popełniać omyłki, niż pytać.

Z dniem każdym wśród sztabu redakcyjnego wzmacniało się przekonanie, że »panienka« jest do niczego.

Dzieliła je ona sama i była w rozpaczy.

. . . .

X.

Dola miała najlepsze zamiary wobec swojej pracy, ale, mimo wysiłków, myśl jej odbiegała od biurka — do teoryi wsączanych w nią przez dra Derkacza, do troski o zdrowie, do wspomnień przeszłości i kłopotów powszednich. A miała ich sporo z urządzeniem sobie życia.

Dotychczas, i w domu rodziców, i w domach obcych, w których była nauczycielką, nie myślała o żadnych sprawach codziennych, żyła w świecie uczuć, wspomnień, żalów i pragnień, całą jej myśl pochłaniało jedno: głód, ciekawość miłości.

Wpatrzona w ten jeden punkt, nie dostrzegała, że jest na świecie coś i ponad nim i poza

nim, a już wcale nie widziała szarzyzny tego, co się składa na dzień powszedni.

Nie nauczono jej opromieniać tej szarzyzny poczuciem i spełnianiem obowiązków. Ojciec, cichy bohater, zawieszony był w abstrakcyach, matka, osoba egzaltowana, żyjąca marzeniem, niezadowolona z tego, co jej przypadło w udziale, odgradzała Dolę od prozy życia. Gdy kiedyś przy stole, wyciągnęła rękę po karafkę, pani Żalińska zgromiła ją słowem i spojrzeniem:

— Od czegoż Filip i Andrzej? Chcesz, żeby ci dłonie zgrubiały.

Więc Dola i potem, wśród pracy na chleb, nie wyciągała ręki po żadną rzecz realną i nie przykładała jej do niczego, coby mogło rozwiać poezyę tęsknot i upojeń miłosnych.

Panny służące w Bołhanie, w Parypsach, czyściły jej suknie, przyszywały tasiemki, guziki.

I oto nagle zaczynało się życie zupełnie nowe, z myślą i troską o to, co się będzie jadło, co się na siebie włoży.

Po przybyciu do Warszawy zamieszkała w apartamencie swojej wujenki, baronowej Derp, w czasie jej nieobecności letniej.

Mieszkanie było puste, zaglądał co dni parę kamerdyner, pozostawiony dla strzeżenia apartamentu, pozostawiający go na łasce Boskiej, a po przyjeździe Doli — na jej opiece.

Bała się okropnie, nawet w dzień, wśród pustych pokojów, a cóż dopiero w nocy. Spać nie mogła. Paliła wszystkie lampy, zaglądała pod kanapy i łóżka, błagała żonę stróża, aby nocowała w kuchni, lecz kobieta, obarczona kilgorgiem dzieci, nie mogła spełnić tej prośby. Kamerdyner, Walenty, litował się nad nią i czasem na noc przychodził — za hojnem wynagrodzeniem. Zarekomendował jej swoją żonę do posługi.

Walentowa nie miała pojęcia, jak obchodzić się z błyszczami i pastami, które nadawały glans wytwornym pantofelkom i bucikom Doli; nie miała nigdy w ręku jedwabiu ani aksamitu i tak samo, jak panna Żalińska, która w nich wzrosła, poradzić sobie nie mogła z doprowadzeniem ich do porządku.

Dola nie umiała nawet rozpakować rzeczy, które dla »kochanej panienki« ułożyła w kufry służąca pani Hoszowskiej, panna Malwina.

Parę dni zajęły jej poszukiwania szczoteczki do zębów. Ten pościg wytworzył w kufrach nieopisany chaos.

Miała stroje, odpowiednie do salonu i powozu, jasne powiewne, poetyczne, lecz najniepraktyczniejsze, jakie można było wymyśleć, przy nowych warunkach pracy.

Walentowa, poznawszy, z kim ma do czynienia, wyłudzała od Doli to jaką chusteczkę do

nosa, to prześcieradło, a nawet koronki dla swoich »robaczków«.

Pieniądze, przywiezione do Warszawy, toczyły się szybko. Dola nie umiała liczyć, i tem samem — oszczędzać.

Pewnego dnia weszła do sklepu z zamiarem kupienia praktycznej sukni, na codzień.

Tymczasem wpadł jej w oko leciutki jedwab rubinowego koloru. Kupiła materyę, dobrała do niej pluszu i, uszczęśliwiona, zaniosła swój sprawunek do krawcowej. Kazała jej zrobić toaletę dekoltowaną. Wszak ktoś z krewnych — choćby wujenka — zaprosi ją na bal w karnawale, i suknia się przyda. W imię praktyczności, postanowiła dokupić na drugi stanik — pod szyję.

Przy takiem rządzeniu się, w krótkim czasie wydała swe oszczędności.

Trzydzieści rubli na miesiąc miały wystarczyć na zaspokojenie wszystkich jej potrzeb, a dotychczas przy 600-rublowej pensyi i wiejskich wygodach, brakło jej zwykle pieniędzy; dzieląc się połową zarobków z matką, resztę wydawała nieopatrznie, bezładnie.

— Biorę panią w kuratelę – oświadczyła pani Hoszowska, poznawszy niepraktyczność Doli. — Kładę areszt na pani dochodach, wyznaczam po 3 rb. miesięcznie na drobiazgi; co będzie trzeba, kupię sama, resztę schowam i oddam pani, gdy się będziemy rozstawać.

Dzięki takiemu systemowi, Dola, wyjeżdzając z Paryps, otrzymała trzysta rubli.

W chwili obejmowania posady w »Brzasku«, dzięki sobie i Walentowej, miała już zaledwie rubli pięćdziesiąt i połowę rzeczy, przywiezionych ze wsi.

Teraz dopiero, w zetknięciu z życiem powszedniem, widziała, jak trudno sobie radzić nie tylko z ludźmi, ale i z własnemi toaletami; poznawała całą niepraktyczność swego wychowania.

Uczono ją czterech języków, muzyki, do której nie miała żadnych zdolności, uczono ją tańczyć, kłaniać się, prowadzić salonową rozmowę. Były to kunszty nieodzowne dla przyszłej żony i matki.

Uczono ją być »panną na wydaniu«, nie nauczono jej być człowiekiem. Uczono literatury indyjskiej, nie nauczono spełniać obowiązków, stawiać się na godzinę.

Nie uzbrojono jej ani w cnoty obywatelskie, ani w drobniutkie zalety praktyczne.

Umiała stąpać lekko po ziemi, stawiając nogi w trzeciej pozycyi, ale nie umiała zacerować pończoch, gdy się przy tem pięknem stąpaniu — podarły.

Była rośliną z cieplarni, którą wiatr zaniósł na czarną skibę, zoraną pod chleb powszedni.

Stanęła do żniwa z rękami, którym nie wolno było... podnosić karafki.

11*

Takich roślin cieplarnianych dzień dzisiejszy coraz mniej wydaje. Za dużo miało ich wczoraj. Oby jutro nie znało ich wcale!...

. . . .

Po przyjeździe wujenki, Dola znalazła się w konieczności szukania dla siebie mieszkania.

W tym czasie właśnie powróciła ze wsi kuzynka jej ojca, panna Józefa Jabłonowska, osoba niemłoda, niepozorna, lecz wielkiej zacności. Przygarnąć jej u siebie nie mogła, z powodu szczupłości dochodów i mieszkania, ale widząc niepraktyczność Doli, postanowiła zająć się urządzeniem jej życia.

Wynalazła pokój »przy rodzinie«. Rodzinę składały dwie stare panny, siostry, pokój był obszerny, umeblowany po staroświecku. Panie Daleckie rade były z lokatorki cichej, niewymagającej. Za dwadzieścia pięć rubli na miesiąc dawały jej pokój z całodziennem utrzymaniem.

Cena była nizka, jednak przejmowała Dolę zdziwieniem.

W pierwszej chwili trzydziestorublowa pensya w »Brzaskn« wydała jej się tylko o dwadzieścia rubli mniejszą, niż nauczycielska. Nie zastanowiła się, że trzeba będzie ponosić wydatki, o których nie miała pojęcia. Płacić za mieszkanie — to przecież rzecz niesłychana.

Dziwiły Dolę niezmiernie potrzeby i koniecz-

ności życia miejskiego, lecz z drugiej strony jego rozmaitość, łatwość otrzymywania wrażeń, upajały wprost dziewczynę, zgłodniałą życia.

Na wsi, choćby się miało najwięcej czasu, nie było możności użyć go według zachcianki.

Po raz pierwszy otwierała się przed Dolą swoboda zupełna. Korzystając z niej, spacerowała po alejach i ogrodach publicznych, ubrana zwykle jasno. Zwracała ogólną uwagę mężczyzn, którzy, sądząc z toalety, nie wątpili, że szuka wrażeń, a widząc twarzyczkę, gotowi byli ich dostarczyć.

Pewnego dnia, o zmroku, jakiś młodzieniec w ogrodzie Saskim zapytał ją: czy pozwoli sobie towarzyszyć?

Dola zdziwiła się bardzo. Młodzieniec, z podkręconym wąsikiem, ubrany wedle najświeższej mody, wydał jej się obcym, a jednak skoro się zbliżył musiał jej być gdzieś przedstawionym.

Spojrzała na niego oczyma zdziwionemi, lecz gdy ponowił pytanie, właściwie propozycyę, szepnęła:

— Dziękuję.

— Dziękuję: tak czy nie? — podchwycił, a nie czekając na odpowiedź, zaczął iść obok niej.

— Pani nie warszawianka? — zadecydował. — Wszak z Podola.

— O nie! Z Ukrainy! — zaprzeczyła.

— To wszystko jedno.

— Tutaj tak myślą.

— Podole, Ukraina, Litwa — o miedzę.

Oburzyła się.

— Warszawiacy nie znają geografii — odrzekła.

— Po co? Każdy kraj dobry, byle w nim były piękne kobiety. A widocznie, najpiękniejsze — na Ukrainie.

I ten pan i ta rozmowa nie podobały jej się wcale.

Zdobyła się na odwagę.

— Przepraszam — rzekła — muszę wstąpić do sklepu.

— Z papierem? Doskonale się składa. I ja potrzebuję ołówka.

Wszedł za nią. Zmieszana spłoniona, nawpół przytomna, prosiła o bibułę i atrament.

— Więc i literatki bywają śliczne! — szepnął, stając obok niej.

— Jednak mnie zna. Wie że pracuję w redakcyi: pewno który z prenumeratorów — pomyślała. — Ale który? Nie wypada go pytać o nazwisko.

Wyszła na ulicę — on za nią.

Zaczynał już pojmować, że się omylił.

Mimo ponsowej sukni i zawadyackiego kapelusza — nie była jednak »samotną panienką« szukającą przygód. W każdym razie gąska parafialna.

Nie szkodzi. I takie mają swój powab.

— Pani idzie do domu? — spytał, gdy stanęła przy bramie kamienicy wujostwa na placu Zielonym.

Nic mu nie odpowiedziała. Wbiegła w bramę.

— Wiesz — zawołała zdyszana do kuzynki Jadzi — jakiś pan szedł tu ze mną. Nie wiem kto to taki.

— Pewno go wcale nie znasz. Po prostu zaczepił cię. To taki zwyczaj w Warszawie, w dużych miastach.

— Taak? Pierwszy raz słyszę.

— Widzisz, a ja jestem młodsza i już słyszałam, że mężczyźni to robią.

— Po co?

— Dla swojej przyjemności. Ale i kobiecie musi być przyjemnie. Jak ja tobie zazdroszczę! Chodzę zawsze z *miss* i nikt mnie zaczepić nie może... Moja droga, gdyby ci się jeszcze raz zdarzyło, to mi opowiesz...

Nazajutrz, dzięki informacyom, zasięgniętym u stróża, lowelas uliczny o godzinie trzeciej czekał już przy bramie domu na Szpitalnej, gdzie mieściła się redakcya »Brzasku«.

Dola przeszło mimo, nie odpowiadając na jego ukłon.

To, że ją odszukał w tak dużem mieście, wydało jej się wprost niepojętem, a w dodatku — romantycznem.

Chcąc mu okazać, że uważa spotkanie za niewłaściwe — odęła usteczka, brwi podniosła i przyśpieszyła kroku.

Don Żuan był odważny. Nie zraziły go tak groźne przeszkody.

— Całą noc marzyłem o Pani — deklamował, zaglądając jej w oczy.

Próbowała go wyprzedzić, lecz nie ustępował jej kroku.

— Pani dzisiaj na mnie niełaskawa, wczoraj byłem szczęśliwszy — mówił.

Zbywała go milczeniem.

— Niechże przynajmniej się dowiem, za co popadłem w niełaskę.

Dola wreszcie odważyła się przemówić.

— Ja pana nie znam — rzekła drżącym głosem. — Pan mi nie był wcale prezentowany.

— O to chodzi? I owszem, mogę dopełnić tej formalności. Walery Dudziński, zawsze na usługi pięknych kobiet. Już wiem gdzie pani mieszka, gdzie pani pracuje. Byle więcej takich literatek! Bo to zwykle — brzydkie, chude, w okularach...

Stanęła przed małym sklepikiem na Świętokrzyskiej i wpatrywała się w szybę. Zaczynała się bać na dobre.

— Jaki ładny szuwaks! a mydło jeszcze piękniejsze — mówił, stając obok niej.

Wpadła do bramy. On za nią. Ale w tejże

chwili otworzyły się drzwi parterowego mieszkania i wyszedł z nich dr. Derkacz. Ogarnął sytuacyę jednym rzutem oka.

— Pani będzie łaskawa ze mną — rzekł, biorąc ją pod rękę.

— Przepraszam, ja mam dawniejsze prawa — podsunął się lowelas.

— Pan masz prawa do mojej laski i nie odmówię ich, jeśli zaraz nie odstąpisz... Panno Adelo, proszę, odwiozę panią do domu... — rzekł otwierając drzwiczki swej karety.

— Opiekun dziewic Orleańskich — rzucił za nim lowelas.

— I pogromca lampartów — odpalił doktor, wychylając się przez okno powozu.

— Słusznie to panią spotkało, bardzo słusznie — gromił Dolę. — Jak można nosić jasną suknię w listopadzie.

— Ja nie mam innych.

— To sprawić, albo nie chować się w bramy.

— Pan był taki dobry. A teraz pan się gniewa...

— Bo pani potrzebuje niańki. Komu się to rwać do samodzielności!... A podobno i z tą pracą nietęgo.

— Skąd pan wszystko o mnie wie?

— Jestem pani życzliwy. A jednak mnie pani nie słucha.

— Już będę!

— Proszę pamiętać. Jakże tam ze zdrowiem?

— Czuję się bardzo osłabioną.

— Czemu pani do mnie nie przychodzi?

— Jestem zajęta w godzinie pana przyjęć.

— Mogę zarezerwować dla pani inną. Powiedzmy jutro, między godziną siódmą a ósmą. Odeszlę panią powozem, żeby nie było takich przygód.

— Dziękuję panu i przepraszam za kłopot.

Dojechali przed dom, w którym mieszkała.

. . . .

LIST PANI ŻALINSKIEJ DO DOLI.

Nowotrzeby, 12 grudnia 1891 r.

Moje nieszczęśliwe dziecko.

Po tylu gromach, które na nas wciąż spadały, wczoraj nareszcie doznałam pociechy.

Przyniósł ją twój list i zawarta w nim wiadomość, że masz koleżankę i że to osoba niezbyt młoda. Z serca spadł mi kamień; nie mogłam sypiać, na myśl, że ty, która nie rozmawiałaś nigdy z mężczyznami, jak tylko w obecności osób starszych, znalazłaś się wśród nich sama jedna. Dręczyła mnie obawa, co na to powie świat i czy zechcą cię przyjmować w towarzystwie? Powtarzam ci to zawsze: lepiej było zo-

stać nauczycielką. Miałaś przynajmniej opiekę. Ale nie mogę ci niczego zabronić ani rozkazać — wyłamałaś się zupełnie z pod mojej władzy. Teraz już taki prąd wieje na świecie. Co z tego wyniknie? Aż strach pomyśleć!

I moje pupilki, choć miłe i z dobrego gniazda, sprawiają mi dużo przykrości, nie zachowując się tak, jakbym chciała.

Że one robią, co nie wypada, to jeszcze mniej dziwne, bo na to są młode; ale doprawdy pojąć nie mogę, że ich ojciec, człowiek dobrze urodzony a nawet dobrze wychowany, patrzy na to przez palce. Raz nawet bardzo mnie uraził i swoim poglądem i formą, w jakiej go wypowiedział:

— »Niechże pani da pokój z tem ciągłem pilnowaniem dziewcząt — rzekł opryskliwie. — Po co sobie tyle kłopotu zadawać i na ból zębów się narazić! Cóż to! ludożerców przyjmuję w domu, żeby nie mogli ślizgać się z pannami po stawie bez kontroli. Od czegóż, u dyabła, są zasady, jeśli do stosowania ich potrzeba dozorców?«

Piszę ci to, żebyś wiedziała, jak, dobrzy nawet skądinąd, ludzie, miewają spaczone poglądy, i nie dawała posłuchu tym, którzyby cię namawiali na uchybienie przepisom, obowiązującym osoby z naszego towarzystwa. Pamiętaj, że te przepisy stoją na straży godności kobiecej — szanować je należy. Pannom Żelwietr można nie

jedno przebaczyć, bo rosły bez matki; swoją drogą ta swoboda obejścia przeszkodzi im w zamążpójściu. Nie każdy chce się żenić z panną, bogatą nawet, która jeździ sama konno, i bez opieki grywa z panami w krokieta.

Mam nadzieję, Dolu, że służący wujostwa odprowadza cię do domu, gdy wieczór u nich spędzasz. Pamiętaj, dziecino, że matka o ciebie truchleje każdej chwili dnia i nocy.

A czy przynajmniej jesteś wobec tych swoich kolegów chłodna, nieprzystępna? Mów z nimi tylko tyle, ile koniecznie potrzeba, nie spoufalaj ich, broń Boże! Literaci są źle wychowani, bo talent, rzecz przypadkowa i trafia się częściej u ludzi nizkiego pochodzenia, niż u szlachty, zwłaszcza dziś, gdy każdy kto chce, może się kształcić.

Jakie to smutne, że ty, moje biedactwo, pracować musisz! Nie na to cię wychowałam! Dostałaś taką edukacyę, że potrafisz się znaleść odpowiednio w każdej sytuacyi towarzyskiej, choćbyś wyszła za księcia krwi. A tyle umiesz, że i zarabiać na chleb możesz. Tylko mi prawdziwą literatką nie zostań! To ostatnia rzecz dla kobiety.

Dlaczego ci oni tak mało płacą? Trzydzieści rubli — to nie wystarczy nawet na toalety sezonowe a poza tem są przecież inne potrzeby. Znasz cztery języki. Mogliby to wyżej cenić.

Kłopoczę się o twoją garderobę. Jest z pewnością w stanie opłakanym. A wiedz o tem: gdy się jest ubogą, tembardziej należy ubierać się ładnie, żeby szacunku u ludzi nie stracić.

Posyłam ci śliczną bluzkę białą jedwabną, uszyłam ją wedle paryskiego modelu — a także fiszutkę Marie Antoinette z koronek Chantilly i kaptur do teatru. Gdy będziesz je nosić, pomyśl o twojej biednej matce, którąby ci chciała nieba przychylić, a tak mało może.

Moje pupilki, choć czasem niesforne, ale poczciwe, chciałyby cię poznać i serdecznie zapraszają na święta Bożego narodzenia. W tych czasach ma być w Warszawie pan Żelwietr. Będzie cię zapraszał. Wiesz jak pragnęłabym cię zobaczyć — nie widziałyśmy się już dwa lata — ale tej wielkiej radości wyrzec się wolę. Powiadam ci to szczerze. On tyle dla mnie i dla moich robi, że nie chcę nadużywać jego dobroci, i całej rodziny sprowadzać. Nie pisałam ci jeszcze, bo mnie to bardzo boli, że pan Żelwietr zaopiekował się Józiem, ale niestety, pokierował nim inaczej, niż ja chciałam. Mojem marzeniem było oddać go do Theresianum, gdzieby się wykształcił na dyplomatę. Pan Żelwietr perswadował mi, że do karyery dyplomatycznej potrzebna fortuna, a bez niej można »sekretarzować« do śmierci.

Nic mi nie mówiąc, sprowadził tu Józia

i wziął go, jak powiada »na spytki«. Okazało się, że Józio nie chce być dyplomatą, a ma wielki pociąg do agronomii. Pan Żelwietr prosił mnie, jak o łaskę, żebym mu pozwoliła zająć się jego losem.

— »Pani jest niepraktyczna — mówił (może ma trochę słuszności) — ja potrafię lepiej Józiem pokierować. Syna nie mam i będę najszczęśliwszy, jeżeli on mi go zastąpi. Jaka delikatność uczuć w tym chłopcu! Czy pani wie, że chciał mi koniecznie oddawać pieniądze, które mu posłałem na drogę: 50 rb. zaoszczędzone na korepetycyach«.

Słowem, pan Żelwietr »postanowił« (jakie to smutne że teraz o moich dzieciach obcy ludzie stanowią!) oddać Józia naprzód do Puław, a potem, na ukończenie — do Halli.

Bardzo wyraźnie daje mi do zrozumienia, że chciałby go wykierować na męża dla 15-letniej Ruci.

Mówił mi niedawno:

— »Nie chcę, żeby moje córki wyszły za mąż dla majątków lub dla tytułów. I nie chcę też, żeby się z niemi żeniono dla pieniędzy. Gotów jestem wydać obie za ludzi ubogich, byle z charakterem pewnym, bo charakter to grunt. Marzę o urobieniu sobie męża. Marynka nie zechce pewno czekać na edukacyę swego przyszłego męża, ale Rucia jeszcze błaźnica —

ma dużo czasu przed sobą i coś mi się widzi, że nie będzie sprzeczna moim pragnieniom«.

Udałam, że nie rozumiem tej aluzyi, zaniepokoiła mnie jednak. Powiem ci szczerze — o ile chciałabym, abyście wy obie wyszły za mąż świetnie i bogato, (ma się rozumieć nie wbrew skłonności), o tyle przykro mi nawet myśleć o bogatym ożenku dla Józia. Wszystko zawdzięczać żonie to poniżające! Niech sobie sam wyrobi pozycyę pracą. Będzie musiał gospodarować na cudzem — a to jeszcze gorzej, niż cudze dzieci uczyć. Skoro jednak sam wybrał taką karyerę, nic już na to nie poradzę.

Ale temu stanowczo się opieram, aby Zunia miała się uczyć pszczelarstwa. Zniszczyłaby sobie płeć zupełnie. I cóż to za zajęcie dla panny! Nie wiem skąd ta myśl przyszła jej do głowy. Codzień wieczorem tłómaczy mi, że mogłybyśmy mieszkać na jakiej pasiece, w małym domeczku. Tybyś przyjeżdżała do nas na wakacye i Józio.

Powiedz sama, Dolu, czy to ma sens? Ale ona nie da mi przyjść do słowa, a gdy jej przekładam, że panna z jej sfery nie powinna *se déclasser*, rzuca mi się na szyję i woła:

— »Co się też mamie zdaje! My nie należymy do żadnej sfery. Trzeba zejść dobrowolnie o kilka stopni, zanim nas ludzie zepchną!«

Słyszane rzeczy! A właśnie dążeniem mojem

było dać i tym dwojgu młodszym taką edukacyę, aby, jeżeli los uśmiechnie nam się znowu, mogli zająć każdej chwili stanowisko, należne im z urodzenia. Dlatego chciałam oddać Zunię do Hôtel Lambert: wykształciłaby się w językach i nabrała lepszych manier (bo ja nic ną nią w tym kierunku wpłynąć nie mogę).

Pobieram tu 700 rb. i starczyłoby mi na opłatę pensyi. Ja dla siebie nic nie potrzebuję. Chciałam wyprawić Zunię od nowego roku, tembardziej, że pan Żelwietr nie zgadza się na przyjęcie Angielki do swoich panien.

Dziwny to człowiek. Zwaryowany na punkcie swojskości. Najzacniejszy, ale despota. Nie daje mi własnemi dziećmi kierować, zwłaszcza Zunią. Perswaduje mi, że taka edukacya do niczego, że Zunia w Paryżu będzie płakać, tęsknić i chorować, i że daleko więcej może skorzystać w Nowotrzebach, ucząc się z Rucią; że jej lepiej pod mojem okiem, wśród przyjaciół, niż na obczyźnie.

Dałam się wreszcie przekonać, bo, coprawda, na myśl o rozstaniu z tem ostatniem dzieckiem, krajało mi się serce. Nie mam już zresztą dawnej energii, i ustępuję, nawet Zuni.

Wszak to już prawie panna. Szesnaście lat! Od czasu, jak jej nie widziałaś, bardzo urosła — wyższa od ciebie i zupełnie inna — pod każdym względem. Zdawało mi się dawniej, że ty jesteś

nieposłuszna. Teraz widzę, żeś była wzorem potulności. Zunia jest *volontaire* w najwyższym stopniu. Wychowana w innych warunkach, mniej wytworna, marzy o samodzielności. Zostałaby emancypantką, gdybym od czasu do czasu nie ujmowała cugli w rękę. Straciła tak dalece poczucie godności, że chce zupełnie zchłopieć.

Moje biedne drogie dzieci, na co wam zeszło! Płaczę nieraz całemi nocami, wspominając dawne, dobre czasy i kochaną Ukrainę. Moją jedyną osłodą — wasza poczciwość. Ze łzami czytałam twój list, w którym mnie prosisz o przyjęcie pięciu rubli dla Zuni. Poczciwe dziecko! Masz sama tak mało i jeszcze o nas myślisz. Zapowiadam ci, kochanie, że już nic dla Zuni nie przyjmę, a te pięć rubli dałam na mszę żałobną za duszę papy. I Józio bardzo dobry. Chciał mi koniecznie dać zaoszczędzone 50 rubli. Ma się rozumieć, nie wzięłam.

Ale nie myśl, że Zunia wyrodziła się od was. To złote serce, tylko głowa przewrócona, nie mogłam nad nią czuwać tak, jak nad tobą, dlatego rozhukała się troszkę. Już i w Warszawie, gdy trzymałam uczniów na stancyi, *elle voulait faire à sa tête*. Wymykała się i na pensyę szła sama, bez służącej, a gdy ją za to gromiłam, tłómaczyła mi, że służąca potrzebniejsza w kuchni. Słyszane to rzeczy! Zepsuły ją poniekąd realno-

ści życiowe, od których już jej odgrodzić nie umiałam, tak jak ciebie, moja pierworodna.

Pan Bóg odmieni może to jej usposobienie. Modlę się o to gorąco.

Ale czas już ten list zakończyć. Błogosławię cię drogie dziecię i Bogu polecam.

Twoja

Matka.

Ponieważ Żunia do Paryża nie jedzie, więc mam aż nadto pieniędzy. Posyłam ci 50 rubli i drugie 50 Hersemu, żeby ci zrobił ładną sukienkę. Wybierz ją sama.

. . . .

XI.

Pewnego dnia, wszedłszy do swego pokoju, przy drugiem biurku, zamiast powichrzonej czupryny Szteina, Dola ujrzała jakąś szarą głowę kobiecą.

Powitała koleżankę radośnie.

— Będziemy pracowały razem! Tak się cieszę!

Szara głowa podniosła się z nad korekt. W jasnej twarzy Doli utkwiły oczy stalowe, osadzone głęboko.

— Tak, będzie pani pracowała pod moim kie-

runkiem — oznajmiła koleżanka głosem bulgocącym w krtani, jak wrząca woda w kotle — a prosiłabym nie spóźniać się, jak dziś — dodała, patrząc na zegarek.

Dola, zmrożona, usiadła potulnie przy swojem biurku.

Od pierwszej chwili, brzydka, chuda, wiecznie rozsierdzona, panna Ewelina Ternicka, siostra żony Obrzutowicza, zajęła wobec niej stanowisko nieprzychylnego zwierzchnika.

Miała wprawę w korekcie, bo ją robiła od lat paru w drukarni szwagra. Nie przychodziło mu na myśl dać jej miejsca w redakcyi, ze względu, że brzydka i energiczna panna zaliczała się, bądź co bądź, do płci pięknej i słabej, nie dopuszczonej jeszcze w oficyalne przybytki pracy męskiej. Rzecz inna — za jej kulisy, pomiędzy kaszty zecerskie.

Gdy jednak przed paru miesiącami do uszu panny Eweliny doszła wieść, że w progi redakcyi wprowadzono kobietę, humor jej pogorszył się jeszcze, choć mogło się to wydawać niemożliwem.

— Naturalnie! Obcy mają zawsze pierwszeństwo! Swoi niech się wysługują w ciemnych norach, niech dostają suchot! Co to kogo obchodzi!

Te przymówki, z różnymi waryantami, powta-

rzała przy każdym obiedzie, spożywanym u Obrzutowiczów.

— Cóż tam porabia ów cud piękności? — pytała. — Kto dziś zakochał się w Ukraince? Może sam pan szwagier? Moja Lodziu, przygotuj się na różne niespodzianki — mówiła do siostry.

Obrzutowicz byłby najchętniej zgryźliwej pannie dom wymówił, ale musiał się z nią liczyć, naprzód dlatego, że miała swój kapitał, umieszczony w drukarni, a powtóre, że kontrolowała robotę, a sama pracowała za trzech.

Aby się uchronić od wojny podjazdowej, uległ wreszcie jej żądaniom, a zrobił to tem chętniej, że, jako krewnej i kobiecie, mógł jej zapłacić o kilka rubli mniej niż Szteinowi, który natomiast otrzymał dział kroniki zagranicznej.

. . . .

Po niefortunnej próbie nawiązania stosunków serdecznych z koleżanką, Dola stała się wobec niej jeszcze nieśmielszą, niż była wobec Szteina. Sam opieszały, nie wymagał dokładności w pracy. Panna Ewelina, pedantycznie sumienna i lubiąca musztrować, nie przepuściła Doli żadnej omyłki.

— Cóż to znowu? — mówiła, przeglądając korektę, już poprawioną przez koleżankę. — »Mężczyźni w swoich *zalotach*«?... Głodnemu chleb na myśli. Pani nie raczy zaglądać do rę-

kopisu, a tam stoi, jak wół: »w swoich *robotach*«.

Niebawem zdziwił ją, słusznie, nowy zupełnie okres czasu: »przyszłość niepowrotna«, którą Dola byłaby z najzimniejszą krwią wprowadziła na łamy »Brzasku«.

. . . .

— To się panie wczoraj zasłużyły postępowcom! - zawołał pewnego dnia Płaton, wchodząc do pokoju korektorek z numerem z dnia poprzedniego. — Co to ma znaczyć? — rzekł, odczytując podkreślony czerwonym ołówkiem ustęp: — »Ta nowa próba została *popsuta* przez świat katolicki«. Jutro »Gleba« wytoczy przeciw nam armaty za bluźnierstwo. Wszak najwyraźniej napisałem »*poparta*«. Któraż z pań jest tak antiklerykalna?

Patrzył drwiąco na Dolę, pewien, że to *jej* wina, oburzony z góry na jej »nieuleczalną głupotę«.

— Któż, jak nie panna Żalińska — podchwyciła starsza koleżanka z widocznem zadowoleniem. Po raz pierwszy Dola miała być zgromiona nie przez nią.

Lecz Płaton nagle front zmienił.

— Moja pani — rzekł do niej, ostudzony w swem oburzeniu — każdy człowiek jest omylny,

a korektor trzy razy omylniejszy od przeciętnego człowieka.

— Panna Żalińska, przypuszczam, dziesięć razy.

— Być może, lecz ładne kobiety, nawet gdy się mylą, miewają racyę — odparł Rusin z niezwykłą u niego dworskością.

— A nawet, gdy źle spełniają swe obowiązki, warte są pochwały — prawda?

— Święta prawda!

— Naturalnie! Możebyście panowie wyznaczyli pannie Żalińskiej nagrody za omyłki.

— Wyborna myśl! — huknął.

W kwadrans potem na biurku korektorki »dziesięć razy omylniejszej od przeciętnego człowieka« leżało duże pudło cukierków, pierwszy objaw sympatycznych uczuć kolegi.

— Podrzucają prezenty, jak aktorce! Niechby kto tak spróbował ze mną! — odgrażała się panna Ewelina... zupełnie niepotrzebnie.

Płaton, z prześladowcy, stał się obrońcą Doli, pełnym pobłażliwości dla jej omyłek, co zwiększało jeszcze niechęć panny Eweliny.

Prześladowania koleżanki zaczynały się od chwili wejścia Doli do redakcyi.

— Niechże się pani nie kręci i halką nie szumi! — burczała panna Ternicka. — Przy trzydziestu rublach pensyi stać na jedwabie! To dziwne!

Dola zanurzała się w korektach.

— Jaka pracowita! Myślałby kto! — syczała panna Ewelina.

— Nasza kochana terkotka! — przerywał jej z drugiego pokoju Płaton.

Zamykała drzwi z trzaskiem.

— Panno Dolu! — wołał po chwili — czy pani tam jeszcze żyje?

— Bardzo dowcipne! Bardzo! — odkrzykiwała starsza korektorka, rozwścieczona.

Dola była w dobrej szkole; uczyła się pracować, cierpieć i milczeć. Uczyła się też i łzy połykać.

Wszystko drażniło pannę Ewelinę.

— Sobolowy kołnierz! Ho! ho!... Naco odbierać chleb innym, kiedy się ma na takie futra!

Po chwili:

— Ach! te perfumy! Aż słabo! Uczciwa dziewczyna tak nie pachnie.

Dola nic nie odpowiadała.

— Ma się rozumieć! Komu pieniądze łatwo przychodzą...

Pewnego dnia z drugiego pokoju usłyszał taką przymówkę Tytus-Marek. Wszedł i usiadł przy biurku Doli. Spuściła głowę nad robotą. Oboje milczeli. Mimo to panna Ewelina ostentacyjnie zasłoniła sobie uszy rękoma i głośno czytała korektę.

— A może ja państwu przeszkadzam? — rzuciła wreszcie zjadliwie.

Tytus-Marek udawał, że nie słyszy. Przeglądał gazety!

— Więc to tak? — szepnął do Doli. — Płaczemy!

— Uciśniona niewinność! — rzuciła przez zęby panna Ewelina.

Tytus-Marek spojrzał na nią i, bardzo spokojnie, cedząc słowa, rzekł:

— Radzę nie pozwalać sobie za dużo!

Panna Ternicka umilkła. Trzęsły się jej ręce, a twarz, zwykle szara, przybierała barwę popiołu. Widać było, że ją nurtuje histeryczna pasya kobiety, która nigdy kochaną nie była i każdą młodszą i ładniejszą uważa za osobistego wroga.

W chwili tej wszedł redaktor.

Zmierzał do biurka panny Eweliny.

— Sam zrobię korektę z mojego artykułu — zaczął, i urwał.

— Co się stało? Co pani jest? — pytał.

— Mdleję! — szepnęła, odrzucając w tył głowę i pokazując mu białka.

— Wody! — krzyknął.

Do pokoju wbiegł Platon.

Panna Ternicka, z rozczepierzonemi rękoma, zwisała na biurku.

— Wody święconej! Dyabła wypędzić! — zawołał Rusin.

Van Niecki stał, pochylony nad nią, bezradny. Dola rozcierała jej skronie.

— Perfumy! Perfumy! — jęknęła zemdlona.

— Chce, żeby ją uperfumować! Ma racyę! Ma! — zaśmiał się Płaton.

— Pa-ni! Pa-a-ni! — huknął jej nad uchem.

Podskoczyła na krześle, błysnęła oczyma stalowemi i nagle, odsunęła Dolę, tak silnie, że ta omal nie upadła.

— Perfumy! Słabo! — jęknęła panna Ewelina, słaniając się znowu.

— To niby znaczy, że pani tu przeszkadza — rzekł podstępnie Tytus-Marek.

— Tem lepiej, weźmiemy panią do naszego pokoju — zadecydował Płaton.

Wyszli z Dolą i drzwi zamknęli.

Redaktor, ze względu na Obrzutowicza, o którego mu chodziło, pozostał przy odurzonej pannie Ewelinie.

— Te perfumy! — stękała.

— Ja nie czuję — dziwił się Van Niecki.

Oprzytomniała od razu.

— Chyba pan redaktor ma katar — rzekła. — Gdybyż to tylko perfumy! Ona nic nie umie — tylko oczy zawracać! Widział pan redaktor — siedzi przy niej pan Węgrzyński, prawi czułe słówka, a korekty leżą. Tak ciągle! Ja za nią

muszę robić! A jak to się stroi! Ludzie oglądają się na ulicy za tem czupiradłem.

— Na »czupiradło«, to już zgodzić się nie mogę — wtrącił Van Niecki.

— Wiem, wiem, wszyscy za nią. Dobrze takiej! Chodzi w jedwabiach, wożą ją karetami, zajada cukierki. Akurat jej praca w głowie! Nic sobie z nikogo nie robi... nawet z pana redaktora... Gdybym tylko chciała powtarzać... Ale ja nie taka! Wiem, co się komu należy, potrafię uszanować zwierzchnika.

Panna Ewelina wiedziała już, że pochlebiając próżności Van Nieckiego, lub ją raniąc, można było prowadzić go na pasku.

Był, jak mówią w Warszawie, człowiekiem »wpływowym«. Oznacza to wręcz co innego, niż wyraża: ludzie wpływowi nie mają wpływu na nikim, lecz za to — wszyscy na nich.

. . . .

— Wyobrażam sobie, jak ona panią »osmarowuje« przed tym durniem — mówił w drugim pokoju Płaton.

— Nie damy pani skrzywdzić! — oświadczył Tytus-Marek.

Dola była wylękniona.

— Panowie, doprawdy, bardzo dla mnie dobrzy! — zaczęła i głos jej się załamał — jestem wdzięczna — ogromnie... ale... — zawahała się —

ale jabym... jabym prosiła, żeby mnie nikt nie brał w obronę... bo ja... istotnie... źle robię korektę i... i jestem do niczego...

Otworzyły się drzwi. Stanął w nich Van Niecki.

— Może pani raczy przypomnieć sobie o robocie — rzekł z szyderczą grzecznością — i wpuściwszy Dolę do pokoju korektorskiego, drzwi zamknął.

— Niech się tam baby gryzą same — rzekł do Szteina.

Z drugiego pokoju doleciało skrzeczenie panny Eweliny:

— To ja mam za panią pracować, a pani będzie zęby szczerzyć!

— Co *ta* z naszą panienką wyprawia! Niepodobna przecież pozwolić — oburzał się Tytus-Marek.

— Bo też trzeba świętej cierpliwości z taką próżniaczką — żachnął się Van Niecki.

— Już pana napompowała ta szelma! Już! — przyskoczył do niego Rusin.

— Nie zapominaj pan do kogo mówisz!

— Właśnie, że pamiętam!

— A i o tem nie zapominaj, coś sam na panienkę wygadywał — odciął redaktor, pomijając milczeniem przymówkę.

— A widzi pan redaktor — wtrącił Sztein — ja jednak dawałem sobie z nią radę. Nie było

awantur. Mogę powrócić do korekty. Ale i kronikę zatrzymam.

— Pan, tobyś chciał położyć się na wszystkich zarobkach – odburknął mu Van · Niecki i zamknął się w swoim pokoju.

. . . .

— Więc znowu się pani gorzej czuje? — mówił dr. Derkacz, po zbadaniu Doli. — Ostrzegałem, że praca wśród mężczyzn będzie niezdrowa. To dla pani trucizna. A już ją zażywamy od paru miesięcy.

— Proszę mi tego nie mówić.

— Więc nie jesteśmy już niewiniątkiem? Rozumiemy o co chodzi?

— Wiem, że to nieprawda.

— Ale co?

— Moi koledzy są mi najzupełniej obojętni, żaden z nich we mnie się nie kocha.

— Ja nie mówię o miłości. To niema z nią nic wspólnego — to są wpływy bezwiedne, fizyologiczne, tak samo, jak stan atmosfery oddziaływa na nasz organizm, na nasze usposobienie. Gdyby pani była mężatką, ten wpływ zbiorowy, ta atmosfera męska, byłaby mniej szkodliwa. Mąż to klapa bezpieczeństwa, to naturalne ujście dla podniet, działających poza sferą jego fizycznych oddziaływań. Czy pani mnie rozumie?

— Nie.

— Jednak do siwego włosa nie można pozostać »białą lilijką«. I co komu z tego przyjdzie? Gdzie tu sens? logika? To może porównanie gminne, ale pani przypomina mi tego psa, co leżał na wiązce siana i ruszyć jej nie dał: tobie nic i mnie nic. Ludzie obejdą się: tyle ładnych kobiet na świecie. Ale sobie samej gotuje pani straszną przyszłość. Wszak już pani wspominałem o histeryi.

— Dlaczego mi pan to mówi? bo ja przecież na to nie poradzę, a tylko się będę więcej martwić.

— Mówię: żeby panią skłonić do rozsądku.

— Już jestem bardzo rozsądna. Powiem panu zupełnie szczerze. Dawniej chciałam kochać męża — koniecznie, ale teraz tak mi ciężko na świecie, tak trudno, że wyszłabym za mąż, nawet bez miłości.

— A poco?

— Żeby mieć własny dom, wygodę, żeby nie czuć, że ja nic robić nie potrafię.

— To aż tak źle idzie w redakcyi?

— Bardzo źle. Wszyscy niezadowoleni ze mnie, i ja z siebie. Boję się, że mi dadzą dymisyę. I co potem? Nauczycielką być nie chcę.

— A niema pani nikogo, ktoby się chciał z panią ożenić?

— Nikogo.

Bladą twarzyczkę pokrył rumieniec. Dola za-

wstydziła się bardziej tego wyznania, niż uczynionego przed chwilą: bo przecież większy wstyd nie znajdować męża, gdy się było dla zamążpójścia kształconą, niż pracować nie umieć, gdy nas nikt tego nie uczył.

— Nieraz myślę, że niema na świecie nieszczęśliwszej ode mnie — tak mi źle, tak źle! — szepnęła.

— Już bardzo źle być musi, kiedy się pani skarży. Dotychczas udawała pani zadowoloną. Ale kiedy człowiekowi bywa najgorzej, wtedy może mu być dobrze, bo zaczyna rozumieć sens życia i albo zgadza się z losem albo do boju z nim staje.

— Ja walczyć nie umiem.

— To też pani powinna pogodzić się z losem.

— Ze staropanieństwem?

— Pani jeszcze dzieli kobiety na panny i mężatki?

— A jakże inaczej?

— Bywają po prostu: kobiety niezamężne, kochane stokroć silniej od żon, kobiety noszone na rękach. Pani losem — być taką właśnie.

— To dziwna! Mam wuja, który mi mówi to samo.

— *Takiego* pani ma wuja? I cóż to za jeden?

— Nazywa się Zdzisław Orlicki.

— Hrabia Zdzisław? Stary piękniś! To on chciałby panią na ręku nosić! Niechże się pani nie da. Tacy wujaszkowie najgorsi! I cóż on pani jeszcze mówił?

— Powtarzać nie warto.

— Przeciwnie, ja muszę wszystko wiedzieć bo jestem przyjacielem. Z pewnością nikt pani tak dobrze nie życzy.

— A ciągle mi pan coś złego przepowiada... I zawsze się martwię po wizycie u pana.

— Proszę się nie martwić. Teraz właśnie będzie dobrze.

— Skąd pan wie?

— Bo widzę, że pani nabrała rozumu. Tylko trzeba słuchać — mnie. I wszystko mi mówić, jak na świętej spowiedzi. Będzie pani?

— Będę, bo już głowę tracę i sama sobie radzić nie umiem.

. . . .

XII.

— A toż rodzina! Jedno ładniejsze od drugiego! — folgował swemu zachwytowi pan Żelwietr, ujrzawszy Dolę w redakcyi, gdzie przyszedł, aby ją poznać.

— A tak, pani sama, między mężczyznami —

no, i z panią dobrodziejką — dodał, skłaniając głowę ku pannie Ewelinie, której się już był zaprezentował. Spojrzała groźnie na Litwina, poczem do końca wizyty udawała, że go nie widzi i nie słyszy.

— Trudno nam zapoznać się tutaj — mówił pan Żelwietr. — To nie miejsce na gawędy. Odwiedzę panią w domu. Przyjdę po szóstej, porozmawiamy, a wieczorem do teatru... Proszę główką nie kręcić... Wiem, wiem... Nauczyła mnie już mama, co »nie wypada«. Złożyłem wizytę pani wujence, baronowej Derp. Dawna znajomość — byliśmy wtedy jeszcze młodzi... Stanęła umowa, że bierzemy dwie loże obok siebie... Może pani dobrodziejka raczy z nami do opery — zwrócił się do panny Eweliny.

Pominęła to zaproszenie wzgardliwem milczeniem; nie raczyła też odpowiedzieć na jego pożegnalny ukłon.

— Pani ma też ordynarne znajomości — wylała swój gniew na Dolę po wyjściu pana Żelwietra.

— To bardzo zacny człowiek, choć trochę rubaszny — tłómaczyła go Dola.

Instynktem kobiecym odczuła, że obraził pannę Ewelinę, odnosząc się do niej, jak do osoby starszej.

. . . .

— Wykapana matka! — mówi pan Żelwietr, wpatrując się w Dolę, siedzącą naprzeciw niego w swoim wynajętym saloniku. — Taki sam filigran! Porcelana saska! Śliczne to, ale kruche, nie zdatne do życia codziennego... A Zunia inna! Panią wychował zbytek, ją — ubóstwo, to lepszy nauczyciel. Ja — bo, panno Dolu, z prośbą... Czy mama nic nie pisała o mnie?

— Pisze w każdym liście. Wiem, że pan dla niej bardzo dobry.

— Jaka tam dobroć — żubra! Nie o to idzie... Czy ona pani nie pisała, że... że... no, że ja pragnę zatrzymać ją w Nowotrzebach na zawsze — jako drugą matkę moich dziewcząt...

— Mamę!!

W oczach Doli pan Żelwietr wyczytał zdumienie, przestrach.

Mama — to przecież nie kobieta zwyczajna, nie osoba, wychodząca za mąż.

Są wprawdzie takie mamy, ale żeby *jej* matka? To niepodobna. Bo choć ojca nie kochała, dopóki byli bogaci, po utracie majątku była dla niego bardzo dobra, a śmierć jego przebolała ciężko. Dola widzi ją, idącą za trumną — bez jęków, bez łez, z oczyma wpatrzonemi w ten jeden punkt, taki ogromny, czarny, zasłaniający świat cały. A potem była spokojniejsza, nawet zdrowsza, niż za dobrych czasów, tylko schudła i jasne włosy, nie posiwiały, lecz zblakły jakby; straciły

barwę złota. O ojcu nie mówiła nigdy — chyba z powodu nabożeństwa za jego duszę. Dola czuła, że matka kocha go teraz stokroć bardziej, niż za życia; że wszystko, co jej przypomina ojca, stało jej się drogiem, nawet Ukraina, nielubiona dawniej; że choć nie umiała być szczęśliwą, potrafi serdecznie żałować tego, co mogło być szczęściem, a co już minęło bezpowrotnie.

I ta mama wyjdzie za mąż...

Pan Żelwietr poczciwemi oczyma wpatrywał się w Dolę.

— A cóż mama? — spytała go wreszcie szeptem trwożnym.

— Mama, gdym jej to powiedział, spojrzała na mnie tak samo, jak pani w tej chwili... Bardzoście podobne do siebie, i nie tylko z twarzy!... A ja myślałem, że się pani za mną wstawi — przyjechałem umyślnie po to... Widzę, że nie będę miał w pani dziewosłęba... Zunia zupełnie inna. Stoi po mojej stronie, czasem nawet, gdy mama nie słyszy, nazywa mnie »ojcuniem«. Doprawdy nie wiem, czy bardziej kocham od niej rodzone córki. Ma ona swoje wady: porywcza, uparta, ale dusza — co za dusza w tej dziewczynie! Ja pani prawdę powiem: matkę waszą cenię, szanuję — to najszlachetniejsza niedołęga, jaką znam — przepraszam, nie chciałem pani urazić — ale, gdyby nie Zunia, na myśl by mi nie przyszedł... taki zamiar. Przedewszystkiem

chcę być ojcem tego dziecka, mieć do niego prawo, módz je wychować. Matka wasza na tem się nie zna. Całe szczęście, że Zunia bardzo nieposłuszna, bo wyszłaby na życiowego mazgaja.

— Co mama panu odpowiedziała? — przerywa Dola, wciąż jedną myślą i trwogą przejęta.

— Powiedziała: *nie* i powtarza to od dwóch tygodni, a, co gorzej, mówi o wyjeździe z Nowotrzeb.

— »Po tem, co zaszło, nie wypada, żebym tu została« — tak mi oświadczyła przed kilku dniami.

A ja jej na to:

— »Pani szanowna, w naszym wieku, niestety, wszystko już wypada. Nie jesteśmy kochankami z Werony, a zresztą, nic nie zaszło. Ja zapomnę o swojej prośbie, a pani o swojej odmowie i wrócimy do dawnej przyjaźni. Przeszliśmy już wiek, w którym z takich rzeczy robi się tragedye«.

Ale mama nie lubi brać życia prosto, łatwo. Po tej naszej rozmowie płakała ciągle a może jeszcze płacze. Zabrałem się i przyjechałem do Warszawy. »Znajdę może sojuszniczkę w pannie Doli« myślałem. A tu druga mama, tylko młodsza i jeszcze bardziej egzaltowana. Ot, moje dziewczyny, obu nogami stoją na ziemi. Aż za mocno. Rad jestem, że mama trochę je do wzlotów napędza. Niech tam się pohuśtają w prze-

stworzach. To czasem potrzebne do równowagi... Panią tobym właśnie z huśtawki ściągnął. Za dużo tego bujania. Prawda?

— Na ziemi gorzej, niż w obłokach.

— Wcale nie, tylko trzeba ziemię brać po ziemsku, nie mierzyć jej łokciem z pajęczyny, i tęczy — w tem cały sekret. Zunia go odgaduje instynktownie... A pani to już zupełnie do tej redakcyi nie pasuje.

— Jest mi tam dobrze.

— Tak dalece, że nie śmie się tam pani głośno odezwać. Ta koleżanka, to jędza z piekła rodem.

— Niech pan tylko mamie nie mówi, boby się martwiła i radziłaby mnie porzucić to zajęcie.

— Ot, wziąłbym panią do Nowotrzeb i zaprzągł do jakiej praktycznej roboty. Byłoby zdrowiej i spokojniej... Zunia, oho! Onaby sobie z nimi wszystkimi dała radę!

— Czy ona doprawdy mamy nie słucha? — przerywa Dola.

— Nic a nic.

— Jakże ona to robi?

— Bardzo prosto i miło. Gdy ją mama wdraża w tajniki wielkiego: »nie wypada«, rzuca jej się na szyję: »Wiem, wiem - mówi — sto razy słyszałam, i tysiąc razy jeszcze posłyszę, ale mnie

to nic nie obchodzi«. Wycałowuje mamę i robi, co chce — zwykle dobrze i rozsądnie.

— Że się też ona mamy nie boi!

— Ani troszkę. Uważa się nawet za »starszą«.

— »Mama ciągle z tym swoim wiekiem i »doświadczeniem« — zwierzało mi się kiedyś drogie dziecko — niby to każdy, kto długo żyje musi być doświadczony«. — Jaka mądra! Co? — zachwycał się pan Żelwietr. — A jaka trzeźwa, jak umie kochać ludzi z otwartemi oczyma. — »Są i źli — powiada — wiem, jest ich nawet dużo. A niech sobie będą! I ja nie bardzo dobra, a chcę, żeby mnie kochali. Więc ich kocham takimi, jakimi są«... I pomyśleć, że to mówi szesnastoletnia dziewczyna! Ale jak zacznę opowiadać o Zuni, to się spóźnimy do teatru. Pani musi jeszcze się ubrać. Przyjadę za pół godziny. To chyba dosyć na toaletę. A niechże i towarzyszka pani będzie gotowa.

Pan Żelwietr zaprosił do loży pannę Józefę Jabłonowską, ciotkę Doli.

. . . .

XIII.

Posterunek w pierwszych rzędach krzeseł Teatru Wielkiego już zajęty. Loże pierwszego

piętra świecą jeszcze pustkami. Zanim się zapełnią, lufy lornetek zwrócone ku parterowi.

I tam trafić się może ładna twarzyczka, ba, i ładniejsza może, niż na pierwszem piętrze. Uznają to panowie z klubu, wolni od uprzedzeń kastowych na punkcie urody kobiecej. »Wyłączniejsi« są członkowie zwyczajnych resurs i rozmaici panowie z »miasta«, którzy nie mając tytułu ani dużej fortuny, hołdują obu z zaciekawieniem czcicieli, nie dopuszczonych do praktyk kultu. Dla tych, wdzięki pań, zajmujących miejsca parterowe, są mniej ponętne. Cały swój zachwyt trzymają w pogotowiu dla lóż pierwszego piętra.

Oto nareszcie otwiera się pierwsza. Wchodzi osoba niemłoda w skromnej sukni czarnej, z fanszonikiem ocieniającym siwą głowę. Za nią panienka.

Wszystkie lornetki z pierwszych rzędów krzeseł celują w jej stronę.

— Cóż to za aparycya! — zdumiewa się hr. Józio.

— To jakieś »zabrane prowincye« — decyduje sportsman Korewicki. — No, naturalnie — utwierdza się w tem przekonaniu, na widok wchodzącego za paniami jegomościa. — Litwin, dość spojrzeć na czaszkę, długą, zwężoną u góry.

— Cóż ty, Maniuś, przeskoczyłeś ze stajni do antropologii? — żartuje z niego baron Alfred.

— Kto też to być może? — zastanawia się przeżyty książę.

— Załóżcie się, że zgadnę, choć, słowo honoru, nie znam tej trójcy — wyzywa ich hr. Józio — oto: papa wdowiec ma duże dobra w oszmiańskim powiecie, tamto — duenna lub jaka ciotka — a to, *heritiera*, przywieziona na karnawał. Co prawda, przywykliśmy do brzydszych.

— *Pas mal du tout, du tout, la petite* — przyznaje książę.

— Co za karnacya!

— A jaka obsada głowy!

— Kto chce trzymać zakład? pyta hr. Józio. — Więcej wam powiem: ona ma na imię Marya, a mówią do niej Marýnuszka z akcentem na *ry*. Cóż, zakład stoi?

— Ja trzymam — wyrywa się jeden z członków jakiejś resursy, gotów zawsze przegrywać do klubowców.

— O kosz kwiatów dla dzisiejszej Carmeny.

— Zgoda.

— Któż sprawdzi?

— Znajdzie się chyba na sali ktoś znajomy. Oszmiański powiat, to nie Rumunia.

— Wiecie, że wcale... wcale tego — mówi po przyjrzeniu się baron Alfred.

W chwili tej w pierwsze rzędy krzeseł wsuwa się Van Niecki.

— Panowie, słyszę, mówią o tem ponsowem zjawisku — wtrąca.

— No tak, pan przecież, jako publicysta, powinieneś wszystko wiedzieć.

— To też i wiem.

— Zna ją pan? — zapytuje naraz kilka głosów.

— Ale czy naprawdę? — powątpiewa sportsman.

— Lepiej już chyba nie można.

— To tak!?

— Od trzech miesięcy widuję ją codziennie u siebie.

— Zawsze niedyskretny! — szydzi z niego hr. Józio.

— Bynajmniej, panie hrabio, zupełnie legalnie, przyzwoicie.

— *Accouchez — donc!* — nagli go stary książę.

— Panienka jest z Ukrainy, nazywa się Adela Żalińska — piękny ród, podupadły.

— A cóż pan ma z tego upadku?

— Mam szczęście mieć tę panienkę w mojej redakcyi.

— Co? co? co? — dziwią się panowie z klubu i z miasta.

— Posyłam po kwiaty dla »Carmeny« — mówi hr. Józio do członka jakiejś tam resursy.

Uwagę odwraca w tej chwili wejście barono-

wej Derp z mężem i córkami. Ponsowa panienka wita ich radośnie.

— Bo to, jak mówiłem, wielka krew, koligacye — objaśnia Van Niecki, uszczęśliwiony, że on jeden może udzielić tych objaśnień.

Kres jego zapędom kładzie hasło do podniesienia kurtyny.

. . . .

Ze sceny powiał na Dolę czar muzyki namiętnej, rozgrzał krew, obudził wspomienia, żale...

Miłości nie ufaj ani wierz.
...Gdy gardzisz, kocha cię nad życie...

Oj! prawda! Ona ufała i nie umiała gardzić. Dlatego jej nie kochał...

Uleciał niby strzały grot.

Czy nadleci inny? Czy ona utrzymać go zdoła?

Chcesz mego serca — ono czeka.

Zasłuchana w te słowa, nic poza niemi nie słyszy.

Cichy szelest. Otworzyły się drzwi loży. Wszedł mężczyzna, szczupły, bardzo wysoki, uścisnął w milczeniu rękę pana Żelwietra i usiadł za Dolą.

Chcesz mego serca — ono czeka.

Tak, czeka, ale nikt go nie chce. I w tej pełnej sali niema nikogo, ktoby o Doli myślał.

Zapada kurtyna.

— Panie pozwolą sobie przedstawić: mój bratanek, dr. Roman Żelwietr — prezentuje nowoprzybyłego stary Litwin.

Dola nie zaraz odwrócić się może — wpierw łzy rzęsami zagarnia. Wreszcie oczy podnosi — wyżej, coraz wyżej, bardzo wysoko.

Z twarzy, okolonej jasnym zarostem, bije krzepkość. Popatrzał prosto, badawczo w siwe oczy, rozemglone łzami.

Pan Żelwietr prowadzi bratanka do sąsiedniej loży. Baronowa jest dla niego bardzo uprzejma, stara się sobie przypomnieć, co o nim słyszała. Ach! prawda! Ma tam gdzieś na Litwie duże dobra, zaszargane przez ojca. Został doktorem — jakaś tam specyalność — gardło a może płuca, zbiera pieniądze, oczyszcza majątek — społecznik — filantrop... I owszem! Można go na raut zaprosić... Toć i książę Teodor bawarski jest doktorem-okulistą.

W loży baronowej podczas pierwszego antraktu, na tle jasnych toalet, fraki klubowców wytwarzają czarną plamę. Amelka uszczęśliwiona, choć bystre jej oko dostrzega, że wielu panów, z głowami przedzielonemi pośrodku lub na boku, patrzy ciekawie na Dolę, siedzącą po drugiej stronie poręczy.

— Pani zna tę młodą osobę? — pyta baronową jeden z przedziałków, głosem przyciszonym.

— Tak, to siostrzenica mojego męża.

— Bardzo interesująca — orzeka przedziałek.

— Wszak da się widzieć w karnawale? — informuje się drugi przedziałek.

— Moja kuzynka nie przyjechała tu dla zabawy, lecz dla robienia korekty — wsuwa swe żądełko Amelcia.

— O! przepraszam! muszę sprostować — wtrąca Van Niecki, który skorzystał ze sposobności, aby »przypomnieć się« baronowej — panna Adela nie jest korektorką, lecz literatką.

— Na to ci zeszło, biedna Dudy — odzywa się poza jej plecami wuj Zdzisław.

— A! wujaszek!

Dola ucieszyła się szczerze.

— Dawnośmy się nie widzieli! Bardzo dawno!

— Z sześć lat chyba — rzuca złośliwie przez poręcz Amelka.

— Tak, ty już wtenczas nosiłaś długie suknie — odcina jej hr. Zdzisław..

— Co za ramiona! Pierwszy raz je widzę! — stary lowelas mówi to szeptem, nachylając się nad Dolą; rozdętemi nozdrzami wciąga zapach jej biało-różowego ciała.

Dola jest zawstydzona, i tem, że on jej to

mówi, i tem, że to słyszy siedzący opodal dr. Żelwietr.

— Więc zrobiłaś się emancypantką! Nigdybym się tego po tobie nie spodziewał! — ciągnie wuj dalej. — Od trzech dni dopiero wróciłem z zagranicy, nikogom jeszcze nie widział – pierwszą ciebie — *quelle chance!* A odwróć-że się od tych chłystków z loży wujenki: zjadają ciebie oczyma po kawałku — zostawią mi zaledwie pantofelki — dodaje ciszej.

— Dawno nie miałem szczęścia oglądać pana hrabiego — mówi, wchodząc do loży pana Żelwietra, Van Niecki.

— A właśnie mówię mojej siostrzenicy, że ją w »Brzasku« odwiedzę.

Redaktora ogarnia wprost rozczulenie. »Panienka« jest siostrzenicą całego *high-life'u.* A to miła siurpryza!

Kończy się już antrakt. Przedzielone głowy dążą z powrotem do krzeseł. I wuj Zdzisław odchodzi.

Dola przypatruje się sali.

Wtem, z pierwszych rzędów wstaje siwy, krępy jegomość o twarzy rozumnej, lecz ponurej, i składa jej ukłon.

— Pani zna doktora Derkacza? — słyszy za sobą głos obcy.

Po raz pierwszy odezwał się do niej dr. Żelwietr.

— Znam. Jestem jego pacyentką — odpowiada, zwracając się ku niemu.

— Pacyentką? Jakim sposobem? Kto panią zaprowadził?

— Nikt. Poszłam sama.

— Sama?

— Tak. Nie miałam z kim.

— A czemu do niego?

— Wpadło mi w oczy ogłoszenie, że »dr. Derkacz powrócił i przyjmuje«.

— Pani była chora?

— Tak.

— Mój drogi, toć to nie gabinet lekarski — upomina go stryj wesoło.

— Przepraszam! Brzydki nałóg. Już nie będę.

Słowa żartobliwe, oczy badawcze.

Ściemnia się na sali. I znowu Dola siedzi odgrodzona od tłumu — pragnieniem szczęścia, żalem i jakimś dziwnym niepokojem.

W swoim głodzie miłości doszła do tego, iż spotykanych mężczyzn pyta w myśli: »pokochasz mnie — nie pokochasz?«

I teraz marzy.

Wśród tej sali jest może ktoś, dla kogo ona będzie wszystkiem.

Znowa antrakt przerywa miłosne zabiegi na scenie i przepełnia frakami loże.

Baron Derp przedstawia ich kilka Doli.

— Pani dawno w Warszawie?

— Od czterech miesięcy.

— Że też nie miałem szczęścia pani spotkać, bodaj na ulicy!

— Wszak ujrzymy panią na balu szpitalikowym?

Na kilka podobnych pytań i zdziwień Dola odpowiada swobodnie, wesoło. Ona, która dotychczas nie śmie się odezwać głośno w »Brzasku«, a gdy ma przechodzić przez salę redakcyjną, strach ją ogarnia, teraz, czując na sobie tyle oczów, nie jest wcale zmieszaną; banalność słów zacierają spojrzenia, pełne zachwytu.

Upojona tą atmosferą, nabiera blasku, promienieje, jak drogi kamień, gdy światło roziskrzy jego wodę. Ten zachwyt, spętany w słowa błahe, mówi jej, że jest jeszcze ładną, powabną, że do staropanieństwa daleko, wbrew temu, co dowodzi Amelka.

Odleciały smutne myśli, i nie wracają nawet, gdy sala ściemnia się, raz i drugi. Żal zdradzonego Don Jose'a ani tragiczny koniec zdradliwej Carmeny nie budzą oddźwięku w sercu, rozkołysanem nadzieją nowego, milszego życia.

Po raz czwarty zapada kurtyna. Robi się szmer. Wszyscy wstają, dążą ku wyjściom. Na korytarzu stoi młody oficer i przygląda się osobom wychodzącym. Spostrzega Dolę. Składa jej ukłon wojskowy... Gdzie ona tę twarz widziała?

— Pozwoli pani przypomnieć — mówi, podbiegając do niej.

Tłum ich rozdziela.

— Skądże pani zna oficerów dragońskich? — pyta starszy pan Żelwietr, podając jej rękę i sprowadzając ze schodów.

— Poznałam tego pana w wagonie.

— Dawno?

— Bardzo dawno, ze cztery lat temu.

— Macie oboje dobrą pamięć.

Dr. Żelwietr wsadza pannę Jabłonowską do dorożki.

Z pod falbany ponsowego kapturka Dola mówi mu oczyma: »do widzenia«, a oczy jego pytają badawczo, smutno:

— Ładnaś — bo ładna, ale jakaś ty?

. . . .

XIV.

Pod wpływem tych wrażeń, Dola usnęła dopiero nad ranem. Szła do redakcyi o godzinę za późno, i szła ze strachem, jak pensyonarka, wezwana do damy klasowej — na burę.

Przymówki panny Eweliny nie ominą jej w żadnym razie, choćby zjawiła się na czas i spełniła wszystko należycie. Byle tylko reda-

ktor jej nie spotkał z zegarkiem w ręku, jak się to zdarzało w razach podobnych.

Wsunęła się do przedpokoju i chciała przekraść się niepostrzeżenie do korektorskiego przybytku.

...Nie, to już wyjątkowy brak szczęścia... W chwili tej właśnie otworzyły się drzwi od gabinetu i stanął w nich — sam redaktor. Nogi zadrżały pod Dolą, nie wiedziała czy iść dalej, czy uciec; mrugała oczyma, blada, wprost przerażona, pewna, że ją czeka dymisya.

Van Niecki na widok siostrzenicy baronów i hrabiów, pełnej lęku przed jego majestatem, uczuł się przedewszystkiem dumny ze swej władzy i byłby od razu wszedł w rolę satrapy, rozporządzającego życiem i śmiercią ludzką; przeszkodziły mu w tem jednak wspomnienia ubiegłego wieczoru. Przygotował się do innej zgoła roli: postanowił traktować pannę Żalińską, jak równy — równą, wyodrębnić ją z pośród demokratycznej hołoty.

Szlachta rodowa, to braterstwo — powtarzał sobie od rana.

Ujrzawszy Dolę, podskoczył ku niej.

— A! Pani! — zawołał z taką radością, jak gdyby już stracił nadzieję ujrzenia jej kiedykolwiek.

Zaskoczona tem niespodziewanem powitaniem,

Dola zapomniała od razu o swych obawach, i uśmiechnęła się prześlicznie.

— Może pani raczy wstąpić do mnie na chwilę — rzekł Van Niecki, wprowadzając ją do swego sanktuaryum. — Niechże pani siada — tutaj, na kanapie. Muszę pokonferować z panią... Naprzód wymówka: czemu mi pani nie powiedziała o swoich pracach literackich! Łamiemy sobie głowę, jak spożytkować pani zdolności. I czyż nie szkoda ślęczeć nad korektą, gdy się ma nawet powieść w tece.

— Zdawało mi się, że wuj Olbięcki...

— Coś tam wspominał, ale nie dość wyraźnie... Przypomniało mi się to dzisiaj. Bo to mam tyle rzeczy na głowie! Wszak pani zna kilka języków?

— Tak, pięć!

— Ho! ho! i ukrywamy taką mądrość pod korcem.

— Czyż wuj Olbięcki nie powiedział?

— Tak, niby coś tam mruczał pod wąsem. No, teraz, idzie pani pod moją wyłączną komendę. Bardzo straszna? co?

Dola nie byłaby kobietą, gdyby nie odczuła swej władzy.

— Nic a nic się nie boję — rzekła, wstrząsając jasną główką, z czem było jej tak ładnie, że Van Niecki przysunął się bliżej — miał wielką

ochotę pocałować ją, ale wczas sobie przypomniał, że to nie pierwsza lepsza ładna dziewczyna.

. . . .

— Cóż ten osioł uderza w koperczaki do naszej panienki — dziwił się po drugiej stronie przedpokoju, w sali redakcyjnej, Płaton, który wszedł za Dolą i był świadkiem owacyjnego powitania.

— Bo ty nic nie wiesz — objaśnił go Szymon — on ją wczoraj widział w teatrze w otoczeniu samych hrabiów i książąt. Nasze paniątko ma podobno w sobie tyle krwi błękitnej, że możnaby nią nalazurkować parę tuzinów prześcieradeł.

Sztein, syn praczki, bierze to za osobistą przymówkę do profesyi swojej matki, obraża się na Szymona a mimowoli nabiera dla Doli szacunku.

— Wiecie, ona ma podobno bajeczne ramiona — oznajmia Tytus-Marek.

— Kto ci mówił? — dopytuje się Szymon.

— Trzeba było przyjść wcześniej. Redaktor opowiadał o tem od dziesiątej.

— Ee, redaktor! On się tam zna!...

— Powiedz mu to.

— Wolę, żebyś ty mu to powiedział... od siebie.

Otworzyły się drzwi od gabinetu, wyszła Dola z roziskrzonemi oczyma. Redaktor dreptał za

nią; usunął się, aby ją wpuścić naprzód do redakcyjnej sali.

I tu powitano ją inaczej, jak zwykle.

Koledzy rzucili się do niej, jak gdyby jej nie widzieli od pół roku. Tytus-Marek zdejmował z niej futerko, Szymon odbierał mufkę, nawet Sztein wstał od biurka i podał jej rękę, a Płaton chwycił jej kalosze i osadziwszy je na wskazujących palcach, obnosił tryumfalnie.

— Jakie to panieństwo ma nogi! — obwieszczał, ku radości własnej i wszystkich obecnych.

A jednak te same kalosze widywali codzień — bez najmniejszego wrażenia.

Dziś patrzyli na Dolę zupełnie inaczej, ze wzruszeniem — byli jej serdecznie wdzięczni za jej ramiona.

— Czy panna Żalińska przyszła z wizytą? — odezwał się bulgoczący głos panny Eweliny i chuda jej postać ukazała się na progu.

— Tak — potwierdził redaktor.

— Cóż się stało? — zadziwiła się, nie znajdując w nim poparcia, jak zwykle.

— Ważna zmiana — obwieścił.

— Może znalazł się, nareszcie, konkurent?

— O, i nie jeden.

— ...Do ręki panny Żalińskiej — wtrącił Płaton złośliwie.

— Tymczasem pani traci przedmiot swych udręczeń — ciągnął dalej redaktor.

— Co? co? — zdziwiło się kilka głosów.

— Panna Adela będzie miała do czynienia tylko ze mną.

— To się ubawi! — mruknął pod wąsem Płaton.

— Pan Sztein obejmie znowu korektę — oznajmił Van Niecki, czując, że wywoła niezadowolenie w wiekuistym malkontencie.

— To sobie dobre! Na mnie wszystko zawsze się skrupi.

— Wszak pan wraca tylko do dawnych zajęć!

— Miałem już czas od nich odwyknąć.

— A ja? Cóż ja będę robić? — upominała się panna Ewelina.

— Pani będzie pomagać panu Szteinowi. Dwie kobiety nie mogą podołać korekcie. Tu potrzeba szerszej wiedzy, większego oryentowania się w sprawach społecznych — pochlebiał Szteinowi redaktor.

— Jakże będzie z moją pensyą? — informowała się przezornie panna Ewelina.

— Nikt nic nie straci! Już ja w tem — upewniał ich Van Niecki.

Ale współpracownicy wiedzieli, co trzymać o takich gwarancyach. Sztein zobojętniał od razu na ukryte powaby Doli.

— A niech-no redaktor prawdę powie: jak z temi ramionami? — pytał Tytus-Marek, wtłaczając Van Nieckiego pomiędzy biurko a ścianę.

— Powiadam ci bajeczne! Bo to i karnacya i linia!

— Właśnie namyślałem się wczoraj: iść czy nie iść do opery? No, i przy moim pechu — nie poszedłem.

— Możeby urządzić jaki balik w redakcyi — wtrącił, podsuwając się Szymon.

— Dziękuję! »Stara« gotowa odsłonić swoje piszczele. To już lepiej nie oglądać tamtych specyałów — odradza Van Niecki.

— Zwłaszcza, gdy się już widziało — rzuca z urazą Tytus-Marek.

— Tem trudniej, mój kochany, wierzaj mi, tem trudniej: nabiera się smaku — upewnia go redaktor.

Dola tymczasem w gabinecie redaktora z wielkiem skupieniem odczytywała notatki, które jej w zagranicznych pismach nakreślił do »opracowania«.

Pewna była, że nareszcie wchodzi na drogę dla siebie właściwą: piękny styl zalecał ją od dzieciństwa.

Istotnie, póki Van Niecki wybierał jej wiadomości do rubryki zdarzeń i wypadków zagranicznych, wywiązywała się nieźle z tych streszczeń. Ale redaktorowi sprzykrzyło się przeglądać dla niej gazety.

— Już pani wie, jak się to robi. Niechże so-

bie pani radzi sama — rzekł jej w kilka dni potem, śpiesząc się na proszone śniadanie.

Znowu pozostawała bez kierunku, jak od pierwszego dnia pracy redakcyjnej. Nie mając zmysłu oryentacyjnego, rozwagi, potrzebowała wskazówek, a nikt ich udzielać nie chciał: jedni przez opieszałość — inni przez złą wolę.

Wobec stosu gazet, traciła głowę zupełnie.

Jakże tu wybrać ważniejsze zdarzenia? Wszystkie wydawały jej się ważne. Myślała chwilami, że nie tylko dnia, ale i życia nie starczy, żeby to wszystko opracować.

Napisanie kilkudziesięciu wierszy pochłaniało jej dzień cały. Spieszyła się ze śniadaniem, z obiadem, nie miała czasu odwiedzić krewnych. Bolała ją wciąż głowa.

Po tygodniu takich wysiłków, zaczęła mile wspominać korektę pod okiem panny Eweliny. Wtedy przynajmniej wiedziała, co ma robić i kiedy się kończą jej zajęcia. Teraz musiała wciąż przygotowywać się na dzień następny, jak pensyonarka.

W dodatku, przynajmniej połowa jej wypracowań szła do kosza.

— Co Warszawie przyjdzie z wiadomości, że odbył się koncert na ociemniałych w Karlsruhe? ..Co to kogo obchodzi, że w Jardin des Plantes słoń zachorował — mówi jej redaktor. — Trzeba wybierać rzeczy istotnie zajmujące!

Z tego wszystkiego, co było w gazetach, nic zgoła nie zajmowało Doli. Więc jakiż miała mieć sprawdzian?

Zgnębiona swą nieudolnością, szła pewnego dnia do redakcyi, gdy, o parę kroków od domu, w którym mieszkała, na Żórawiej, usłyszała za sobą śpiewny głos męski i brzęk ostróg.

Odwróciła się. Wiedziała kogo zobaczy.

— Mój szacunek. Pani zechce przypomnieć. Orłow — znajomy z Brześcia.

— I z Szepietówki, i z Koziatyna — dodała wesoło, zapominając od razu o swych kłopotach.

To spotkanie wprowadziło ją w nowy krąg myśli.

— A ja panią szukałem po świecie. I Albina Kazimirówna nic nie wiedziała, gdzie pani. Od dawna listów nie ma.

— Bo nic już nas nie łączy.

— A pani przejechała do Warszawy zupełnie.

— Tak.

— Wiem już wszystko. Póty się starał, chodził, aż się dowiedział. Wolno mnie odprowadzić panią na Szpitalną?

— Właściwie, to nie wypada.

— Może pani pracować z mężczyznami, to i można z mężczyzną iść po ulicy.

— Ale z oficerem...

— Czy to wstyd, czy to grzech?

— Nie, ale... jakoś.

— Ja panią odprowadzę tylko do rogu Brackiej. Dobrze? My nie widzieliśmy się tak dawno! Myślałem, że pani już za mężem. I jak zobaczyłem w loży, tak zapytuję siebie: który — ten stary czy ten młody? A tu ani jeden ani drugi, sława Bogu. Ot, i pani przyjechała do nas.

— A pan tutaj z pułkiem stoi?

— Tak, na moje szczęście, tutaj. Pani wie, Albina Kazimirówna wyszła za mąż i także tu mieszka. My często mówili o pani. Ona bardzo cieszy się. Ja jej zaraz powiedział, że pani tu jest.

— Szkoda. My dla siebie obce... Jak ona się teraz nazywa?

— Tak, pani, rozumiem: ona za ruskim. Jej mąż podpułkownik. Jego familia Finagiejew. Czy mnie wolno panią widzieć niekiedy — choć na ulicy?... A pani zawsze ta sama: nic nie wiedząca... prosto anioł. To znać od razu. Myślał ja o pani często i — szukał pani albo choć drugiej takiej. Nie znalazł. A teraz Bóg dał zobaczyć.

— Pan gorzej mówi po polsku — przerwała mu Dola.

— Ot, życie. Jak ja wtedy panią poznał w wagonie, to potem czytał po polsku, i gramatyki się uczył. Pojechał ja do Kijowa na kontrakty.

Myślę: spotkam, zobaczę. Pytam — jednego, drugiego — nie wiedzą. Ślad zaginął. Wiedziałem, że gdzieś za Koziatynem, ale gdzie... Pani wtedy nie chciała powiedzieć.

...Myślał — ja, myślał o pani, tak że zdawało się serce nie wytrzyma. Bywało, mówię sobie: »Świat nie duży, znajdziesz«. I tak — rok, może więcej. Potem ja myślał nie tak często i już gramatyki nie uczył się. A potem matka umarła, do domu rzadko zajeżdżał, no — i po polsku trochę zapomniał... Ale i potem jeszcze, jak o pani przypomnę, to zaraz kupię książkę polską i czytam. A jak widzę Albinę Kazimirównę — to ani razu tak nie było, żeby o pani nie mówił... Zobaczył panią na »Carmen«. Patrzę: A pani jeszcze ładniejsza... Niby wesoła — a kiedy na sali ciemno i nikt nie widzi, to pani chce się płakać. »Jej źle na świecie«, myślę, i taka mnie wzięła złość, że strzelałby do ludzi... Bo już takiej — to powinno być dobrze. Daj Bóg, żeby pani nigdy nie płakała.

— Dziękuję — szepcze Dola i wbrew jego życzeniu, ma oczy łez pełne.

Już doszli do rogu Brackiej! Ona tego nie widzi, ale on o swem słowie pamięta.

— Trzeba żegnać się. — Oj! pani! pani! Czemu ja panią zobaczył! Znowu źle będzie... A jak kiedy jeszcze spotkam, wolno porozmawiać?

Dola nie przyzwala, nie oddaje silnego uścisku dłoni, a jednak on odchodzi z nadzieją...

* * *

Powiał na nią czar miłości... po raz pierwszy od chwili przybycia do Warszawy. Nikt jej tutaj nie kochał — a czuła, że ten mógłby kochać szalenie.

Chcesz mego serca?
Ono czeka...

Onby je wziął i sercem za serce oddał — ale jemu właśnie, jemu, wśród tylu obojętnych, kochać jej nie wolno — ona mu pozwolić na to nie może. Wydał jej się w tej chwili bardzo blizkim. I przelękła się.

Postanowiła nigdy już z nim nie rozmawiać, unikać go, jak niebezpieczeństwa.

...Niebezpieczeństwo miłosne — wszak była to dla niej dotychczas największa ponęta! Ale nie takie! — nie!

. . . .

Dola siedziała sama w pokoju redaktora wśród stosu gazet, odczytując od deski do deski »Figaro«, aby z niego wyłowić kilka wierszy — zapewne nieodpowiednich — do zdarzeń i wypadków zagranicznych.

— A! Wujaszek!

— No tak, ja. Zwlokłem się z łóżka, żeby ciebie oglądać, bo ty nie raczysz zajrzeć, dowiedzieć się o moje zdrowie... Wtedy, w teatrze, siedząc przy tobie, rozpaliłem się — potem owionęło mnie chłodne powietrze. Dostałem grypy. Oj! ty! ty! powinienbym się gniewać, ale mam do ciebie feblik... Za karę, żeś taka niewdzięczna, musisz ze mną spędzić cały dzień. Zabieram cię, i wiozę.

— Kiedy — bo, wujaszku, nie mam czasu.

— Ty nigdy nie masz czasu dla starego wuja. Gdyby tak na szlichtadę z jakim młokosem...

— Ależ ja doprawdy jestem bardzo zajęta.

— Musisz przecież zjeść obiad: zamiast u swoich kwoczek, zjesz go ze mną.

— Cóż za szczęście! Pan hrabia u nas! — ucieszył się, wchodząc Van Niecki.

— Zajechałem po moją siostrzeniczkę. A mam interes i do pana. Trzeba nareszcie ludziom wyjaśnić. »*High-life*« — słyszymy i czytamy na prawo i lewo w zastosowaniu najgłupszem. Czem to jest, tłómaczę właśnie w artykule. Widzi pan, nie poszczędziłem pracy.

— Istotnie, panie hrabio.

Van Niecki przerzucał rękopis, zawarty na 10 półarkuszach.

— Wydrukujecie to?

— Ależ, naturalnie. To musi być ogromnie interesujące.

— Zgadłeś pan! Ja-bo rzadko chwytam się pióra. Czasu nie mam. Ile razy jednak co napiszę, ludzie mi zawsze dość chwalą. Proszę was tylko, nie wyrzucajcie mi ani jednego słowa, bo rzecz bardzo ważna. Możecie to wydrukować jednym tchem?

— Niepodobna, panie hrabio, tu będzie z 800 wierszy, a numer ma 2000.

— Toć zostanie jeszcze dosyć na politykę. Zanudzacie nią ludzi.

— Oprócz polityki są jeszcze inne działy konieczne.

— Raz nie dacie. Wielkie mi rzeczy!

— Nie sposób.

— Zobaczysz, jak ludzie będą się tem delektować.

— A czy to pisane feljetonowo?

— To tak pisane, że może iść i pod tą waszą linijką i nad nią. Wstąpię jutro przejrzeć przed drukiem.

— Jutro, panie hrabio, w żadnym razie. Nawał materyału bieżącego.

— Ta wasza aktualność jest nieznośna. Trzeba dawać rzeczy — nie na czasie, bo te się przeżywają, ale takie, które zawsze są ważne. Wierzaj mi pan, ja mam zmysł dziennikarski.

— Nie wątpię, panie hrabio.

— Więc kiedyż będzie mój artykuł?

— Za parę tygodni.

— O! już na to się nie zgodzę. Sam sobie przypiszesz pan winę, jeśli to wyjdzie w »Glebie«. A chciałem właśnie ściągnąć wam prenumeratorów.

— Pan hrabia zawsze łaskaw.

— Bo lubię mieć do czynienia z panem. Ty jesteś *nasz* z krwi i ducha, i do naszego obozu powrócić musisz. Tu nie pańskie miejsce... Niech-no tylko ten artykuł wyjdzie, a pogadamy... Więc kiedyż?

— Najprędzej w przyszłym tygodniu.

— Wyznacz pan dzień.

— W sobotę...

— To znaczy za dziesięć dni. Ha! Niech wreszcie i tak będzie. Ale prawda: mam na warsztacie drugi artykuł o znaczeniu słowa *rastaquoère*. Czy uwierzysz, że wyprowadza ono swój rodowód z hiszpańskich kolonii w Ameryce?... Nie mam jeszcze wszystkich materyałów, ale to się opracuje.. A teraz do widzenia... Porywam moją siostrzenicę — jutro swoje odrobi...

— Ależ naturalnie, i owszem.

. . . .

Hrabina Zdzisławowa, miała migrenę, jak zwykle.

Po obiedzie wuj kazał podać kawę w swoim gabinecie. Zapalił cygaro i milczał długo, puszczając kółka dymu.

— Wiesz, Dolu — rzekł wreszcie — nie spodziewałem się tego po tobie.

— Czego, wujaszku?

— Że wrócisz taką, jak wyjechałaś.

— O! nie taką! O cztery lata starszą, brzydszą.

— Naprzód wiesz, że nie. Ale skoro chcesz, mogę ci powiedzieć, żeś jeszcze wyładniała: nabrałąś pieprzyku. Nie mogę, doprawdy, pojąć: taka śliczna, taka bierna, i jeszcze — niewinna! Bo, żeś za mąż nie wyszła, to rozumiem, ale żeś potrafiła ujść cało? Ci ukraińcy, to muszą być dopiero niedołęgi. Nie uchowałabyś się tak u nas. A może? No powiedz, jak na spowiedzi. Wiesz, że jestem pobłażliwy.

— Nie rozumiem, o co wujaszek pyta.

— Rozumiesz dobrze, szelmutko. Niepodobna, żeby — ani myślą, ani mową, ani uczynkiem... Powiedz mi: dlaczego nie masz karety i brylantów?

— Bo mi nikt nie dał.

— A wzięłabyś, gdyby kto dał?

— Jeżeliby mi się podobał, kareta nie stanęłaby na przeszkodzie.

— A wzięłabyś ją odemnie?

— Nie, bo mi się od wuja nie należy. Nie jestem ani córką...

— Dajmy na to, że nie tylko córkom ludzie dają powozy.

— A i żoną wujaszka nie jestem...

— To ty jeszcze myślisz, że na to potrzeba być mężem?... No, nie udawaj... Szastałaś się tyle po świecie.

— Ja nigdy nic nie udaję.

— Więc powiedz mi: czy wiesz, czego mężczyzna żąda wzamian za powóz i brylanty?

— Miłości.

— A mogłabyś ofiarować ją — mnie?

— Wujaszkowi?

— Cóż tak deklinujesz mój smutny tytuł! Wiem, że jestem ci tylko — wujem, ale, bardzo szczerze, chciałbym zostać czemś innem, czemś więcej. Poprzestałbym na malutkiej daninie... I niktby się o tem nie dowiedział... i nicby ci nie ubyło... ani przybyło. Niestety!... Jeśli nie ja, będzie inny — to nieuniknione. Więc lepiej, że ja. Powiedz sama! Nawet raźniej...

Dola zrozumiała, że wuj chce z nią wejść w jakiś targ haniebny. Wiedziała już, że dla poznania miłości zupełnej, nie potrzeba obrączki; ale nie chciała jej poznawać w ten sposób. Wolała nie dowiedzieć się nigdy, jaką jest najwyższa cena miłości, niż dowiedzieć się, jak kobiety płacą za powóz i brylanty.

— Ty umiesz tylko milczeć — niecierpliwił się hr. Orlicki. — Odezwij-że się nareszcie.

Twarz Doli pociemniała.

— Powiem ci szczerze — mówił — zanadto się drożysz z twemi łaskami. Wierzaj mi, byłoby ci lepiej na świecie... Bo zastanów się: co to jest panna? Jaki to fach? Jakie to zajęcie? No i wreszcie: jaki cel — jakie przeznaczenie? Rozumiem, że można być przywiązaną do swego wdowieństwa — wspomnienia, żale i tym podobne. Ale kochać rzecz nie przedstawiającą żadnego sensu, żadnej wartości... to tak, jak gdyby ktoś pomarańczy jeść nie chciał, bo mu się podoba łupinka... *C'est tout bonnement ridicule.*

Dola wstała.

— Ja muszę już wracać do domu — rzekła głosem niezwykle stanowczym.

Hr. Zdzisław był graczem zbyt wytrawnym, aby przeciągać strunę.

Wstał i podaną rękę z wielkim szacunkiem do ust podniósł.

— Jeżeli ci zrobiłem przykrość, daruj. Ty nie wiesz, czem dla mnie jesteś — i może lepiej, że pozostaniesz daleką, choć blizką memu sercu. Gada się głupstwa — ze złego przyzwyczajenia, ale w duszy tkwi cześć dla kobiety nieskalanej. Powiem ci nawet... Wiesz, że sentymentalny nie jestem...

— O! wiem!

— Tak znowu bardzo nie ręcz... I ja potra-

fię być trubadurem... Otóż, wtedy na dworcu przed laty pięciu, gdyś wyruszała w świat, taka niewinna, mnie łaskotało w gardle, choć do łez skłonny nie jestem... No, idź już, wracaj do swoich zajęć — nie będę cię sprowadzał z drogi obowiązku... Przepraszam, że cię nie odwiozę do domu — wrócisz pod opieką Andrzeja.

. . . .

Znalazłszy się w swoim pokoju, Dola padła na szeslong, zbita, jak oćwiczone zwierzę.

...Gdyby jaki król piękny i młody... Nie, królowie z bajki już wymarli... Więc — nie król, ale ktoś wielki, niepospolity... raczej niż go utracić, wolałaby... ale wuj... Na to jej zeszło...

Po raz pierwszy zapragnęła już być starą. Łatwiej żyć, i bliżej do śmierci.

— O Boże! zmiłowania!

. . . .

XV.

Dola leży na szeslongu — trzyma książkę: jakiś romans francuski, ale go nie czyta — truje się własnemi myślami. Dokoła niej wir życia, a ona w czterech ścianach swego pokoiku zażywa goryczy młodości ubogiej.

Wśród tych rozmyślań, jak przez sen, słyszy dzwonek.

— Nu, naszukałam ja się ciebie po piętrach... ale taki znalazłam. Moja droga! Jak my dawno nie widzieli się. A ty naprawdę ładniejsza *stała* jak przedtem. Mnie już to mówił Iwan Pawłowicz — ale ja sobie myślałam: ot, takie męskie osądzenie! Dla nich wszystko ładne... Bo ty w Instytucie była daleko nie *krasawica* — a teraz »oduszewiłaś« się. A że to za mąż nie wyszła! Dziwno!

Przed Dolą stoi wysoka brunetka w aksamitnej rotundzie z kosztownym kołnierzem, w kapeluszu ubranym strusiemi piórami.

Dola po akcencie domyśla się, kto jest owym gościem; po wyrazie oczu, wesołych i przenikliwych, poznaje dawną Zapolską.

Po raz ostatni widziały się obie w niezgrabnych wiśniowych mundurkach, z białymi fartuszkami, oszpecającymi figurę — więc dzisiaj dostrzegają w sobie wzajem duże zmiany. I Zapolska wypiękniała, rozrosła się, nie boi się już Wernerzycy — mówi głośno, dobitnie i co parę słów śmieje się. Dola stoi zafrasowana.

— Jakże? Nie pocałujesz? Koleżankiż-my.

Zapolska zrzuca z ramion futro, siada na szeslongu i Dolę do siebie przyciąga. Patrzy na nią długo i badawczo.

— Ty smutna — mówi po chwili. — Du-

szeczka, tobie źle na świecie... A widzisz, pisałam tobie: żyć nie umiecie. Wszystko u was tragedya. Ot, a mnie wesoło. Z balu na bal, żadna tyle wytańczyć nie może, jak ja. Po dziesięć oficerów za mną się ciągnie. A ja: temu uśmiech, tego wachlarzem po ręku, a z tym mazurkę. Jak tańczę, wszyscy stoją i patrzą — a mąż nie zazdrosny: wie, że on u mnie jeden, i prowadzi mnie, gdzie ja tylko chcę. Tej niedzieli idziemy na trzecią maskaradę... Strasznie lubię maskarady! Takiej drugiej zabawy niema... a potem kolacya, obowiązkowo.

Dola nie odezwała się jeszcze ani razu... Zapolska w środku zdania urywa...

— A teraz twoja kolej — powiedz ty mnie o sobie... Wiem, rozumna ty stała — piszesz po gazetach... a my ciebie mieli za *duroczkę...* Tak zawsze: nie wiesz, na co tobie przyjdzie... Choćby ja... Ale mnie bardzo dobrze, a już co wesoło, to wesoło.

Dola, wciąż zmieszana – nie wie, jak do niej mówić i co mówić. Każde pytanie, to dotknięcie jakiegoś bolącego miejsca. Może rany.

— Cóż ty tak milczysz. — Ni słowa. Nie rada z mojej wizyty? — pyta nareszcie Zapolska.

— Przeciwnie.

— Bo mnie Iwan Pawłowicz odmawiał iść,

15*

ale ja myślałam: ty byłaś zawsze dobra. Do innej możeby nie poszła, a do ciebie przyszłam.

— A rodzice? — pyta Dola i w tejże chwili pytania żałuje, odczuwa całą jego niewłaściwość. Po twarzy Zapolskiej przepływa jakby ciemny obłoczek.

— Co mnie rodzice? Ja z nimi już nie znajoma. Starzy, *duraczą* się. Mnie teraz rodzina — mąż i dzieci.

— A dużo dzieci?

— Ich dwoje — Mania i Włodzio — rozkoszne *małe!* Oni tylko po francusku. Ani w ząb inaczej. I my z mężem przy nich zawsze po francusku. A potem... ja ich nauczę... Nigdy nie możesz wiedzieć, jak tobie się w życiu zdarzy: myślisz — szczęście, a ono wychodzi niezupełnie tak... Nie do siebie ja to mówię... Mnie bardzo dobrze. Już co mąż, to takiego nie znajdziesz i między naszymi. A ot, widzisz, ty wcale za mąż nie poszłaś — to jeszcze gorzej. Choćby człowieku nie wiem jak było ciężko, to i pocierpieć warto, kiedy kochasz. Żeby mnie *nakopali* złota tyle, co ten pokój, a powiedzieli: »może się zmienić«, to jaby nie rzuciła męża. Na co mnie wszystko bez niego... Patrz, przyniosłam tobie pokazać jego fotografię. Piękny on? Prawda? Można się stracić dla takiego. Bo ty nie wiesz, ty i wyobrazić nie możesz, co to jest mąż. Jaki on potrzebny i miły... Szczęście twoje, że nie

wiesz, bo by ty jednej chwili nie wytrzymała i zrobiła może jakie głupstwo... A ten Iwan Pawłowicz, rozum dla ciebie stracił. Nagadali my się z nim o tobie przez te parę lat! A już teraz, jak ciebie zobaczył, to ze wszystkiem oszalał. A ty co? Jak on się tobie podoba?

Dola milczała.

— Wiem, ty myślisz: »Jaby tak nie zrobiła, jak Zapolska«... A może i zrobisz źle, choć inaczej. Ładna ty, a mężczyźni — ot mężczyźni... Dużo czasu na to nie trzeba, i nie upatrzysz się — już bieda! Nie daj Bóg. Ja tobie życzliwa... Lubiłam ja ciebie zawsze, ale wtedy inaczej. Głupie my były, inne, a teraz — ty mnie, jak siostra rodzona. Patrzyć na ciebie miło. Pozwól ty mnie zachodzić czasem, pozwól.

— Proszę cię, przychodź — szepnęła Dola i uścisnęła jej rękę.

— Nareszcie! Powiedziałaś do mnie: »ty«. Dziękuję tobie. Ty zawsze dobra i taka została. Nawet nie wiesz, jak ja się cieszę... Już cztery lata nie spotykałam nikogo, kto mnie znał przedtem, i nie mówiła... po dawnemu... niekiedy z Iwanem Pawłowiczem — dwa, trzy słowa... I tyle, co na maskaradzie... Z pułkowymi ja wtedy i nie rozmawiam — mogę ich widzieć zawsze — a tylko podchodzę do... tamtych... I głosu zmieniać nie trzeba: oni mnie nie znają i znajomości ze mną nie chcą... Ja im mówię pustoty — byle mówić

po... naszemu. A oni dogadują się, że ruska, że genieralsza, albo pułkownikowa. Niech myślą... Raz tylko przyznałam się jednemu... w przeszłym roku... to tak nagadał, że drugaby rozgniewała się. Ja — nie. Był w prawie. Po maskaradzie umawiali się wszyscy na kolacyę, i mnie ciągnęli. Nie poszłam. Mąż i znajomi pytali: czemu? A ja odpowiedziałam: »Głowa boli«. I taki naprawdę rozbolała. Et, co mówić! Przepadło! nie wróci, i jaby nawet nie chciała. Mąż prosto anioł, a te — *kroszki* — one temu nie winne. U mnie do ciebie jeszcze jedna prośba: chciałabym dzieci przyprowadzić... Miłe one, dobre — i... tylko po francusku. — Niech oni posłyszą, jak ja z tobą mówię! Niech wiedzą!...

— Przyprowadź, i nie raz... Będę z nimi mówiła — nauczę ich. A może chcesz jakiej książki?...

— Ty? Doprawdy? Aż wierzyć się nie chce! Taka nie pamiętająca złego... To jutro dzieci przyprowadzę. Można jutro?

— Proszę cię — bardzo.

— Trzeba mnie już iść.

Była przy drzwiach. Na progu stanęła.

— A ty może zakochana? — rzekła, przyciągając Dolę za rękę.

— Nie.

— Doprawdy?

— Naprawdę.

— Żalińska, powiedz ty mnie, jak siostrze: tobie Iwan Pawłowicz podoba się? W oczy mnie spojrzyj...

Jedną rękę trzymając na klamce, drugą objęła w pół Dolę.

— On mnie prosił bardzo, żeby ciebie zapytać — mówiła głosem cichym — człowiek dobry i głowę dla ciebie traci — a tobie za mąż dawno pora. Inni nie chcą — on chce... A taki ty, Żalińska — tego nie rób... Nie rób... Nie dawaj dostępu miłości. Z innym... ze swoim — choć bez ślubu. A ten tobie — obcy — żeby i najbliższy był, zawsze — obcy. A już gdyby dzieci — *biedniażki!*

Dola stała ze spuszczonemi oczyma. I po odejściu Zapolskiej stała tak jeszcze długo, bardzo...

. . . .

XVI.

Po wizycie hr. Zdzisława, panna Żalińska wydała się redaktorowi jeszcze piękniejszą i bardziej interesującą. Zachwyt jego do niej wzrastał w prostym stosunku do jej stosunków w owym *high-lifie*, o którego etymologii hr. Zdzisław chciał wydrukować 800 wierszy.

— Jakże z tem pisaniem? Chce pani zostać prawdziwą literatką? — pytał ją Van Niecki.

— Chciałabym ogromnie — rzekła ucieszona.

— Spróbujemy. Niech mi pani napisze... No, co? Dajmy na to: swój pogląd na stanowisko kobiety wobec mężczyzny.

— Mam to przynieść jutro?

— Nie, daję pani cztery dni czasu. Wszak trzeba się namyśleć.

— O! tak! I nie wiem nawet, czy co wymyślę?

— Nie należy nigdy w siebie wątpić... Ma pani talent. Spostrzegłem to zaraz.

Przed kilku dniami wrzucił do kosza całą plikę jej notatek, mówiąc, że są »do niczego«.

— A podobno w tece są nowelki?

Dola spłonęła.

— To wstyd wprawdzie — rzekł dobrotliwie — bywają jednak hańby gorsze.

Przez cztery dni Dola była w gorączce — pisała, kreśliła, przepisywała, zmuszała się do myślenia o rzeczach poważnych, budziła się w nocy ze strachu, że nie podoła zadaniu.

Wreszcie, wylane na papier poglądy złożyła na biurku redaktora, cichaczem, ukradkiem.

. . . .

— Mamy w redakcyi Wallenroda w spódnicy — oznajmia Van Niecki, wchodząc do han-

delku, w którym główny sztab »Brzasku« gromadził się zwykle wieczorem.

— Naturalnie: »stara« znosi plotki Obrzutowiczowi — domyśla się Sztein.

— Właśnie, że chodzi o »młodą« i nie o plotki. Gorzej, bo o zdradę własnej płci.

— Za subtelny koncept. Nie rozumiem — oświadcza Płaton.

— Mówię wam, boki zrywać, co nasza panienka popisała o sprawie kobiecej. Przeczytam wam. A słuchajcie uważnie, bo czegoś podobnego nie posłyszycie nawet w *tinglu*. Naprzód motto:

Przeznaczeniem kobiety — być piękną i kochaną.

— Od razu mi się ten artykuł podoba — oświadcza Tytus-Marek.

— Podkreśliłem wytyczne punkty czerwonym ołówkiem. Oto wiązanka aforyzmów:

Od pierwszej chwili swego istnienia kobieta była własnością mężczyzny.

— Prędko się uwinął! Prawda? — mówi Van Niecki w nawiasie.

Kobiety celem jest — mężczyzna.

— Wcale nie głupie! — dowodzi Tytus-Marek.

Postęp odziera kobiety ze złudzeń i marzeń, pozbawia je kwiatów.

Kobiety, szukając prawdy, tracą z oczu piękno.

— Coraz więcej mi się to panieństwo podoba — oznajmia Szymon.

Kobieta może z duszy mężczyzny wydobyć cudne melodye — talentem kochania.

— Bardzo głębokie i prawdziwe. Powiem wam, że się to wcale nie nadaje do czytania w knajpie — orzeka Werpiszewski.

— Bo z pana zawsze idealista. — Słuchajcie, teraz przyjdzie najciekawsze:

Nic nie ujmuje bardziej silniejszego nad bierne poddanie się.

— A dawajcież ją prędzej! Niechże się biernie podda! I mnieby tem ujęła — oświadcza Sztein.

— Ja myślę! — wtrąca Szymon z przekonaniem szczerem.

Płaton milczy.

Emancypantki nie rozumieją, że trzeba być czystą.

— Ciekawa rzecz, jak ona sobie tę czystość wyobraża? – zastanawia się Tytus-Marek.

— Nieinaczej, jak w formie szczoteczki do paznogci — upewnia go Szymon.

Mężczyzna w oczach kobiety widzi barwę jej duszy.

— Dusza panienki naszej ma barwę księży-

cowych promieni i tęczy — zachwyca się Werpiszewski.

— Pan zawsze perfumuje rzecz każdą — wsuwa redaktor.

— A ty, mój drogi, każdą — zatłuszczonemi palcami walasz.

Van Niecki udaje głuchego.

— Teraz przychodzi najlepsze — oznajmia. — Nasza panienka sięga do źródeł i stosunek kobiety do mężczyzny wyprowadza od Adama i Ewy. Posłuchajcie, jak sobie wyobraża to, co zaszło nad Tybrem i Eufratem:

Słońce, księżyc, cały świat zadrżał dreszczem radości w tej błyskawicznej chwili, gdy mężczyzna po raz pierwszy kobietę od Boga dostał.

— Na szczęście, takie katastrofy towarzyszyły tylko pierwszej chwili błyskawicznej — podaje w nawiasie Van Niecki.

— I to niby pisze niewiniątko — mówi Sztein ze zjadliwym uśmiechem.

— Tylko niewiniątko mogło popisać takie bezeceństwa — tłómaczy Werpiszewski.

— Nie na tem koniec — zapowiada redaktor.

Gdy pierwsi ludzie ujrzeli się wzajem, stało się coś, co przeszło wszelkie dotychczasowe cuda stworzenia.

— Przysiągłbym, że panienka strasznie ciekawa tego cudu — komentuje Van Niecki.

Dla kobiety życie i miłość zrodziły się w tej samej chwili.

...*Mężczyzna został stworzony naprzód — był sam w naturze — kobieta ani na chwilę samą nie była, i dlatego przez długie wieki nie czuła potrzeby samotności. Ta potrzeba zrodziła się w niej dopiero, gdy mężczyzna zaczął ją opuszczać i zaniedbywać, gdy zaczął sobie stwarzać szczęście, cele i pragnienia po za nią.*

— Ciekawe, ciekawe! — wtrąca Werpiszewski.

...*Aby odzyskać raj utracony, kobieta winnaby wrócić do swego pierwotnego przeznaczenia: żyć tylko dla mężczyzny. Ale, niestety, wielu mężczyzn takiej ofiary już nie chce, i dlatego kobiety szukają szczęścia gdzieindziej.*

— Ślicznie to wywiodła — zachwyca się Werpiszewski. — Ta emanacya duszy dziewczęcej jest wzruszająca, nawet w absurdach. Wcale się nie wstydzę, że mi w oczach wilgotno.

— Poczekaj pan. Będziesz jeszcze płakał ze śmiechu — oznajmia Van Niecki i czyta dalej podkreślone zdania.

...*Cud miłości powtarza się ciągle, i kobieta stoi wobec niego trwożna a radosna... ma wrażliwość kwiatu, który drży za wiatru powiewem, z obawy, żeby nie zdmuchnął jego puszku.*

— Wiedziałem, że przyjdzie i puszek! — woła Sztein.

Płaton milczy.

— Dla was-bo niema nic świętego... — oburza się Werpiszewski.

— Zwłaszcza puszki.

— A ja wam powiadam: ta dziewczyna ma duszę, jak kwiat wonną.

— Niechże pan tylko na puszek nie dmucha — rzuca redaktor, i czyta dalej:

Mężczyzna prawdziwie dobry, a nawet każdy, bo niema prawie złych mężczyzn...

— Biedactwo! Tak myśli — wtrąca Tytus-Marek.

Mężczyzna prawdziwie dobry nie nadużywa swoich praw do kobiety.

— To już lepiej być złym! — mówi Sztein

Mężczyzna szlachetny osłania kobietę przed niebezpieczeństwem duszy i ciała. Bierność, bezbronność kobiety wszechwładnego jej pana ujmuje i na niewolnika zamienia.

Płaton zrywa się nagle.

— Dość już tej lektury! — woła, uderzając w stół pięścią.

— A co, nie mówiłem: jeżeli nawet Płaton się zgorszył... — tryumfuje Van Niecki.

— On się nie zgorszył, tylko sobie przypomniał, że po tyle a tyle kopiejek od wiersza

rozkuwał kajdany niewoli kobiecej — wyrywa się Sztein.

— A pan zawsze na kopiejki wszystko obliczasz! — ujmuje się Szymon za przyjacielem.

Sztein znowu swój jad sączy:

— Niech się tem pan Werpiszewski zachwyca, a ja powiem, że panienka aż się prosi, żeby ją pierwszy lepszy głupiec po łbie walił, byle...

— A ja panu powiem, panie Sztein: nie radzę pierwszemu lepszemu głupcowi strzępić plugawą gębę. Słyszysz pan: *nie ra-dzę* — przyskakuje do niego Płaton, i trzęsąc go za ramiona, rzuca mu te słowa, jak policzek.

— Ależ cię wzięła! No! no! — dziwi się redaktor.

— A wam co do tego! — woła Rusin, tłukąc znowu w stół pięścią. — Komu dałem prawo wchodzić sobie z kaloszami do duszy? Komu?

Urywa nagle.

— Długo jeszcze będziecie przelewali z pustego w próżne? Ja bo idę — mówi głosem zupełnie spokojnym. — Muszę na jutro pisać artykuł. Ty możesz jeszcze zostać — powiada do Szymona, który chciał z nim wychodzić. — Dobranoc panu, panie Werpiszewski.

Jemu jednemu rękę ściska — bardzo mocno.

— Ktoby myślał! — zdumiewa się po jego odejściu stary krytyk.

— Bo go nie znacie — przekłada Szymon — rzadko mówi to, co naprawdę myśli. Chce uchodzić za gorszego niż jest i lubi robić na złość, nawet sobie.

— Co tu gadać! Wylazł z niego idealista — konkluduje Werpiszewski. — A biedne paniątko śpi w najlepsze i nie wie, że my tu o nią skaczemy sobie do oczu... Ślicznie to, dobre i nie głupie... o, nie, a jednak przypomina mi się pasztet strasburski.

— Cóż to nowego? — pyta redaktor zaciekawiony.

— Wiecie jak hodują gęsi na pasztety?

— Co nas to obchodzi, byle pasztet był smaczny — odpowiada Van Niecki.

— Otóż to właśnie — oburza się Werpiszewski — to jest kluczem do sprawy kobiecej. ...Gęsiom, tuczonym na pasztet, przybijają łapki do ziemi, żeby nie mogły kroku postąpić i utuczyły się należycie dla spożywcy. I my przykuliśmy kobietę do kojca dla naszej wygody, i my widzimy w niej jedynie artykuł spożywczy.

— Przyznaj pan, że go spożywałeś ze smakiem — żartuje Van Niecki.

— Z wami nie można nigdy mówić seryo — odpowiada mu Werpiszewski.

— Ej, co tam robić tragedye — wyrywa się znowu Sztein — panienka wcale nie głupia: pod-

lizuje się mężczyznom, bo chce, żeby jej redaktor pensyę podwyższył.

— Mój panie, opowiem ci bajeczkę — odzywa się Werpiszewski.

»Karzeł, idąc gościńcem, spotkał olbrzyma.

»— Jakże on wygląda? — pytały go karły, gdy do nich wrócił.

»A on im na to:

»— Nie mogłem dojrzeć. Widziałem tylko — że miał okurzone buty«.

— Zapamiętaj sobie tę bajeczkę, panie Sztein, a gdy czego ze swoich nizin dostrzedz nie możesz, to się lepiej nie odzywaj.

. . . .

XVII.

Dola straciła już nadzieję usłyszenia wyroku o swoim artykule.

...Może redaktor go zgubił, a może zapomniał przeczytać. Nie śmiała go nudzić pytaniami. Był tego dnia bardzo zajęty i unikał jej widocznie.

...Artykuł nic nie wart, a on za delikatny, żeby jej to powiedzieć.

Z pewnością tak jest — utwierdzała się w swoich przypuszczeniach.

Van Niecki bał się istotnie powiedzieć Doli prawdy, ze względu na jej stosunki. Udawał,

że ma nawał roboty, biegał z pokoju do pokoju.

Każde skrzypnięcie drzwi przyśpieszało tętno jej serca.

Już chciała wychodzić, gdy poruszyła się znowu klamka.

Do pokoju wszedł Płaton.

— Więc pani lubi niewolę? — zagadnął.

Nie mogła zrozumieć, do czego zmierza.

— Czytałem, co pani pisała o stanowisku kobiety do mężczyzny.

— Pan czytał?

— Tak, i ja, między innymi.

— Redaktor panu pokazywał?

— Jak było, o to mniejsza, dość, że radzę nie pisywać artykułów programowych.

— Czy ten był bardzo głupi?

— Bardzo.

— Doprawdy? I, jak pan myśli, nie nauczę się nigdy pisać?

— Trzeba wpierw nauczyć się myśleć... Zaraz łzy w oczach... Poco?

— Wolałabym, żeby się panu podobało.

— I jabym wolał, żeby było inne: pisze pani, jak nieinteligentna pensyonarka...

— Czy i styl niedobry?

— Samo pytanie dowodzi bezmyślności.

— Co to, to nie. Myślę bardzo dużo — za dużo nieraz.

— O miłości, o mężczyznach, którzy »prawie nigdy« źli nie są... Cóż to? Zapomniała pani o mnie?

— W ostatnich czasach pan był dla mnie bardzo dobry.

— Popsuję się znowu, bo człowieka pasya bierze. Taka panienka niczego się nie nauczyła, nie ma pojęcia o życiu, i chwyta za pióro.

— A nauczyć się życia nie można?

— Nie można, jeśli się niema zdolności.

— Mój Boże, więc ja jestem do niczego?

— I owszem, jest pani do wstawienia pod klosz.

— Jaki pan dla mnie znowu niedobry!...

— To trudno. Na klosz mi nie starczy...

Spojrzała na niego z wyrzutem. Odwróciła się i szła ku drzwiom.

Zastąpił jej drogę.

— Pani — zaczął takim głosem, jak gdyby miał jej powiedzieć coś przykrego — jabym... jabym chciał, żeby pani było dobrze na świecie... Tak mi pani... Et! co tam!... I jeszcze jedno — niech pani nie daje swoich wypracowań redaktorowi. — Mnie można.

— Przecież mi pan mówi, że pisać nie warto.

— Toż pani wie — ja jestem bryś... ja zawsze muszę komuś dokuczać. Podła natura!...

— Więc mogę jeszcze próbować z tem pisaniem?

— A niech pani próbuje! Zobaczymy.

W kilka dni potem dała mu do przeczytania nowelę...

Gdy po godzinie wszedł do pokoju, w którym siedziała, dość jej było rzucić okiem na niego, żeby spostrzedz, że nie przynosi jej pochwały.

— Czy pani sama nie czuje — mówił — jakie to śmieszne: ten Antoś, który po utracie wiary w kobietę, dostaje gorączki i woła: »Serce mi wydrenujcie!« I odrzuca lekarstwa, i wrzeszczy: »Nie chcę pić złudzeń! To trucizna. Wylejcie za okno! Niech się nikt nie truje!«... Niema w tem prostoty, prawdy.

— A ja to nawet wzięłam z życia. Znałam takiego studenta, który w kobiety nie wierzył.

— Pani go zdradziła?

— Nie ja — nawet nie on sam doznał zawodu, tylko jego kuzyn.

— I tkliwy młodzian tak to wziął do serca, że dostał tyfusu i drze się w gorączce: »Mówiła: na zawsze! Czem one to mierzą? Edzio głupi ufał — ja głupim nie będę!« I w miejscu tem zaśmiał się przeraźliwie.

— Niech mi pan odda zeszyt.

— Jeszcze się pani będzie obrażać! — burknął.

— Nie obrażam się, ale mi przykro.

— I mnie było przykro, kiedym czytał te bajania... — A i złość mnie brała — bo mogłoby

to być nie złe. Pani sama psuje własne pomysły... Weźmy tytuł: napisała pani: »Dlaczego Antoś nie wierzy kobietom?« To było zupełnie dobre. Ale nie — wydało się to pani zanadto zwyczajne. Więc dąlejże się smażyć nad czemś innem. »Laboratoryum w sercu«. Na szczęście, tego — nawet pani sama przełknąć nie mogła. Nowe namysły i wreszcie — tytuł pompatyczny, łaciński: »*Nostra maxima culpa*«. Dość to przeczytać, żeby całą nowelę rzucić do kosza. Najciekawsze są przekreślenia i poprawki.

— Nie miałam czasu przepisać. Chciałam to panu oddać jak najprędzej. A teraz żałuję.

— Wcale niepotrzebnie. Są tu odbłyski... nie powiem talentu — ale jest w tem coś... Choćby motto — pani lubuje się w mottach: »Jeżeli mężczyźni nas nie szanują, uderzmy się w piersi«... Dość głębokie, jak na taką pannę. A wreszcie zakończenie: »Wyzdrowiawszy, Antoś powiedział sobie: Jeżeli *to* ludzie nazywają miłością: jeżeli kobiety *to tylko tyle* — poco je kochać. Będę je lubił — to wystarczy«.

— Niech-no pani się przyzna — mówił Płaton, zamykając zeszyt — czy to pani sama pisała?

— Zupełnie sama, ale słyszałam takie zdanie kiedyś — z ust znajomego studenta.

— Otóż to właśnie! Mało wyobraźni. Będzie pani zawsze opowiadać rozmaite anegdoty o zna-

jomych. Szkoda atramentu, nie mówiąc już, że źle być znajomym takiej panny.

— To już widzę, że naprawdę pisać nie warto.

— Warto, nie warto. Niech pani pisze.

— Bo ja mam jeszcze różne tematy. Czy mogę panu przeczytać?

— Co mam robić? Wysłucham.

— To niedługie — treść, program i tytuły: »*Dlaczego Tycia nie wyszła za mąż?*«

— Pani lubi zapytania w tytule. No, więc dlaczego?

— Założeniem mojem przedstawić kobietę, która gwałtem chce wyjść za mąż...

— Królowa Bona umarła.

— Mój drogi panie, proszę mi nie przerywać, bo ja zaraz tracę głowę. — Otóż:

»chce wyjść za mąż gwałtem, bo nic robić nie umie i nie chce — a siostry podrastają, rodzice nie mają dość środków, żeby trzy panny w świat wprowadzać. Tycia pozbywa się coraz bardziej ambicyi i sama się oświadcza«...

— Morał taki: panny żyją na to, żeby je w świat wprowadzać! Na Ukrainie zapewne nikt nie słyszał o sprawie, która się nazywa kobiecą. Pani nawet nie wie, czy to się je, czy to się pije. Prawda?

— Poco wyśmiewać? Lepiej od razu powiedzieć, że temat nic nie wart.

— Przepraszam! Więc moja rada taka: pozo-

stawmy lepiej Tycię własnym losom. I cóż tam pani ma jeszcze w konspektach?

— Tytuł: »Nie była szczęśliwa«. Motto:

— Ma się rozumieć! Ach już nie, nie... Będę grzeczny.

— »Napróżno wmawiamy w siebie, że podług wszelkich danych powinniśmy być szczęśliwi. Gdy nie mamy do tego zdolności, nie nabędziemy jej nawet wśród krain mlekiem i miodem płynących, tak jak człowiek pozbawiony muzykalnego ucha, nigdy w takt tańczyć nie będzie«.

— To już daleko lepsze! Dziwne z pani stworzenie — niby głupiutkie... Ach! przepraszam! — A jednak to myśli, zastanawia się nad życiem, choć go nie zna i wśród banialuków napisze nieraz coś takiego, że... czołem.

— Doprawdy!. Jak mnie to cieszy! I niech pan nie przypuszcza, że ja umiem pisać tylko o miłości. Mam tutaj taki temat: »*Chłopska sielanka*«. »Wyszła za mąż za pijaka. Wstyd zostać starą dziewką. Opis wesela. Potem mąż złamał żebro. Sąd usprawiedliwił.

— Czytająca publiczność będzie surowsza od sądu. Pani napisać tego nie potrafi.

— Czemu mnie pan zniechęca? Ja chcę, ja muszę pisać. Od dzieciństwa miałam do tego skłonność... A teraz, pan nie wie, to dla mnie...

— Moje drogie paniątko! No i co ja mam

powiedzieć? Gdyby pani była brzydsza, radziłbym wyleźć z mgły, oczy przetrzeć, spojrzeć na świat trzeźwo, pisać, drzeć, znowu pisać, a co się napisało, chować do biurka, i czekać, aż się odleży — rok — dwa. Ale tak jak jest... Co tu gadać — psi los takiej ślicznej dziewczyny... I nic, nic poradzić nie mogę... Człowieka dyabli biorą...

. . . .

Próbowała oczy na świat otwierać, próbowała pracować nad sobą, jak gdyby była brzydszą. Nie zdało się to na wiele. Inni zapomnieć nie mogli, że jest ładną...

. . . .

XVIII.

Baronowa Derp lubiła urozmaicać swoje rauty współudziałem przedstawicieli sztuki i literatury.

Bywało u niej zawsze po paru publicystów, po kilku poetów, adwokatów i lekarzy. Pewna była, że jej salon jest mostem, przerzuconym od wyborowej »mniejszości« wielkiego świata do ordynarnej przewagi liczebnej — tłumu; od uprzywilejowanych posiadaczy »manier« do nieokiełznanej nawały plebsu.

Adwokaci, publicyści i tym podobni uważali lub *nie* uważali sobie za zaszczyt bywać na salonach baronowej Derp, lecz ona uważała, że im wielki zaszczyt wyświadcza, choć rada była, że zapełniają jej apartamenty.

Chęci zapełniania salonów nie posuwała tak daleko, aby ich prosić z żonami lub córkami.

W kilka dni po przedstawieniu »Carmeny«, dr. Żelwietr został zaproszony do pani Derp, »na filiżankę herbaty o 9-ej«.

Wchodząc do salonu, w najdalszym jego kącie ujrzał od razu ponsową sukienkę i w ramce złotych włosów — onieśmieloną twarzyczkę.

Dr. Żelwietr zbliżył się do Doli, parę słów z nią zamienił i chciał iść dalej. Przykuły go do miejsca oczy smutne, błagalne.

»Nie zostawiaj mnie znowu samej« — prosiły.

— Czy pani ma tutaj dużo znajomych? — zapytał.

— Prawie nikogo, i tak mi nieswojo — szepnęła.

— Chce pani, żebym koło pani usiadł?

— Bardzo.

— Dopóki nie znajdzie się milsze towarzystwo, gotów jestem służyć swojem.

— Tak się cieszyłam na ten raut — mówiła — a teraz wolałabym siedzieć w domu.

— Znowu łzy w oczach? Drugi raz panią wi-

dzę, a już dwa razy widziałem oczy załzawione. Pani jest zdenerwowana.

— Czy to od razu widać?

— Ja widzę, bo jestem lekarzem i radzę na świat przez łzy nie patrzeć. To niezdrowo.

— Bo też ja jestem chora.

— I dlatego leczy się pani u dra Derkacza?

— Skąd pan wie?

— Z ust pani.

— A! prawda!

— *Mnie* taką rzecz powiedzieć można. Ale proszę o tem nie mówić nikomu.

— Dlaczego?

— Pani doprawdy nie rozumie? A widziała pani tabliczkę na jego drzwiach?

— Nie zauważyłam.

— Szkoda. I nie wie pani zapewne, że lecząc się, można nieraz popaść w chorobę.

— Pan to mówi?

— Ja właśnie, bo znam nie tylko choroby, ale i lekarzy.

— Pan zapewne zna i życie. Ja go się nie mogę nauczyć.

— Tak, pani jeszcze nie wie, co można mówić, a co należy ukrywać. Ile pani ma lat?

— Dwudziesty pierwszy.

— Czy pani chce uchodzić za młodszą?

— Nie.

— A odzywa się pani czasem tak, jak gdyby pani miała szesnaście. Czy to poza?

— Dlaczego mi pan mówi takie przykre rzeczy.

— Słuszna uwaga! Cóż mnie do tego?

— Pan jest do mnie źle usposobiony.

— Jestem.

— Czy pan zna kogo z redakcyi »Brzasku«? Tam mnie uważają za głupią.

— Nikogo z redakcyi nie znam, ale o pani słyszałem.

— Zle czy dobrze?

— Właściwie tylko źle. Może się to jednak okazać dobrem.

— Niech mi pan lepiej wytłómaczy.

— Jeżeli pani jest taką, jak się pani wydaje — to muszę o pani myśleć tylko źle; jeżeli zaś pani taką się wydaje, dlatego że pani jest w gruncie inną, to myśląc źle, krzywdziłbym panią. A cóż mi pani sama powie o sobie?

— Chyba to, że jestem taką, jak się wydaję, bo grać komedyi nie umiem. Martwi mnie, że będąc taką jak jestem, w oczach pana mogę być tylko złą.

— Jeżeli będę miał sposobność poznać panią bliżej, to sam się przekonam, jaką pani jest naprawdę; a jeżeli taka sposobność się nie zdarzy, na nic mi się nie przyda wiedzieć, jaką pani jest.

— Nikt jeszcze ze mną tak nie mówił. Ja

się pana trochę boję, a mimo to czuję do pana dziwne zaufanie.

— Jakąkolwiek pani jest, żal mi pani.

— Pan, to musi być naprawdę dobry. Mogłabym się panu przyznać do rzeczy najgorszych, i byłoby mi lżej.

— Niech się pani przyzna.

— Nic jeszcze tak bardzo złego nie zrobiłam, choć na Ukrainie źle o mnie mówią; ale w Warszawie mogę się stać złą naprawdę... Żyłam dotychczas w głuszy. Teraz dopiero to widzę i rozumiem, że mogę się wydawać śmieszną. I tak mi przykro, że mnie pan posądza o pozę. Niech pan *tego* przynajmniej o mnie nie myśli. Poza tem może pan o mnie myśleć nawet bardzo źle, i nie omylić się.

— Taak?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem badawczem.

— Cóż to za długa konsultacya?

Hr. Zdzisław zaszedł z boku i nachylił się nad Dolą.

Podniosła głowę zdziwiona.

— A! wujek!

Panowie przywitali się chłodno.

— Pan Żelwietr tak uprzejmy, że mi dotrzymuje towarzystwa. Czułam się bardzo onieśmielona — tłómaczyła Dola.

— A nie chciałaś przyjechać tu z nami! Widzisz, jak to źle! Jestem tu od kwadransa... Ja-

kiś nudziarz we drzwiach mnie zatrzymał. Nareszcie wyrwałem się i przychodzę. Dopuści mnie pan do konsylium?

— Sądzę, że pan będzie lepszym konsultantem, a w każdym razie weselszym.

Po takiej odpowiedzi, dr. Żelwietr ukłonił się i oddalił.

— Tutaj duszno. Może przejdziesz do drugiego pokoju — zaproponował Doli hr. Zdzisław.

— Nie masz nic taktu — mówił do niej głosem przyciszonym, gdy znaleźli się w buduarze. — Kto słyszał wsuwać się w najdalszy kąt i szeptać pół godziny z mężczyzną, którego widzisz po raz pierwszy.

— Po raz drugi, wujaszku.

— Choćby i dwudziesty. Zwracało to ogólną uwagę, tembardziej, że jak na pannę dobrze ułożoną, zanadto byłaś przejęta rozmową. Cóż on ci prawił?

— To niezwykły człowiek.

— Bardzo niezwykły, bo pół-waryat. Niby to socyalista, obrońca pokrzywdzonych... a w gruncie blagier, frazesowicz. Zawsze ci mówię: z byle kim się nie zadawaj.

— Toć to przecież synowiec pana Żelwietra.

— Jeżeli zechcesz po pół godziny rozmawiać ze wszystkimi młodymi ludźmi, którzy mają stryjów, nocy nie starczy.

— Jestem z pani dumny — mówi, zbliżając

się Van Niecki, dumny przedewszystkiem z tego, że znajduje się w salonie baronowej. — Pani budzi ogólne zainteresowanie... Młodzież dopytuje: »kto ta ponsowa panna«?

— Niechże mi pan siostrzenicy nie psuje. Gotowa uwierzyć.

— Bo też tak jest, panie hrabio. Proszę zobaczyć. Ci dwaj panowie nie spuszczają z oka panny Adeli.

— Dowiedz się pan, że w salonie takich rzeczy się nie mówi.

Zmieszany kwaśną odprawą, Van Niecki nie wie, co mu uczynić należy: obrazić się, czy udawać, że nie słyszał. Decyduje się na to ostatnie, jako łatwiejsze do spełnienia, a pragnąc dowieść hrabiemu Orlickiemu, że umie prowadzić salonową konwersacyę, opowiada mu o swoich zamiłowaniach sportowych.

— Nie wiesz, kto ta śliczna panienka? — pyta złotego młodzieńca bogaty obywatel z kieleckiego, pan Orchowski.

— Nie wiem, ale widzę, że tę śliczną panienkę kompromituje hr. Zdzisław.

— Chodźmy temu zapobiedz.

— Ba! myślisz, że łatwo będzie znaleźć barona. On pierwszy znika z nudnych rautów swojej żony.

— Może kto inny nas przedstawi.

— Tak ci pilno?

— Bardzo.

— Masz racyę. Trzeba się śpieszyć, żeby jej nie zdemoralizował hr. Zdzisław. On to potrafi zrobić w kwadrans... No, masz szansę. Baron się zjawił. Chodźmy.

Po formalnościach prezentacyi, kilka pytań próbnych:

— Więc pani nie lubi wsi? — podchwytuje obywatel z Kieleckiego.

— Wolę miasto.

— Tak, w mieście weselej — przyznaje złoty młodzieniec.

— Czy pani się dużo bawi?

— Wcale się nie bawię.

— Dlaczego?

— Nie zawsze można robić to, na co się ma ochotę.

— Zawsze. Trzeba tylko znać sposób — dowodzi złoty młodzieniec.

— Niechże mnie pan tego sposobu nauczy.

— Z wielką przyjemnością.

— Co panu zrobi taką przyjemność? — wtrąca hr. Zdzisław, który wśród rozmowy z obywatelem z Kieleckiego, wytężał słuch przytępiony, wreszcie uchwycił słowa złotego młodzieńca do Doli.

— Pani zrobiła *votum* i zamierza pędzić żywot pustelniczy. Właśnie powiadam, że z przyjemnością odwiódłbym panią od tego zamiaru.

To wyjaśnienie, skierowane w stronę hr. Zdzisława, wpada w ucho wchodzącej do buduarku Amelki, która nie traci nadziei, że gdy złoty młodzienicc przegra jeszcze więcej w klubie, i jeszcze parę harbuzów weźmie, to nakoniec ona będzie miała sposobność harbuza mu — nie dać.

Ta nieznośna Dola i tutaj wchodzi jej w drogę! Trzeba temu koniec położyć.

— Cóż ty tak chowasz się po kątach! Możesz przecież wejść i do salonu — mówi, nie patrząc na nią, takim tonem, jakim panny brzydkie lubią przemawiać do ładniejszych od siebie kuzynek ubogich.

Powiedziawszy to, mimochodem, Amelka odwraca się plecami do Doli i wszczyna rozmowę ze złotym młodzieńcem, rzuca przytem parę pytań jego przyjacielowi i manewrując zręcznie wyprowadza obu do salonu.

— Doigrałaś się za kokieteryę — gromi Dolę wuj Zdzisław. — Ale nie daruję tego Amelce! Można być jaszczurką, ale nie wolno być - garderobianą.

— Proszę cię, mój drogi — wzywa go żona, wtaczając się do buduaru — konsulowa powiada, że nie będzie grała winta bez ciebie.

— Niech nie gra. I owszem.

— *Mais, mon cher, il faut parfois oublier son propre plaisir.*

Wśród żywej różnicy zapatrywań w tym względzie małżonkowie opuszczają buduar.

Dola zostaje sama.

Wstaje, chcąc uciec do pokoju Jadzi.

— Niech się pani napije wody — słyszy za sobą przeciągły akcent litewski.

Obraca się. Dr. Żelwietr podaje jej szklankę.

— Znowu łzy w oczach! Nie, tak nie można!

— Wróciłabym do domu zaraz, ale się boję wychodzić po nocy sama.

— Nie wypada mi pani odwozić.

— Pójdę do pokoju młodszej kuzynki i tam przesiedzę do końca. Potem mnie odwiezie wuj Zdzisław.

— To już lepiej było siedzieć w domu.

— Oj! prawda. Żegnam pana.

— Do widzenia... Jeszcze słówko: niech się pani strzeże hr. Zdzisława.

— To samo powtarza mi dr. Derkacz.

— Niech się pani strzeże i dra Derkacza.

. . . .

XIX.

Główna nawa dużego kościoła pusta. Krótki dzień zimowy już na schyłku. Gdzieniegdzie płomyki gazowe znaczą się żółtemi plamami.

Co chwila ktoś wchodzi »na pacierz«, przy-

klęka lub siada w pustej ławce i, zamiast oderwać myśl od codziennych kłopotów, wnosi je tutaj ze sobą, o zażegnanie ich wzywa instancyę wyższą. Według pojęć ludzkich, istnieje ona tylko po to, aby uchronić człowieka od konsekwencyi jego własnych czynów — złych lub głupich. Bo człowiek z modlitwy uczynił skargę żebraczą, nie chcąc zrozumieć, że on sam jest zwykłym sprawcą tych trosk i nieszczęść, przeciw którym apeluje w świątyniach.

Trybunały do wznoszenia skarg na siebie samych jeszcze puste: rozpoczęła się zaledwie spowiedź wielkanocna. Jeden tylko ksiądz siedzi w konfesyonale. Przy kratce klęczy postać kobieca, smukła a skulona. W przegięciu głowy, w nachyleniu ramion i pleców, w spuszczeniu ręki, zwisającej na futrze, znać zgnębienie. Długi jest widocznie jej win różaniec. Inni już odeszli, kościół opustoszał, a ona jeszcze klęczy i słucha, i na spuszczoną głowę i barki przyjmuje brzemię odpowiedzialności za swe czyny.

Ciche pukanie o kratkę. Skulona postać wstaje, słaniając się, dochodzi do ławki, ukrywa twarz w dłoniach i tak siedzi długo. Nie słyszy ostrego brzęku kluczy.

— Zamykamy kościół — oznajmia, stając tuż przy niej, zakrystyan.

Ocknęła się, spojrzała na niego oczyma, zaćmionemi od wpatrywania się w głąb duszy.

— Przepraszam pana — szepce pokornie i cichym krokiem opuszcza świątynię.

Szła tutaj ze smutkiem, lecz z nadzieją, że stąd wychodzić będzie silniejsza; że tu jedynie znaleźć może obronę przed niebezpieczeństwy, osaczającemi wszystkie drogi i ścieżki, któremi jej wątłe stopy zmierzają ku bezkresowi istnienia.

Sądziła dotychczas: że zmaga się z losem. Teraz widzi, że to, co ją spotykało i spotyka — nie jest krzywdą, lecz wypadkową jej czynów.

...Obiecała poprawę — i chce dotrzymać słowa. Czy zdoła? Przedewszystkiem zapomnieć *o tem*. Nie myśleć...

To najtrudniejsze ze wszystkich zobowiązań, przy kratce powziętych.

Rzucała przez nią w ucho spowiednika swe myśli złe, trujące.

— Do tego już doszło — szeptała — że idąc ulicą, każdą spotkaną kobietę pytam w duszy: czy ona *już* doznała *tego*, co ja zaznać pragnę, czy ona ma życie *pełne*.

— W czem widzisz *pełnię*? — badał ksiądz.

— W spełnieniu przeznaczeń kobiety.

— Co przeznaczeniem kobiety nazywasz?

— Zostać żoną. I dlaczego ja, ja właśnie mieć tego nie mogę? Dlaczego ten, którego kochałam, ożenił się z inną? Czy taka jest sprawiedliwość Boska?

— Mów, jak było, mów wszystko.

W słowach, przerywanych łkaniami, opowiedziała smutne dzieje swej pierwszej miłości.

Gdy wreszcie umilkła, z po za kratki głos się odezwał, i rzekł:

— On kochał cię więcej, niż ty jego.

— Nie! nie!

— Tak. I więcej cię szanował, niż ty siebie samą. On się ciebie uląkł.

— Wiem, ja jestem bardzo zła.

— Ty jesteś dotychczas — żadna. Nie kochałaś go prawdziwie.

— Kochałam szalenie.

— Otóż to właśnie. Dla ciebie miłość, to szał, to żądza upojeń.

- A czemże jest?

— Zapomnieniem o sobie.

— W katechiźmie.

— Nie, w życiu. Mało, mało miłości na świecie, nie tylko między chrześcijanami w ogólności, ale i między kobietą i mężczyzną. Jest bawienie się w miłość. I ty się chcesz bawić, a gdy los nie daje ci tego cacka, narzekasz. Rozpaliłaś sobie głowę marzeniem, zamknęłaś oczy na wszelką rzeczywistość, i wmawiasz w siebie, żeś nieszczęśliwa. Chcesz mieć ciągle święto. A szczęście, to nie kwiat zamorski, to nasz polny chaber, wyrastający na niwie, która daje chleb powszedni. Szczęście nie przychodzi do nas samo — trzeba je umieć szukać i znaleźć. Tyś nie potrafiła.

— Gdyby on się był ze mną ożenił...

— I wtedy nie byłabyś szczęśliwą. Żądałabyś ciągle słów tkliwych, pieszczot, a mężczyzn to nudzi. I ta *pełnia* szczęścia, którą w wyobraźni swej oblekłaś w jakieś nieistniejące uroki, i ta cię nie zadowolni.

— Ja nigdy jej nie zaznam.

— Choćbyś zaznała, boję się, że zepsujesz sobie życie, marząc o tem, co być mogło i goniąc za wrażeniem coraz nowem.

— Ksiądz dla mnie bardzo srogi — szepnęła.

— Jestem, bo znam dusze podobne, i wiem, jak mało z nich pożytku, dla nich samych, dla ludzi, dla Boga.

— Ja chcę się z tej duszy wyleczyć. Niech mi ksiądz pomoże.

— Jest na to jeden środek — umiłowanie czegoś poza sobą. Teraz, pracujesz w oczekiwaniu... miłosnego próżniactwa. Spróbuj pokochać to, co robisz. Spróbuj. Przyrzekasz?...

— Postaram się...

. . . .

...Myśli o *takiej* miłości są nie tylko grzeszne, ale i niezdrowe... Są wynikiem chorobliwej fantazyi — spełnienie jej przyniosłoby zawód?

...Stłumienie jej porywów, to zbrodnia wobec własnego organizmu?

...Który z nich dwóch miał słuszność: lekarz duszy, czy lekarz ciała?

Pierwszego usłuchać nie mogła, drugiego nie chciała... jeszcze.

. . . .

XX.

Dola wbiegła do mieszkania cioci Józi niezwykle podniecona i od razu rzuciła się starej pannie na szyję.

— Cioteczka chce mi zrobić wielką przyjemność? Prawda?

— Jak możesz nawet pytać?

— A więc słowo.

— O ile będę mogła.

— Nic łatwiejszego. Na to trzeba tylko ubrać się w czarną jedwabną suknię — tę od parady — włożyć mantylę, a maski to już ja dostarczę.

— Jakiej maski? Co ci do głowy przychodzi?

— Bo ciocia nie wie: jutro ostatnia maskarada — z tombolą, a maskarady, to najweselsza zabawa na świecie — wszyscy mówią — nawet Jadzia.

— Ależ moje dziecko, jakże ja będę wyglądała na maskaradzie? A i tobie nie przystoi. Na maskaradach bywają tylko mężatki i aktorki.

— Wcale nie, ciotuchno. Może tak było dawniej, ale nie dziś.

— Wujenka nie zaprowadziłaby Amelki, za to ci ręczę.

— Amelka, co innego: bogatej pannie nic nie uchodzi.

— Ubogiej — jeszcze mniej. Nie, moja Dolu, to niema sensu.

— Czyż wszystko powinno mieć sens?... Pewna byłam, że kto, jak kto, ale cioteczka mi nie odmówi.

— Czemuż koniecznie — ja? I co ci przyszło do głowy mnie właśnie prosić, mnie?

— Któżby zechciał? Kto mnie tak kocha, jak ciocia!

— Oj! ty pochlebnico!

— Bo doprawdy... I myślałam, że mogę liczyć na ciotuchnę. A kto ze mną poszedł na Hamleta, jak dostałam bezpłatne bilety od pana Werpiszewskiego?

— Przyznasz, moja droga, że to zupełnie co innego.

— Nie, nie przyznam. Jutro przyjadę po ciocię o 11-ej wieczorem.

— Bój się Boga, tak późno! Ja już spać będę.

— Nie, nie. Będzie cioteczka na mnie czekać i pojedziemy karetą — inaczej nie można.

— Karetą! Wuj Zdzisław po ciebie przyszle?

— Nie. On wcale nie będzie wiedział. Nie powiemy nikomu, tylko pannom Daleckim: młodsza obiecała mi czarną suknię pożyczyć.

— Po co im mówiłaś? Będą z tego plotki.

— Ależ nigdy. Te panie są mi bardzo życzliwe.

— Nie, ja nie mogę ci pozwolić na takie głupstwo.

— Stanie się większe, jeżeli pojadę sama...

— Tybyś tego nigdy nie zrobiła.

— Zrobię — z pewnością zrobię. Mnie na tej maskaradzie zależy, jak na życiu.

— Czyś ty oszalała!

— Bo to widzi cioteczka ja się koniecznie chcę dowiedzieć...

— Czego?

— Ciocia powie, że dobrze wychowana panna tak nie robi...

— To już pewno zrobiłaś jakie głupstwo?

— Może.

— I ja mam do tego rękę przykładać!

— Zawsze jestem za szczera. Nie trzeba było nic mówić. Teraz...

— Dolu, dajże pokój... nie płacz. Ty wiesz, że ja dla ciebie...

— Tak myślałam, ale widzę...

— Uspokój się, dziecino. Rozumiesz przecie sama, że ja nie mogę... nie powinnam pomagać ci w jakichś... szaleństwach.

— Może to i szaleństwo. Ale ja jestem bardzo nieszczęśliwa i bardzo się chcę dowiedzieć, co *on* mi ma do zarzucenia.

— Jaki: *on?*

— Proszę nie pytać, moja ciotuchno. Za nicbym nie wymówiła jego nazwiska. Powiem tylko, że rozumny, szlachetny i dobry.

— To się już domyślam.

— Ciociu, ciociu, proszę nie mówić — szepce Dola, kładąc jej rękę na ustach.

— Chcesz iść na maskaradę — dla niego? Usta milczą, powieki zasłaniają to, co mogłyby powiedzieć siwe oczy. Ciocia Józia przestaje pytać.

— Dobry człowiek, istotnie — mówi, udając, że nie dostrzega zmieszania Doli. — Radziłam go się na mój kaszel. To nie doktor, to przyjaciel chorych. A wiesz, był tu u mnie trzy razy — z troskliwości. I mówiliśmy nawet o tobie. Pytał czy mnie często odwiedzasz — czyś zawsze smutna?

— A nic mi ciocia o tem nie powiedziała!

— Moje dziecko, tak mnie rwało kolano. — Zresztą nie przypuszczałam...

— Bo też niech ciocia nie przypuszcza... moja ciociu. Ja tylko chcę raz się dowiedzieć, dlaczego on jest do mnie uprzedzony... i taki dla mnie srogi, jak nikt. Ale on wogóle jest jak nikt, jak nikt, cioteczko...

— Daj ci Boże — szepce panna Jabłonowska tak cicho, że to westchnienie do uszu Doli nie dochodzi.

. . . .

— Zbiegli się, jakby żałobnicy i grabarze.

Czarne domina a przy każdym — biała obwódka krochmalnego gorsu. Snują się postacie ponure, depcą sobie wzajem po nogach, potrącają się ramionami, wytwarzają najgorsze gorąco: duszną atmosferę sali natłoczonej.

Na tle czerni — wesołość; mimo szeptów, gwar, a wśród tej cichej wrzawy, podobnej do szmeru skrzydeł szarańczy, łamią się okowy przyzwoitości salonowej.

Domino, kaptur, maska, to dla kobiety płaszcz gronostajowy i korona. Tylko bezimiennie może ona świadczyć swą łaskę monarszą, udzielać odznaczeń swym wybrańcom. Musi twarz ukryć, aby módz serce odsłonić.

Pod kolumnadą sal redutowych żywe filary, ustawione jakby do musztry, oczekują, by je zmobilizowała postać w czerni.

Co chwila na ciche wezwanie: »znam cię« jakiś frak łamie szeregi. Szlusuje go inny. Przytulone do siebie pary topią się w ciżbie, ich szept ginie w ogólnym gwarze tego rojowiska.

Niepodobna jednej postaci od drugiej rozró-

żnić, chyba po kwiatach, tworzących plamy jaskrawe na czerni kapturów.

A jednak przyjrzawszy się lepiej, nawet wśród zwojów domina, ukrywającego figurę, nawet pod maską, osłaniającą rysy, każda postać ma swoją cechę odrębną.

Ta — musi być brzydka: uwija się gorączkowo, pragnie wyzyskać rzadkie chwile życia, gdy może mieć powodzenie.

Tamta, przyzwyczajona do hołdów, zapomina, że jej nikt widzieć nie może. Głowę dumnie podnosi; nie idzie, nie płynie, lecz jakby kroczy tryumfalnie i zda się mówić to, co bez maski myśli: »Oto jestem, patrzcie na mnie, bo warto«.

Inna, przyszła na pierwszą schadzkę: boi się — męża, a bardziej jeszcze tego, któremu wyznaczyła owe spotkanie.

A ta – to już z pewnością po raz pierwszy w swem życiu włożyła maskę; myślała, że jej to animuszu doda. I zaraz od progu odurzył ją gwar i ścisk. Ogląda się dokoła, jak gdyby szukała ratunku lub ucieczki. Tłum ją porywa, niesie.

Smukła, strzelista, nawet domino oszpecić jej figury nie zdoła, a włosy ma widać niezwykłe, bo kaptur osłania główkę tak szczelnie, że ani jeden loczek niesforny zdradzić jej nie śmie.

Mogłyby ją zdradzić zapewne i usta, więc gęstą koronką oszyła maskę.

Ukrywać się tak zazdrośnie może tylko kobieta niepospolicie piękna, lub nadzwyczaj brzydka. Owa maseczka ładną być musi: osłonięta skutecznie brzydota czyniłaby ją śmielszą, a ona skrada się, jakby nie chciała zwrócić na siebie uwagi. Kogoś szuka. Tego zapewne, kto ma ją poznać po róży ponsowej, wpiętej nad lewą skronią.

Że to młoda dziewczyna poznać można po nachyleniu głowy, przyzwyczajonej słuchać uważnie, gdy mówią starsi; po chwiejności ruchów zdradzającej nawyk do oglądania się na drugich, do szukania opieki.

I tu nawet nie przyszła sama. Wspiera się na ramieniu jejmości, która się ubrała jak na imieniny do bogatych krewnych i jedwabną, staroświecką suknię zleżałą mantylą okryła.

Te dwie przytulone do siebie kobiety nie są tu na miejscu. Widzą to same. Uderza to innych.

— Skromna dziewico, czemuś nie zapomniała mamy w domu? — nagabuje ponsową różę jakiś pan szpakowaty, wyglądający na piwowara.

— Taka dziewica, jak ja Hotentot — wpada mu w słowo towarzysz, z wąsami długości niepomiernej, zapożyczonej od bokobrodów. — Wynajęła tę mamę za dwa złote groszy dwadzie-

ścia. Złóżmy się na pół rubla, a mama córeczkę podrzuci.

Dwaj panowie chcą wziąć między siebie ponsową różę. Towarzyszka jej nie puszcza. Obie przyśpieszają kroku. Tamuje ucieczkę wał, ruchomy wprawdzie, lecz zwarty szczelnie.

— Nie, to jednak panienka — upewnia się w swem przypuszczeniu pan z nosem piwowara. — Ot, i spłoszymy przepióreczkę.

— »A ja za nią, nieboraczek« — udaje dowcipnego pan z zapożyczonymi wąsami, wyglądający na urzędnika od akcyzy.

Nieśmiałe domino, ze strachu, opuszcza ramię towarzyszki. W tejże chwili tłum je rozdziela.

— Ot, złapałeś przepióreczkę — śmieje się pan z kwalifikacyami na piwowara, z pana, mogącego być urzędnikiem od akcyzy.

— W cóżby się też pani dobrodziejka zabawiła? — pyta jowialnie przerażonej dąmy w mantyli.

Okazałe domimo — może jaka restauratorka — kładzie mu rękę na ramieniu.

Odchodzą, zadowoleni widocznie.

Przedtem już zniknął pan z ogromnymi wąsami.

Dama, ubrana jak na imieniny bogatej kuzynki, zostaje w tłumie sama. Wylękniona coraz bardziej, ogląda się, szuka swej towarzyszki

oczyma; dostrzedz jej nie może, robi znak krzyża pod mantylą; usta jej poruszają się szybko: może próbuje niezawodnego sposobu na odszukanie zguby.

Co chwila, w przelocie, rzuca jej ktoś słowo szydercze:

— I paniusia także! A skąd: ze Starego czy z Nowego Miasta? — zaczepia ją podtatusiały jegomość, pewnie sam z tej dzielnicy.

— Pani nam właśnie tutaj brakło! — woła, przechodząc łysy młokos.

— Pozwoli pani na kolacyę — żartuje z niej drugi.

— Znam cię, piękna maseczko: chodzisz na roraty! — mówi trzeci, zaglądając jej w oczy.

Widok zafrasowanej, skulonej kobieciny budzi płaskie koncepty.

A pod nią uginają się stare nogi. Sala wiruje przed jej osłoniętemi maską, wypłakanemi zapewne oczyma.

Byle nie zemdleć, bo roztratują...

...Dzięki ci, Boże, poskutkowała inwokacya do patrona zgub wszelkich.

— Panie konsyliarzu — szepce dama w mantyli, chudą ręką z palcami wykrzywionemi od artretyzmu, ciągnąc za rękaw dra Derkacza. — A toż chyba święty Antoni albo sam Pan Jezus pana tu zesłał! Czy pan nie widział Doli?

— Panna Adela tutaj?

— Perswadowałam, prosiłam! Na nic. I mnie zaciągnęła.

— Przyznaję, nie spodziewałem się zobaczyć pani tutaj. A gdzież panna Adela?

— Szłyśmy pod rękę. Wtem, patrzę, już jej niema.

— Uciekła!

— Broń Boże! Wykradli ją... Panie szanowny, może ją pan poszuka. Ma ponsową różę w głowie.

— Ja ją pozmam i bez róży. Niech pani tu siada i czeka.

. . . .

Dola, znalazłszy się sama, w pierwszej chwili struchlała. Bojąc się krotochwilnych panów, nie śmiała się obejrzeć. Podniosła rękę, udając, że poprawia kaptur, zerwała z niego różę i rzuciła ją tłumowi pod nogi. Pewna, że już jej teraz prześladowcy nie poznają, zaczęła rozglądać się za panną Jabłonowską. Wiedziała, że ciotka musi być w rozpaczy; sama jednak czuła się swobodniejszą bez niej.

— Kogóż tak szukamy? — spytał ją, podsuwając się wytworny brunet z pięknie utrzymaną bródką.

Widziała go raz w teatrze, a potem na raucie u wujenki był jej przedstawiony i nawet z nią rozmawiał. Nie pamiętała jak się nazywa.

— Niech mnie pan poprowadzi w tę stronę — rzekła, opierając się na jego ramieniu. Wolała chodzić z człowiekiem dobrze wychowanym, salonowym, niż narazić się na nowe zaczepki ludzi brutalnych.

— Wyprowadzamy w pole męża? — zapytał.

...Gdyby wiedział, kogo ona szuka! Śmiałby się z pewnością. Zmiarkowała już, że, istotnie, maskarada nie jest miejscem odpowiedniem dla cioci Józi.

— Brzydki zazdrośnik? — domyślał się. — Uciekamy przed jednym — gonimy drugiego. Chcesz, powiem ci, jak jest i jak będzie. Przyszłaś tu z mężem. Wymknęłaś mu się przed chwilą. Ślady po sobie zatarłaś. Z ponsowej róży już miazga.

W obwódce z czarnego atłasu spojrzały na niego oczy zdziwione.

— A widzisz, zgadłem. Posłuchaj dalej. Mąż przesądny: nie pozwala mieć czarnej sukni w garderobie. Musiałaś pożyczyć spódnicę od panny służącej - koronki od starej ciotki, a domino wynająć. Myślał, że będziesz w tem wyglądać jak czupiradełko, ale się omylił. — Ty wszystko ozdabiasz sobą: 52 centymetry w pasie. Jakbym widział. Ten zazdrośnik stary, albo niedołęga. Nie kochasz go. No, naturalnie. Mieszkacie na wsi, bo gdybyś była z Warszawy, znałbym cię, bodaj z widzenia.

— Pan mnie widział.

— Niepodobna.

— Z pewnością.

— Chcesz mnie wywieść w pole. I owszem. Ja to lubię. Powiedz mi co jeszcze, choćby nieprawdę. Milczysz... Jakże z tym kuzynkiem?... Bo to kuzynek? Był pod ręką, a ty szukasz rozrywki... Przysiągłbym, że młokos, niedoświadczony. Jeden za stary, drugi za młody — a ja pośrodku. Odemnie nauczyłabyś się dużo. Umiem kochać z całych sił — a sił mi zawsze starczy.

...Chcesz uciekać? Chwilkę jeszcze. Odgadłem, jak było; teraz powróżę, jak będzie. Ten kuzynek — ma być — bo jeszcze nie jest — pierwszym. Po nim przyjdzie wielu innych... Ja chciałbym być przed nimi, bo lubię nowalie.

...Znowu uciekasz. Szkoda. Większa dla ciebie, niż dla mnie. No, nie udawaj — zostaniesz. Pobawimy się wybornie...

A to co? Znasz hr. Orlickiego? Drgnęłaś. On robi jeszcze wrażenie?... Nie wiele ci trzeba — a może... dużo pieniędzy... Toć i ja... z przyjemnością.

...*Je fais fause route* — przepraszam... Niema się za co obrażać! *Quelle mesquinerie!* Obrażają się tylko akuszerki, a ty jesteś damą — *on le voit*...

...Nowy dreszcz... Ależ ty masz febrę, maseczko, trzeba się rozgrzać szampanem...

Z duszy Doli ustępuje nagle trwoga.

Dr. Żelwietr!

— Niech mi pan poda rękę — prosi go głosem przyciszonym.

— To *ten* — rzuca jej w ucho brunet. — *Pas si jeune, que ça...* Musi być nudny. *Vous filez?* — dodaje głośno. — Nie zatrzymuję nigdy kobiet. Wracają same... Do widzenia, za godzinę pod trzecim filarem. *Vous eu aurez assez dans une heure. N'est-ce pas?*

— To ja! — szepce Dola i wspinając się na palce wymienia swe imię i nazwisko.

— Poznałem panią od pierwszego słowa — odpowiada jej dr. Żelwietr.

— Czy pan cioci Józi nie widział? — czuje, że jego o to pytać można. — Biedaczka musi być w rozpaczy. Tłum nas oddzielił.

— Chodźmy poszukać. I ją łatwo poznać pod maską...

— Pan zawsze dobry, nawet na maskaradzie. Nie taki jak inni.

— Bardzo pani dokuczali?

— Strasznie! W życiu mojem nie słyszałam takich okropności.

— Po to się przecież idzie na maskaradę.

— Ja poszłam, żeby się zabawić, żeby doznać dużo wrażeń.

— Cel osiągnięty!

— Szłam tutaj z szaloną radością. Że też nigdy nie jest tak, jak się spodziewamy!

— Rad jestem, że tutaj było gorzej, niż pani sądziła.

— Dlaczego?

— Bo to panią może odstraszy od szukania silnych wrażeń. Bywają zawsze niebezpieczne. Cóż pani mówił hr. Korewicki?

— Czy pan wie: on mnie wziął za mężatkę.

— Bawiło to panią?

— Z początku — tak.

— A potem?

— Trzy razy chciałam od niego uciekać: bałam się zostać sama.

— Czy pani się odzywała?

— Myślałam, że to człowiek dobrze wychowany.

— A tymczasem?

— Musi być bardzo zły i zepsuty...

— Nie oszczędzał pani uszu. Nikt nie jest do tego obowiązany na maskaradzie.

— Jednak pan mówi do mnie, jak gdybym była bez maski... A ja się panu teraz przyznam... chciałam właśnie intrygować — pana...

— Czy to — pani pisała wczoraj, wyznaczając mi miejsce pod trzecim filarem?

— Ja.

— Skąd pani wie o obyczajach maskaradowych?

— Od kuzynki. Czy pan stał pod filarem?

— Nie.

— Czy pan się domyślił, że to ja pisałam?

— Tak.

— A dlaczego pan nie stał?

— Wolę nie odpowiedzieć.

— Czy to coś dla mnie przykrego?

Milczał.

— To dziwne — szepnęła — pan jest dobry, a jednak surowy. Pan się bawić nie lubi?

— Nie ze wszystkimi.

— A ze mną?

— Wolałbym, żeby się pani bawiła inaczej.

— Ja tu się wcale nie bawię. Bardzo mi smutno — nawet teraz, choć rozmawiam z panem, i choć się już nie boję.

— Pani przecież lubi strach?

— Prawda! Ale skąd pan wie o tem?

— Wszak pani przyszła na maskaradę.

— Pan mi to ma za złe?

— Bardzo.

— I nie zechce już pan ze mną rozmawiać bez maski?

— Nie będę miał, zapewne, sposobności.

— Pan wyjeżdża z Warszawy?

— Nie, ale się już nie spotkamy.

— A jeżeli się spotkamy?

— Będę się kłaniał zdaleka.

— I już na zawsze stracił pan o mnie dobre mniemanie?

— Zupełnie dobrego nie miałem nigdy. W pani jest tyle sprzeczności!

— Tak, to prawda.

— Pani jest podniecona nerwowo.

— O, tak, tak! Pan nie wie — tak mi jakoś smutno, ciężko...

— A niema już na to innej rady, jak szukanie maskaradowych przygód?

— To niech mi pan co przepisze – ja wszystko zrobię, byle mi było na świecie lepiej...

— Weselej? Na to *ja* nie mam lekarstwa...

— A pan właśnie mógłby mieć wpływ na mnie...

— Po to mnie pani listem wezwała?

— Pan mi tego listu nie może darować.

— Więc cóż mi pani chciała powiedzieć? Słucham.

— Gdybym była najśmielsza, oniemiałabym na takie wezwanie.

— Na śmiałości pani nie zbywa.

— Prawda. Miewam takie wybuchy!

— Wszystko w pani jest wybuchem.

— Czy pan wie, że na wsi nazywali mnie: *Płomyk*.

— Jabym panią nazwał: Błędnym ognikiem — to są blaski ułudne.

— Tak, bardzo źle zrobiłam, że przyszłam na maskaradę i że pisałam do pana. Wszystko to prawda, ale nie ma we mnie ułudy, ani obłudy. Jestem szczera — we wszystkiem.

— Czy pani chciała istotnie o coś mi się poradzić?

— Tak, nieraz myślałam, że pan jeden mógłby mi pomódz do zrozumienia życia, ludzi.

— Gdybym stał pod filarem, byłaby pani podeszła?

— Od razu.

— Miała być ponsowa róża. A jednak jej niema.

— Zerwałam ją ze strachu przed innymi... Ale niech mi pan powie — dlaczego pan nie stał pod filarem?

— Dziś pani tego nie powiem...

— A innym razem ukłoni mi się pan zdaleka...

. . . .

— Przepraszam kolegę, wszak kolega towarzyszy pannie Żalińskiej? — pyta głosem przyciszonym dr. Derkacz. — To nie ciekawość — dodaje, widząc na twarzy dra Żelwietra chłodne zdziwienie — wysłany jestem przez jej ciotkę.

— Ciocia! Mój Boże! A ja o niej zapomniałam... Gdzie ciocia?

— Pozwoli się pani zaprowadzić?

Dr. Żelwietr już jej ramię wypuścił.

Rączka Doli wysuwa się nieśmiało i ściska jego dłoń.

— Czy pani wie — mówi odchodząc z Dolą dr. Derkacz — że kolega miał prawo z podanej rączki zdjąć rękawiczkę i wycałować każdy paluszek — ale on o takie prawa nie dba. Myśli tylko o robieniu pieniędzy.

— ...Żeby oczyścić majątek rodzinny.

— Braknie mu jeszcze do tego ze stu tysięcy. Mówią, że pokryje to posag baronówny Derp.

— Nie słyszałam... Ale gdzież ciocia?

— Siedziała na tej ławce. Znudziło jej się widocznie.

— Mój Boże, cóż ja teraz zrobię?...

— Zapomni pani o cioci, jak przed chwilą, wśród rozmowy z drem Żelwietrem.

— Już z nikim rozmawiać nie chcę.

— W takim razie odwiozę panią do domu.

— Za nic nie zostawię cioci samej. Ona umiera z niepokoju.

— Bo też to był pomysł!

— Niech mi już pan nie dokucza. I tak jestem zmartwiona i oddałabym pół życia, żeby się to mogło odstać.

— Tak się pani ubawiła z tym nudziarzem!

— Szukajmy cioci.

— Ręczę, że już odjechała.

— Co to, to nie.

— Więc pani chce, żebyśmy się błąkali po salach. Taką malutką ciocię nie łatwo wyszukać.

— Ja tutaj usiądę, bo już sił nie mam. A pan może się jeszcze rozejrzy. Dobrze?

— A jak tu przyjdę, nie zastanę znowu pani. Będzie wciąż: wilk, koza i kapusta. Nie, ja się na to nie piszę. I mnie już nogi bolą — mam starsze od pani. Proszę nie kaprysić i wracać. Mój powóz czeka na dole. Odwiozę panią. Potem wrócę tutaj, szukać cioci.

— Nie, ja cioci nie opuszczę. Jeżeli pan nie chce mi pomódz, odszukam sama dra Żelwietra i poproszę go...

Dr. Derkacz był zniecierpliwiony widocznie.

— Niech pani tu chwilkę posiedzi, ale proszę mi dać słowo, że pani się nie ruszy i z nikim mówić nie będzie.

— Słowo.

Odszedł. Wrócił niebawem, prowadząc pannę Jabłonowską.

— No, rzucajcie się panie sobie w objęcia — rzekł z irytacyą tłumioną — ja już na to patrzeć nie będę. Gotówbym się jeszcze rozpłakać. Do widzenia.

— Jaki ten doktór poczciwy! Gdyby nie on, zginęłabym w tem piekle.

— Czemuż ciocia nie siedziała na miejscu?

— Jakto! Ani się ruszyłam z ławeczki w tamtej sali.

— Tak! A doktór mówił, że ciocię zostawił tutaj.

— Widocznie zapomniał. Co to dziwnego! Ktoby tu głowy nie stracił!

. . . .

XXI.

— Powiedz mi, Dolu, czy ty wiesz, co to *wyjść za mąż?* — spytała Dolę pewnego dnia Jadzia, gdy zostały sam na sam.

— Jesteś jeszcze za młoda, aby o tem myśleć — tłómaczyła jej Dola.

— Proszę cię, nie mów, jak gdybyś była mamą albo miss Elkins... Powiedz mi tylko jedno: czy *ty* to wiesz? Ale mów prawdę.

— Nie wiem.

— *Dutout? Dutout?*

— No, trochę się domyślam...

— Czego?

— O takich rzeczach się nie mówi.

— Zapewne, że z panami — nie, ani ze starszymi; ale ty ze mną.

— Właśnie dlatego, że jesteś o 4 lata młodszą odemnie...

— To mi racya! Przecież na starość nikt

o tem myśleć nie będzie. Ja już od dawna coś penetruję. Jeszcze latem, na wsi... bardzo lubiłam małego Wacia — wiesz Zaliwskiego z Zaleszczyk... No i kiedyś jego bona odeszła — a tymczasem Wacio — rozumiesz... Myślałam przedtem, że... że... niema takiej różnicy...

— Moja Jadziu, proszę cię przestań.

— Więc komuż mam powiedzieć? To mnie aż pali, świdruje w mózgu — muszę, muszę... Kiedyś znowu...

— Ja nie chcę o tem słyszeć!

— Tylko jedno mi powiedz — jak tobie się zdaje: czy między ludźmi a zwierzętami jest... podobieństwo?

— Cóż za nonsens?

— Wcale nie. Byłaś w Instytucie, uczyłaś się zoologii, anatomii i nic nie wiesz... A ja... chodziłam po podwórzu w Zaleszczykach i nauczyłam się więcej... Przypominam sobie, i u nas na wsi, widziałam nieraz, ale, jak się jest dzieckiem, to się widzi i nic... A teraz — tak jakoś na mnie przyszło i zaczęłam przemyśliwać o tem i owem... Jeszcze się nie klei... Mama przedemną zamyka wszystkie książki w żółtych okładkach, ale czasem położy na stole i zapomni... A mam takie szczęście, że zawsze otworzę w najciekawszem miejscu... Dowiedziałam się...

— Jadziu, ja nie chcę, nie chcę wiedzieć...

— Bardzo źle robisz... A ty właśnie powin-

nabyś już wiedzieć... z doświadczenia... byłabyś zdrowsza.

— Skąd *ty* to wiesz?

— Ba! Nie jestem ślepa i głucha... Mądrej głowie dość na słowie... Każą mi wychodzić z pokoju, kiedy chcą mówić o rzeczach nieprzyzwoitych — starsi okropnie to lubią... Nie podsłuchuję pode drzwiami — doprawdy nie... ale ze starszymi to tak: raz szepcą coś, co możnaby i głośno powiedzieć, a czasem, to im się coś takiego *wypsnie*, że... nie trzeba podpatrywać wróbli, ani indyków... Wiesz, kiedyś nawet *à propos* ciebie... Słyszałam, i nie przez drzwi — ale w salonie... Zapomnieli, że jestem, albo myśleli, że nie rozumiem... Hr. Korewicki mówił, że jesteś blada i taka *powojowata*. Pani Andrzejowa zaśmiała się i odpowiedziała, że potrzebujesz o coś się owinąć. A on na to: że bardzo chętnie byłby tym pręcikiem. Uderzyła go po ręku. I bardzo się śmieli... Potem on powiedział — doskonale każde słowo pamiętam: — »Niechże się owija — na prawo albo na lewo, bo zmarnieje. A szkoda! śliczna dziewczyna. Jakie brwi obiecujące! Powinna to zrobić, choćby dla własnego zdrowia — no i dla cudzej przyjemności«.

— Jadziu, co ty wygadujesz!

— Może myślisz, że nie wiem, co to znaczy! Czytałam o pannie de La Valière — wiem, że są kochanki królewskie... powiem ci nawet, za-

zdroszczę im okropnie — wolałabym zostać taką panią, co się owija na lewo około króla, jak żoną radcy Towarzystwa kredytowego, choćby był młody... Co prawda nie widziałam takich...

— Moja Jadziu, przykro mi, że...

— Ja ciebie kocham, a ty chcesz być nudna... Nie, nie, daj pokój. I pewna jestem, że tak samo jesteś ciekawa. Może jeszcze więcej ode mnie. A jak się dowiesz — z prawa, czy z lewa — to mi powiedz. Daj słowo.

. . . .

— Ładnie się spisuje ta wasza faworyta — mówiła panna Ewelina do szwagra — włóczą się za nią oficerowie, leczy się u dra Derkacza... A co opowiada o swoich chorobach! — uszy więdną!

— Skądże to wszystko siostra wie? — spytał Obrzutowicz z uśmiechem.

— Naturalnie, szwagier nie wierzy. Byle kto znajduje wiarę, tylko nie ja.

— E, bo nie lubię słuchać babskich plotek. Niech przez troje ust przejdzie, z igły zrobią widły.

— Wcale nie babskie plotki, i wiem z pierwszych ust: od tych pań, u których mieszkała... Już mieszkać nie będzie! Wymówiły jej pokój... Szwagier powie zapewne, że i to plotki... a one na własne oczy widziały... przypadkiem...

— Ten przypadek, to dziurka od klucza. Niech-no siostra przyzna.

— Co mam przyznawać. Naprzód nie ja widziałam, a powtóre, te panie są zanadto *noblive*, żeby podglądać... To przecież obywatelskie córki...

— Ma się rozumieć! Jakżeby mogło być inaczej? W Warszawie na każdym kamieniu stoi po dwie obywatelskie córki... Tylko czekać, kiedy i siostra...

— A może nie? Czy to fabrykant rękawiczek, nie obywatel miasta — może i lepszy od niejednego drukarza i wydawcy... Nie chce szwagier, to nie; nic nie powiem. — Ja bo nie lubię powtarzać...

— Co do tego, jestem spokojny. Siostra nie wytrzyma: jak nie inaczej, to przez sen wygada...

— Otóż właśnie, że nie. Wszystkim opowiem, a szwagier nie posłyszy — przynajmniej ode mnie — choć to wstyd, zgroza, żeby taką mieć w redakcyi... Te panie, po tem co widziały...

— Przypadkiem...

— Za żadne skarby trzymać jej u siebie nie chcą. Już mają nową lokatorkę — ja im nastręczyłam.

— Siostra, toby poszła na kolanach do Częstochowy, byle pannie Żalińskiej dokuczyć. Cała redakcya śmieje się z tego.

— A szwagier pozwala urągać sierocie, i nie ujmie się! Za moją pracę, za moje serce... Warto być uczciwą dziewczyną!... Lepiej taką... taką małpą, co wysiaduje na kolanach u starych hrabiów — za pieniądze. Taka ma dobrze!

— Moja siostro, jest też czego zazdrościć...

— Ja zazdroszczę — ja! Nie! tego jeszcze brakło.

. . . .

Panna Ewelina nie poczołgała się wprawdzie pieszo do Częstochowy, ale biegała do wszystkich znajomych w Warszawie, opowiadając, że panny Daleckie widziały... jak Dola z hr. Orlickim... jak potem chowała za gorset — grube pieniądze... Jak wracała z maskarady o świcie... i nie sama... A czy to wszystko? Porządna kobieta ubliżyłaby sobie, powtarzając, co *taka* wyprawia.

. . . .

XXII.

Jedyną radością Doli była dotychczas — nadzieja, a realnością jedyną — zawody, na wszystkich polach, któremi dążyć chciała ku szczęściu; czy to fruwając, jak motyl nad kwiatami, zdo-

biącymi łąki życia, czy jak ptak, podlatując do gałęzi, na której można uwić gniazdo.

I nie dość zawodów, łamiących skrzydła: wypełzają na jaw troski, kłopoty, zaciemniające widoki jutra.

Co dalej pocznie? Z czego żyć będzie? Z trzydziestu rubli? Po raz pierwszy zastanawiać się nad tem poczyna. Jak natrętny rój much, brzęczą jej w myśli, w uszach, słowa doktora Derkacza: o bezużyteczności pracy, o obowiązkach wobec własnego szczęścia, o poddawaniu się zdrowym instynktom, wrodzonym pragnieniom.

Jakież są jej instynkty i pragnienia?

Potrzeba kochania, i — teraz dopiero to w sobie dostrzega — potrzeba wygód, zbytku.

Dopóki przebywała w cudzych domach i korzystała z cudzego dobrobytu, mogła bujać w przestworach, snuć pajęczą nić marzeń i wspomnień; lecz oto schwyciły ją w swe tryby realności życiowe. Zrozumiała, że przykro odmawiać sobie nie tylko tego, co jest niezbędnem, ale i tego, co się niezbędnem wydaje, przez nawyk do zbytku.

Zrozumiała, czem jest ubóstwo, nie mogąc zrozumieć, czem jest oszczędność.

Pierścionek, wykupiony z lombardu, błyszczał już na jej palcu, lecz wskazał drogę do tej instytucyi innym zabytkom — a pieniędzy zawsze brakło.

Wciąż osłabiona lub zaziębiona, czwartą część

pensyi wydawała na przejazdy. Ze wstrętem wsiadała do brudnej dorożki, a w tej trzęsącej, brzydkiej budzie, mimo chęci, myślała o powozie, który miał dla niej w pogotowiu wuj Zdzisław.

Odpędzała te myśli. Wracały.

Dola była na stoku drogi pochyłej.

Zaczynała pojmować, że miłość nie zawsze bywa piękną i nie zawsze na wiosnę wykwita.

Przez dziwną ironię losu, o tem, czem jest miłość zupełna, poczynały ją objaśniać — nie uściski młodzieńcze, lecz słowa i spojrzenia starców; nie dreszcze rozkoszy, lecz obawy i wstręty.

Instynktem kobiecym, nie rozumiejąc jeszcze dlaczego, wzdrygała się przed dotknięciem trzęsących rąk wuja Zdzisława, który miał zawsze coś do poprawienia w jej ubraniu. Lubił opowiadać o najmodniejszych toaletach, a przytem na jej figurze pokazywał: jak to skrojone, jak leży.

— Cóż jesteś taka niedotykalska? — gromił ją, gdy się usuwała. — Przecież nie mogę ci tego inaczej objaśnić... Boisz się? No, czego? Powiedz.

Gdy tak pytał, przysuwając się do niej coraz bliżej, dzwoniło jej w uszach, ciemniało w oczach, nie śmiała jednak objawić wstrętu. Była tak wyćwiczona w grzeczności towarzyskiej, że uważałaby to za... niedelikatność.

Z początku, co kilka dni, a potem, codzień, zapraszał się do niej na herbatę. Przyjeżdżał, obładowany łakociami, których zwykle jeść nie chciała. Udawał, że tego nie widzi i zwoził coraz rzadsze specyały.

— Muszę w tobie wzbudzić bodaj łakomstwo, skoro już innych grzechów głównych nie potrafię — mówił z cynicznym uśmiechem. — A wierzaj mi — dodawał — człowiek o tyle wart, o ile grzechy główne uprawia. Przekonasz się o tem sama. Co prawda, wolałbym ja ciebie przekonać. *Mais cela viendra.*

Dola broniła się przeciw niemu, jak umiała. Nie zastawał jej w domu, lecz go to nie zrażało: zmieniał godziny odwiedzin. Jej opór podniecał go jeszcze bardziej. Przychodziło jej czasem na myśl prosić o radę dra Żelwietra, lecz wstydziła się mówić z nim o tem.

Uciekała do cioci Józi, która od paru tygodni zapadła ciężko na artretyzm. Ale wuj Zdzisław i tam ją odszukać potrafił.

Warszawa, takie duże miasto — myślała nieraz Dola — a niema w niej bezpiecznego schronienia..

Pewnego wieczoru, gdy już służąca słała jej do snu na szeslongu, zabrzęczał dzwonek. Po chwili do pokoju wszedł wuj Zdzisław, obładowany paczkami.

— Cóż to, u was już noc? — rzekł ze zdziwieniem. — Toż dziewiąta zaledwie.

— Jestem śpiąca — rzekła Dola chłodno.

— To się obudzisz. Panienka poda nam herbaty — zwrócił się do służącej.

Prośba »jaśnie pana«, który sypał rublami, została spełniona w mgnieniu oka.

Przy herbacie wuj był smutny, skarżył się na ból w prawem ręku, Dola musiała mu obierać pomarańcze. Brał z jej rąk ćwiartki, a za każdą — zatrzymywał paluszki.

— Takie dobre, kochane, trudzą się dla mnie — mówił, podnosząc je do ust.

...Nawet rączek całować nie wolno — skarżył się, gdy próbowała je oswobodzić. — Wszystkiego mi skąpisz. A ze mną źle. Zobaczysz, długo nie pociągnę. Będziesz potem miała wyrzuty sumienia, bo ty mnie do grobu wpędzasz — ty!

...Jesteś bardzo trudna do oswojenia, ale, gdy się ugłaskasz — klękajcie narody. — Widzisz, jestem cierpliwy — czekam, znoszę twoje fantazye. Wcześniej czy później przekonasz się, że tylko na mnie liczyć możesz... Przecież tak żyć, jak teraz, niepodobna. W swojej sferze bywać ci trudno — przekonałaś się sama: jesteś za ładna i dla kobiet i dla mężczyzn, każdy ci dokucza na swój sposób.

— Mogę zawiązać nowe znajomości, w innej sferze.

— Z »miastem«? Winszuję ci. Ten świat nie dla ciebie, ani ty dla niego... Coraz trudniej ci będzie wyjść za mąż... Więc co? Sama widzisz, że ja ci jeden pozostaję — zawsze wierny, bezinteresowny. Bo i czegóż ja pragnę? Czego się spodziewam? Od czasu do czasu dobrego spojrzenia, dobrego słowa, możności otaczania cię dostatkiem. Aż mi się serce kraje, gdy widzę, ile rzeczy ci braknie... Patrzeć nie mogę na twoje futro wiejskie, do pięt, z niemodnym kołnierzem!... Wyglądasz w nim, jak stara baba.

— To futro jest kosztowne. Moja koleżanka dziwiła się nawet, że mam takie.

— Twoja koleżanka chodzi zapewne w bielistkach i bywa na wieczorynkach u sklepikarzy — ale ty, co innego. Ty jesteś kosztowne cacko, dzieło sztuki, nie wolno ci oszpecać się. To tak jak gdyby ktoś misterną klingę toledańską wsuwał w ceratowy futerał... Jabym potrafił znaleźć dla ciebie oprawę. I cóż dziwnego, że taki blizki krewny, bezdzietny, chce ci dać to, do czego przywykłaś?

— Właśnie przywykłam: nie przyjmować nic od nikogo.

— Daruj mi, ale to jest zaściankowość. Wstyd nawet, żeby panna Żalińska miała taką parafiańską dumę. Gdybyś wiedziała, ile panien ubo-

gich przyjmuje nie tylko sukienki, ale mieszkanie i cały komfort od bogatych wujów.

— Być może. Ja nic nie przyjmę i bardzo wujaszka proszę, aby mi już o tem nigdy nie wspominał.

— Dobrze. Mieszkaj sobie u swoich kwoczek, jadaj sztufadę, to twoja rzecz. Ale nie wolno ci narażać swej reputacyi — bo to wspólna własność rodziny. Nie wolno ci poniewierać się po redakcyach — i to jeszcze z wrogiego nam obozu. Powiem ci szczerze — na to nie trzeba mieć taktu, a nawet godności. »Brzask« wymyśla nam od »przeżytków«, od »strupieszałych niedołęgów«, a ty tam tkwisz, Bóg wie po co i na co... dla marnych trzydziestu rubli.

— Te trzydzieści rubli, to cały mój byt.

— Przyznaj sama, że marny. Zresztą, moja droga, oni tam z ciebie niezadowoleni, chcą się ciebie pozbyć.

— Kto to wujaszkowi powiedział?

— Wiem z bardzo dobrego źródła. Możesz lada dzień dostać dymisyę.

— Toby było okropne.

— Będzie.

— Przecież redaktor w ostatnich czasach bardzo dla mnie uprzejmy, i tamci panowie także.

— Redaktor jest mydłek, a że tamci uprzejmi, wierzę. *On le serait à moins.* Dlatego właśnie

dalsze twoje przebywanie wśród nich jest niemożliwe. Już ludzie mówią o tem na mieście. Szarpią twą opinię!... I wujenka znajduje, że dość już tej »pracy literackiej«. Dziś, jutro, skończyć się to musi. A wtedy co?

W oczach Doli odbiło się przerażenie. Spuściła powieki, aby się oczami nie zdradzić.

— No, co wtedy zrobisz? — pytał.

— Wyjadę znowu na wieś, zostanę nauczycielką.

— I tak od domu do domu i do siwego włosa. Winszuję!

Było to tak wiernem echem jej obaw i przeczuć, że powstrzymywane łzy wybuchły.

Wuj Zdzisław przysunął się z krzesłem do jej krzesła i głaskał ją po ramieniu, po kolanach.

Ukryła twarz w dłoniach i płakała cicho, z głową spuszczoną.

Ruchem niespodziewanym, chwycił ją wpół i grubemi, wilgotnemi wargami przywarł do jej szyi, za uchem.

Zerwała się.

W tejże chwili w pokoju sąsiednim rozległ się łoskot...

Obejrzeli się.

Poza szafą, odgradzającą salonik Doli od pokoju pań Daleckich, drzwi, zamknięte niby na klucz, były uchylone.

— Ktoś nas podpatrywał i upadł na ziemię — szepnął hr. Zdzisław. — Nie zapomnij, że ciotka prosiła cię jutro na obiad — dodał głośno. — A teraz dobranoc. Te panie za drzwiami chcą pewnie spać. Nie trzeba im przeszkadzać. Ale i tobie tutaj niewygodnie... Będziesz musiała się wyprowadzić. *Bonne nuit. A demain.*

. . . .

XXIII.

— Nie rozumiem doprawdy takiego lekceważenia! Mój artykuł dotychczas nie wyszedł. Obiecałeś go pan umieścić za dwa tygodnie. Od sześciu tygodni, co wieczór biorę »Brzask« z emocyą — no, i nic.

— Jakto nic? panie hrabio? — oburza się Van Niecki — materyału tyle, że szpalty rozsadza.

— Przelewanie z pustego w próżne. Mam już tego dosyć.

— Artykuł pana hrabiego utknął nie z mojej winy. Ja z tego zrobię kwestyę gabinetową: mam redagować pismo, to umieszczam, co *mnie* się podoba, a nie — to żegnam.

— No, nareszcie, obudziła się w panu energia. Bo już śmieli się, że jesteś malowanym redaktorem — *homme de paille* tych radykałów.

— Ja im pokażę!

— Mój panie, pokaż jaknajprędzej. Trzeba się cenić... Gdzież moja siostrzenica? — pyta hr. Zdzisław, przechodząc od razu w inny ton.

— Panna Dola już wyszła. Nie miałem dzisiaj czasu nią się zająć.

— Czy pan spostrzegł, że ona jakoś niedomaga.

— Zauważyłem. Istotnie przybladła.

— Tak, anemia, w wysokim stopniu. Zalecono jej ciepły klimat. Dobrze się składa: moja żona wyjeżdża właśnie na Rivierę. Pojadą razem na dwa miesiące. A po powrocie... Będę z panem szczery, jak... równy z równym: ani moja żona ani ja, ani baronostwo Derp, słowem cała rodzina nie życzy sobie, aby Dola pracowała wśród mężczyzn — przeważnie źle wychowanych. Za młoda, za ładna. Komentarze, plotki.

— Istotnie, panie hrabio.

— I wam będzie lepiej, swobodniej.

— Zawsze to sobie myślałem. Ale co na to powie radca Olbięcki?

— To daleki krewny. My mamy większe prawa.

— Ale radca powziął pewne zobowiązania wobec »Brzasku«...

— Wiem, wiem, nic nie stracicie. Ja go obrobię. *C'est un vieux ramolli.* Można mu wszystko

wmówić. A choćbyście stracili jedno ogłoszenie, dostaniecie inne. Zresztą w każdym razie zyskacie, pozbywając się nieużytku. Niby ja nie wiem. Dola nic nie potrafi. Zapychacie nią różne dziury. Pan wyszukujesz dla niej to to, to owo. Wszystko na nic.

— Muszę przyznać, że dziwnie — naiwna.

— Powiedz pan — głupia. Nie żenuj się. Zresztą ona głupią nie jest — salonowo. Umie poprowadzić konwersacyę, umie znaleźć się w towarzystwie, bo jej tego uczono; ale skądże ma umieć pracować? W naszej rodzinie nikt nigdy... Ona pierwsza. Ale dość już tej zabawy w samodzielność... Mamy dla niej inne projekty — matrymonialne.

— Dobra partya?

— Wcale niezła... Zrób mi pan przyjemność i napisz do niej, że wam przykro, ale jej uzdolnienia okazały się niedostateczne... Coś w tym rodzaju... nie potrzebuję panu dyktować... Tylko pan z tym listem nie zwlekaj. Dziś... Ot zaraz — napisz i wypraw pan przez woźnego. Moja żona chce wyjechać pojutrze. Dola wahała się, niby ze względu na... obowiązki. A tak, będzie miała ręce rozwiązane.

— Ha! skoro pan hrabia sobie życzy.

— Ja pana o to bardzo proszę.

— Trzeba jeszcze sprawdzić, czy jej się co

należy. ...Panie Bodnar! »Conto« panny Żalińskiej! — huknął, otwierając drzwi.

Po chwili do gabinetu redakcyjnego wszedł stary Bodnar.

— Panna Żalińska winna jest kasie dwadzieścia dwa ruble.

— Jakim sposobem?

— Wzięła zaliczkę.

— Od kogo?

— Ode mnie.

— Na kwitek?

Bodnar głową skinął.

— A zawsze mówię: nie dawać bez asygnacyi — gromił go redaktor.

— Mniejsza o to — przerwał hr. Zdzisław — oddaję dług za moją siostrzenicę.

— Przepraszam, tu chodzi o zasadę — upierał się Van Niecki, który lubił uchodzić za niezłomnego.

Nie przeszkadzało mu to jednak brać zaliczeń na prosty kwitek, ile razy potrzebował pieniędzy — to jest często.

— Możesz pan odejść — rzekł do Bodnara z miną łaskawego chlebodawcy, a zwracając się do hr. Orlickiego, rzekł:

— Niełatwo utrzymać w rygorze tę hołotę. Już mi oni wszyscy stanęli kością w gardle.

— Nic mi pana nie żal. Poco było wychodzić z »Gleby« i wdawać się z tymi radykałami.

Co pan ma z nimi wspólnego? Toć chyba nie przekonania, bo pan jest *nasz*, z krwi i ducha. Musisz pan do nas wrócić.

— Ba! gdyby się dało!

— W tem już moja rzecz.

— Panie hrabio, byłbym nieskończenie wdzięczny, bo doprawdy, nie jestem tu na miejscu odpowiedniem.

— No, no, pogadamy jeszcze. Do widzenia, a polecam panu mój artykuł, i ten list do panny Żalińskiej.

. . . .

— Nic panu nie dam bez asygnacyi — oświadcza tegoż dnia Bodnar Płatonowi, który, jak zwykle, po ósmym każdego miesiąca, już chciał »wybrać naprzód«.

— Cóż to za nowe porządki! — oburza się Rusin.

— A bo redaktor nawymyślał mi, i to przy starym hrabiu.

— Jakim hrabiu?

— Tym, Orlickim. Był tu niedawno. Zapłacił za naszą panienkę, co była winna. Oberwało się mnie — za kwitki, ale i jej się pewnie oberwie... Przed chwilą poszedł do niej woźny z listem od pana redaktora — bardzo pilnym.

— Zapłacił, powiadasz pan?

— A tak, całe dwadzieścia dwa ruble. Na-

reszcie, przypomniała sobie o niej rodzina. Biedactwo, już nie będzie zastawiać pierścionków w lombardzie.

— Szkoda!

— Pan-bo zawsze przekora. Powiedzieć biało — to pan czarno, a czarno, to biało.

— Oj, będzie chyba czarno! No, i nie dostanę zaliczki?

— Idź pan po asygnacyę do redaktora.

— Idź pan do dyabła z taką radą.

— Tak to na świecie! — mruknął Bodnar. — Sto razy wygodzisz, łbem nie kiwną, a raz odmówisz, zbesztają.

. . . .

W godzinę potem, gdy pierwsza kolumna »Brzasku« była już na maszynie drukarskiej, do gabinetu redaktora wbiegł Płaton.

— Nie, tak być nie może! — wołał. — Widzę, że do odcinka wlazł artykuł tego starego idyoty. Co to znaczy?

— To znaczy, że idzie w dzisiejszym numerze.

— Cóż tak wrzeszczycie? — przerwał wchodząc Obrzutowicz.

— Idź pan do drukarni. Czeka tam pana niespodzianka — krzyknął, przyskakując do niego Płaton.

— Już to z temi niespodziankami!... Wolałbym...

— Bo to, widzisz pan, naszym czytelnikom brakło do szczęścia tylko wiadomości: co jest *high-life.*

— Toć na sesyi redakcyjnej postanowiliśmy odrzucić te brednie — zaperzył się Obrzutowicz.

— A ja postanowiłem ten artykuł umieścić.

— Jakiem prawem?

— Prawem kierownika pisma!

— Ładny kierownik i ładne pismo! — huknął Płaton.

— A ładne, bo zapaskudziłeś go pan swoją osobą — odkrzyknął Van Niecki.

— Chyba pan swoją.

— No, moi panowie, o to się przecież sprzeczać nie warto — wtrącił Obrzutowicz.

— Zapewne, bo dwóch zdań w tym względzie niema — wrzasnął Płaton.

— Moi drodzy, uspokójcie się — łagodził Obrzutowicz. — Posłuchajcie — zaczął, pragnąc przerwać tę wymianę poglądów sprzecznych. — Ja tu do was z wielką nowiną... »Braliście« się wszyscy na niewinność naszej panienki, nawet Płaton... a tymczasem...

— Na co ja się »brałem« albo nie »brałem«, tego pan nie wiesz, ale się dowiedz, że nigdy nie »brałem« się na pańską uczciwość... — pod-

chwycił Rusin, ciskając w niego iskrami oczu rozwścieczonych.

— Pan wie, czem to pachnie...— wołał Obrzutowicz.

— Nie prochem, z pewnością. A czem pan *mnie* pachniesz, o tem...

— A! Mam już dosyć tych pańskich głupich konceptów... Mam już dosyć całego pana!...

— Wybornie się składa — bo i ja mam dosyć tego kramiku z postępem. Handlujcie sobie dalej pieprzem, solą...

— Wielka szkoda, żeś pan owijał ten pieprz i sól w bibułę — rzucił mu redaktor.

— Jeszcze większa, że pan owijasz w bibułę to pieprz, to cukier naprzemian.

— Raz się to skończyć musi! — zawołał Van Niecki, chwytając Obrzutowicza za połę — ja albo on.

— Ależ pan, naturalnie, pan — jak raz do tej kompanijki.

Klasnąwszy ich temi słowy, jak policzkiem, Płaton rzucił drzwi za sobą.

— Wściekł się, jak Boga kocham, wściekł się — mówił, rozstawiając ręce Obrzutowicz — a wszystko przez tę dziewczynę... Nie pozwala na nią marnego słowa powiedzieć... byłby mnie chyba udusił... Bo to, mówią na mieście, że hrabia Orlicki... wynajął dla niej śliczny apartament na Erywańskiej...

— A-a-a! Wiesz pan, był tutaj, prosił, żeby jej dać dymisyę. Obiecał ogłoszenia.

— Dwie dobre nowiny! Szkoda tylko, że ten artykuł... Toć sam pan powiedz, po dobroci, co takiego, naprzykład, prenumeratora z Podwala obchodzi, jak się wymawia: *high-life?*

— Bo panu się zdaje, że wszyscy czytają dziennik od góry do dołu. Taki szewc z Podwala rzuci okiem — nie zrozumie, odwróci stronicę i poszuka cen na giełdzie albo wiadomości brukowych. Jest o co robić piekło! Przytem już za późno. Numer na maszynie.

— Ale, mój panie, wymawiam sobie, że to ostatni raz.

. . . .

Zaczęto szeptać, a potem mówić półgłosem w salonach, że hr. Zdzisław... »zaopiekował się« śliczną panienką.

— Wiecie, ta, z którą »porozumiewał się« w buduarze na nudnym raucie u baronowej Derp.

— No, no! jeszcze zuch!

— A ona udawała niewiniątko!

— Takie przecież najgorsze.

— Zapewne, ale ta »robiła« wybornie naiwną.

— A już, podobno, przedtem, na Ukrainie...

— Urządził dla niej apartamencik przy Erywańskiej — istną bonbonierkę... On ma gust!

— Dał dowód. Śliczna dziewczyna! Soczysta! - zachwycał się sportsman, hr. Korewicki.

— Stary niedługo pociągnie... »Sukcesya« zostanie... Ogłosimy konkurs...

Tak mówiono w klubie.

A w salonach, panny łamały sobie głowę, co takiego Dola mogła zrobić, że gdy o niej była mowa, zniżano głos, i mamy pokazywały oczami na córki, dając tem hasło do wymownego milczenia.

Tymczasem Dola, przy pomocy ciotki Józefy szukała »pokoju przy rodzinie«.

Legenda o bonbonierce przy ulicy Erywańskiej doszła niebawem do uszu baronowej Derp.

— Niecne plotki! — zawołała oburzona. — Znam przecie Dolę od dziecka.

— To żaden argument — zwracała jej słusznie uwagę prezesowa.

— W dzisiejszych czasach wszystko możliwe — przekonywała ją stara hrabina, która całem swem życiem dowiodła, że we wszelkich czasach wszystko jest możliwe.

Pannom nie było wolno wiedzieć, mogły jednak domyślać się.

— Nie jestem ciekawa, co zbroiła znowu Dola— rzekła pewnego dnia Amelka do matki — ale zdaje mi się, że takiej osoby nie powinno się przyjmować w domu, gdzie są panny na wydaniu. O mnie już nawet mniejsza — nikt prze-

cież nie dba o to, żeby mnie za mąż wydać — ale Dola psuje Jadzię. Na własne uszy słyszałam, jak mówiła, że doktór *zabronił* jej być panną. Czy mama słyszy?

— Słyszę, ale nie wiem, co *ty* w tem złego widzisz? To znaczy, że radził jej wyjść za mąż.

— Taka głupia nie jestem. Minęły te czasy...

— Mam nadzieję, moja Amelko, że nie minęły dla ciebie...

— Dla mnie jak dla mnie, ale dla Jadzi, to już z pewnością: dzięki tej maminej faworytce, na którą nie wolno nic powiedzieć... Mogę dać dowód, czem jest ta *Sainte Nitouche.* Wczoraj, niechcący, szukając ołówka w szufladce Jadzi, ot co znalazłam. Niech mama przeczyta. Piękne wiersze! Niedarmo panna Adela jest literatką:

Dziwna-bo ze mnie jest dziewczyna:
Ciągle się we mnie walka wszczyna
Lenistwa z uczuć gorącością
I namiętności — z bezkrwistością.

Lubię szalenie być kochaną,
Lubię wysypiać się co rano,
Lubię w kokardy stroić głowę
I suknie nosić purpurowe.

Lubię mieć wrażeń po sto na dzień
Pieścić się niemi bez uprzedzeń
I bez pruderyi świątobliwej
Te z nich wybierać które żywiej

Do wyobraźni przemawiają
Choć się z konwnansem nie zgadzają...

— Reszta oddarta. Przyzna mama jednak, że panna dobrze wychowana tego wszystkiego... lubić nie powinna.

— Rzeczywiście. Nigdybym nie przypuściła...

— Sądzę, że po przeczytaniu tych wierszy, już jej mama na próg domu nie puści... chyba, że mamie więcej chodzi o tę wstrętną kokietkę, niż o własne córki...

. . . .

Dola tego dnia, wyszedłszy wcześniej z redakcyi, wstąpiła do wujenki, aby pogadać z Jadzią. Ale Jadzia była właśnie na spacerze z Angielką. Baronowa Derp wyjechała po sprawunki. W domu pozostała tylko Amelka. Miała wieczorem być na balu, a w podobnych razach przez cały dzień leżała w łóżku, aby lepiej wyglądać, co bywało zwykle bezskuteczne.

Dola weszła do jej pokoju.

— Czy Jadzia prędko wróci? — spytała.

— Z Jadzią chcesz się widzieć! — krzyknęła Amelka, zrywając się na posłaniu. — Przepraszam, to się już skończyło. Mama czytała twoje piękne wiersze i kazała ci powiedzieć, że nie jesteś odpowiedniem towarzystwem dla Jadzi... Nie będziesz już mogła pokazywać swoich ponsowych

kokard naszym znajomym... Nikt porządny przyjmować cię nie będzie...

Słowa te padały na Dolę, jak kamienie, pochylały jej głowę, ramiona, przytłaczały do ziemi.

Nic nie odpowiedziała. Wyszła. Nawet łzy nie zakręciły jej się w oczach. Zdawało jej się, że to jej wcale nie obeszło, tylko bardzo zmęczyło. Nie mogła utrzymać się na nogach, a nie miała pieniędzy na dorożkę. Szła z głową spuszczoną, sponiewierana, przybita. Nie widziała przed sobą nikogo. Nie słyszała też poza sobą brzęku ostróg. Towarzyszyły jej od bramy domu wujostwa.

Na rogu Marszałkowskiej, przechodząc przez ulicę, potknęła się i byłaby upadła pod koła przejeżdżającego wozu, gdyby jej nie podchwyciło silne ramię.

— Pani iść nie może! Pani jest niedobrze.

Spojrzała mętnemi oczyma.

— Dojdę. Niedaleko — rzekła głosem ochrypłym.

— Żeby pani na mnie się oparła! Ale nie można. Lepiej krzyknę na *izwoszczyka.*

— Nie, panie, za nic. Jestem zdrowa. Pójdę pieszo.

— To choć pani pozwoli iść przy sobie.

Nie miała siły mu bronić — wszystko jej było obojętne. Szedł obok w milczeniu.

Na twarz jego padał cień od jej smutku i przygnębienia.

Odruchowo skręciła na Nowogrodzką. Turkot dorożek osłabł. Ulica była zaciszna.

— Pani! — zaczął nieśmiało.

Podniosła oczy, zdziwiona. Zapomniała zupełnie, że ktoś z nią idzie.

— Adelo Stanisławówno — zaczął znowu — pani ciężko. Ja nie pytam dlaczego... Ale chciałbym powiedzieć, że... ja zawsze ten sam... Może pani byłoby... lżej... ze mną.

Otrząsnęła się.

— Przepraszam... chciałem, żeby pani o tem wiedziała... Ja panią, jak swoją duszę... Pani bardzo nieszczęśliwa. Oj! *bolno!*

Popatrzyła na niego suchemi, roziskrzonemi oczyma. Wyciągnęła rękę.

— Dziękuję — powiedziała głosem nieswoim, twardym.

Weszła do bramy.

Stał jeszcze długo i patrzał, choć już minęła podwórko i zniknęła we drzwiach oficyny.

. . . .

Znaleźć się co prędzej w zacisznym pokoju, wyciągnąć się na szeslongu, wyprostować plecy, nogi, odpocząć! Nie czuła nic, oprócz wielkiego zmęczenia i bólu krzyża.

Starsza panna Dalecka otworzyła jej drzwi

i zaraz u progu podała list w kopercie, na której był wydrukowany adres redakcyi »Brzasku«. Dola wzięła kopertę do rąk, poznała na niej pismo redaktora. Nie zdziwiło jej to wcale. Miała w sobie wielką bezwrażliwość. Powoli, ostrożnie oddarła skrawek koperty, wyjęła list i czytała.

Szanowna Pani!

Sądzę, że treść tego listu nie będzie dla Pani niespodzianką. Od dawna już Pani spostrzegła, że żadne z zajęć redakcyjnych nie odpowiada rodzajowi Jej uzdolnień. Zresztą ani zdrowie, ani też wychowanie wykwintne nie pozwalają Pani pracować w warunkach, jakich, mimo najszczerszych chęci i usiłowań, ja dla Pani zmienić nie mogę. Piórem i żywem słowem oświadczałem się nieraz gorąco za zrównaniem kobiet z mężczyznami na polu pracy, ale to są ideały przyszłości, ziszczalne dopiero w następnem pokoleniu kobiecem. Pokolenie obecne, jeszcze do pracy zawodowej nie przysposobione, lepiej uczyni, idąc po drodze gładkiej, ubitej szlachetną tradycyą naszych prababek. Wiem, że taka droga otwiera się przed Panią. Wejdź na nią, drogie dziecię. Znajdziesz tam dla Twej subtelnej kobiecości pole właściwsze, niż na wyboistych wertepach, do których Twoje malutkie i delikatne stopki nie są stworzone. Życząc Pani na tych nowych

szlakach tyle szczęścia, ile tylko ziemia dać może, pozwalam sobie uścisnąć serdecznie Twą rączkę, nie do pióra stworzoną.

Stary, wierny druh i sługa

Hilary Van Niecki.

Dola miała jeszcze dość siły, aby wsunąć list z powrotem do koperty. Rzecz dziwna, te słowa nie były dla niej niespodzianką, choć przed chwilą nie spodziewała się ich wcale.

— Co teraz jeszcze przyjdzie? — myślała zupełnie obojętnie, jak widz na przedstawieniu, pełnem efektów, które powinnyby go wstrząsnąć, a pozostawiają obojętnym.

...Niesława — Bezdomność — Głód... No, tak, ma się rozumieć. Niema w tem nic dziwnego.

Nie dziwiły jej też aluzye do »drogi gładkiej, ubitej przez prababki«. Nie wiedziała wprawdzie, że taka właśnie droga przed nią się otwiera. Mogła raczej przypuścić, że brnie po »wyboistym wertepie«. Ale co to szkodzi?

— Byle módz wyciągnąć się na szeslongu, o resztę, mniejsza — myślała, i, robiąc sobie jakby na złość, znajdowała wciąż jakieś przeszkody do spełnienia tej chęci.

Zdejmowała powoli futro, czapkę, włożyła zarękawek do pudełka. Była dnia tego niezwykle porządna. Czuła w sobie miły spokój!

— To nic przykrego dostać złą wiadomość — dziwiła się.

Osłabienie chwytało ją coraz silniej, coraz mniej opierać mu się mogła. — Poddawanie się niemocy było miłem.

— Dobrze mi, zupełnie dobrze!... — pomyślała.

. . . .

Głuchy łoskot sprowadził z drugiego pokoju panny Daleckie.

— Tego jeszcze brakło! — zawołała starsza, widząc Dolę na podłodze.

Młodsza wybiegła do kuchni, w blaszanej kwarcie przyniosła wodę.

— Trzeba pchnąć Małgosię po doktora — zawyrokowała młodsza.

— Ale którego? — zastanowiła się starsza.

— Tego, co ją leczy.

— Nie wypada *nam* go sprowadzać. Toć akuszer.

Małgosia, nie czekając na decyzyę swoich pań, wybiegła, bez chustki na głowie, byle prędzej sprowadzić ratunek panience, a że parę razy odnosiła drowi Derkaczowi książki, więc biegła do niego.

W kilka minut potem już klęczał nad nieprzytomną jeszcze Dolą, której panny Daleckie nie miały siły podnieść z ziemi.

— Co to? Co się stało? — pytał.

— Różnie bywa — odpowiedziała mu starsza tajemniczo, wskazując oczami młodszej, aby wyszła z pokoju.

— Ale cóż wreszcie? — badał zniecierpliwiony.

— A no, wróciła trochę wcześniej, nawet obiadu nie jadła. Może ten list... Przysłali z redakcyi... do niczego się nie mieszam, nie wiem...

Panna Dalecka znała już dobrze treść epistoły Van Nieckiego.

Dola leżała z oczyma nawpół otwartemi, już nie zemdlona, lecz jeszcze nieprzytomna i odrętwiała.

Doktór podniósł ją i układał na szeslongu.

— Taki kłopot — biadała panna Dalecka — jutro rano miała się wyprowadzić. Przyjdzie nowy lokator. Gdzie go pomieścić?

Dr. Derkacz mierzył temperaturę. Była niższa od normalnej.

— Na ulicę jej przecież pani nie wyrzuci — odezwał się po chwili, odpowiadając na utyskiwanie starej panny.

— Toć ma krewnych — mruknęła.

— Ubogie panny krewnych nie mają, zwłaszcza w chorobie.

— Więc cóż będzie? My przecież nie możemy być stratne.

— Co będzie? Albo ja wiem?

Zamyślił się.

— Co będzie? A no, niech panie dadzą futro i jaki szal. Trzeba ją ciepło ubrać. Zawiozę do mojej lecznicy.

— Tak zaraz?

— Toć musi ustąpić miejsca nowemu lokatorowi. Kazałem tu po siebie przyjechać. Niech służąca zejdzie zobaczyć, czy już jest powóz.

— A rzeczy? — informowała się jeszcze panna Dalecka.

— Niech je panie spakują i każą wynieść na strych.

Dola zaczynała nie tylko słyszeć, ale i rozumieć co dokoła niej mówią...

— Nie, nie — szepnęła.

— Proszę je odesłać do mojej lecznicy.

— Nie chcę, nie pojadę! Ja do cioci Józi — mówiła głosem zaledwie zrozumiałym.

— A cóż to za kaprysy! — zgromił ją doktór.

— Mnie już lepiej, zaraz wstanę.

— No, niech pani spróbuje. Proszę!

Oparła się na jego ręku, chciała się dźwignąć. Sił jej zabrakło.

— A widzi pani! — mówił łagodnie.

— Pan mnie odwiezie do cioci Józi. Dobrze? — prosiła, podnosząc na niego oczy bezmiernie smutne.

— Dobrze, dobrze — uspakajał ją.

Przy pomocy Małgosi włożył na nią futro, sprowadził ją ze schodów i wsadził do czekającego już powozu.

Usłyszawszy turkot, starsza panna Dalecka odetchnęła swobodniej, a młodsza wyszła z ukrycia.

— No, Pan Bóg nam pomógł! — zawołała starsza z radością.

— A czy nie kazała mnie pożegnać? — pytała młodsza, widocznie wzruszona.

— Akurat! I mnie głową nie kiwnęła. Warto było tak żywić, dbać, jak o co dobrego, o te nicpotem.

— Ej, bo siostra przesadza. Ja tam w niej nic złego nie widziałam.

— Na czem się Tecia nie zna, o tem lepiej się nie odzywać.

— Ja przecież już nie jestem smarkata. I słyszałam także niejedno — ot, choćby wczoraj, jak Leosia szeptała z panną Eweliną, że »były i mdłości«. Niby ja nie wiem, co to znaczy.

— Patrzcie-no, jaka mądra! A nie łaska zabrać się do obszywania listwy? I proszę mi o głupstwach nie myśleć.

Sześćdziesięcioletnia panna Leontyna od lat trzydziestu z górą stała na straży niewinności 50-letniej dziś panny Tekli. Mimo to, po dwa razy na tydzień, we czwartki i niedziele, w obecności młodszej siostry przy pomocy kilku dobra-

nych przyjaciółek, gorszyła się wszystkimi skandalami, które się działy na mieście.

Obok strzeżenia cnoty siostry, było to jej najmilsze zajęcie.

. . . .

Doli zrobiło się znowu słabo w powozie. Dr. Derkacz wziął ją za rękę i puls badał.

— Pan mnie odwozi do ciotki Józefy? — spytała.

— Odwożę, gdzie trzeba.

— Ale nie do lecznicy? Prawda? Ja nie chcę... Mnie ciocia przyjmie.

— Pani Jabłonowska nie może pani doglądać, bo sama ledwie się trzyma na nogach.

— Jutro będę zdrowa.

— Zobaczymy.

— Panie, ja *muszę* być zdrowa!

— Zdaje mi się, że pani będzie *musiała* chorować.

— A długo?

— Z kilka tygodni, conajmniej.

— Ja chorować nie mogę — w żaden sposób.

I przy tych słowach błogie uczucie obojętności opuściło ją nagle. Rozpłakała się.

— Cicho, dziecino, cicho — uspakajał, podtrzymując ją ramieniem. — To przyjść musiało. Organizm wyczerpany do dna. Ktoś panią znowu skrzywdził. Prawda?

— Tak.

— Hr. Zdzisław?

— Nie on, nie!

— Jeszcze nie?

— On najlepszy z całej rodziny.

— Jeżeli tamci gorsi, winszuję...

Znowu oczy Doli mgłą zaszły. Ocknęła się w jasnym, obcym pokoju, na nieznanem łóżku. Dr. Derkacz siedział przy niej.

— Dlaczego mnie pan nie odwiózł do cioci Józi? Tak pana prosiłam! — rzekła z wyrzutem.

— Pani potrzebuje ciągłej opieki lekarskiej. Z tego może wyniknąć poważna choroba — tłómaczył. — Panna Jabłonowska niema ani środków odpowiednich, ani mieszkania. Jakżeby się panie pomieściły w tych dwóch ciupkach! Zresztą ona sama leży w łóżku.

— Wcale chorą nie jestem — to chwilowe. Leczyć się nie chcę.

— Nikt panią pytać o to nie będzie.

— Panie, ja — nie mogę chorować.

— Wiem, chodzi pani o wydatek... Jeszcze nie bankrutuję. Poczekam na zapłatę.

Dola była zmęczona, i omdleniem i swoim oporem. Leżała chwilę z zamkniętemi oczyma.

Doktór myślał, że usnęła i chciał wyjść. Zatrzymał go cichy głos.

— Nie będę miała z czego oddać — szepnęła.

— I to mnie nie przeraża.

— Muszę panu powiedzieć: dostałam dymisyę. Teraz dopiero, wypowiedziawszy to głośno, zrozumiała, co ją spotkało. Z odrętwiałego serca wypełzał ból i żal. Zaczęła znowu płakać.

— Dobrze! Bardzo dobrze! — mówił dr. Derkacz, zbliżając się do łóżka. — Na to właśnie czekałem. Niech pani płacze. Niech się pani dobrze wypłacze, a potem pani uśnie.

— Boję się! — szeptała cichutko, jak w konfesyonale, gdy przyznajemy się do śmiertelnego grzechu.

— Będzie przy pani siedziała dozorczyni. I lampka będzie się palić.

— Dziękuję... Pan jednak dobry. Ja na świecie nie mam nikogo. Ciocia Józia chora, mama daleko, a inni...

Łzy popłynęły obficie.

Położył rękę na jej złotych włosach i głaskał je.

— Tak, tak — mówił — ludzie źli. Nad ubogą śliczną dziewczyną pastwi się każdy, i kobiety i mężczyźni.

— Ale ja jutro rano wstanę... Pójdę do biura, wezmę miejsce nauczycielki na wyjazd — daleko, jaknajdalej.

— Dobrze, dobrze — przytakiwał jej, jak dziecku.

. . . .

Hr. Zdzisław, upewniwszy się, że Van Niecki spełnił jego prośbę, nazajutrz, około dwunastej, zadzwonił u drzwi panien Daleckich. Nie pytając, wszedł do pokoju Doli. Służąca zastąpiła mu drogę.

— Panienki niema! — oznajmiła.

— Jakto? Już wyszła? — zadziwił się.

— Nie, wyjechała ze wszystkiem, i karetom.

— Co? Z kim? — pytał zaniepokojony.

— A przecie, z panem doktorem.

— Jakim?

— A tym Dyrkaczem.

— Dokąd?

— Ponoś do szpitala.

Zwabiona dzwonkiem i szeptem, wybiegła panna Leontyna.

— Ależ nie do szpitala, bynajmniej — wtrąciła. — Dr. Derkacz zabrał pannę Żalińską do swego domu zdrowia. Stało się to tak nagle!

Hr. Zdzisław nie słuchał dalszych objaśnień.

. . . .

— Pana doktora w tej chwili niema — oznajmiono hr. Orlickiemu w lecznicy.

— I w domu go niema. Byłem przed chwilą. Więc gdzież go szukać?

— Ma tu być o 3-ej.

— Niechże mu pan odda ten bilet i zapowie moją wizytę.

Hr. Zdzisław stawił się na czas oznaczony. Doktór przyjął go bardzo uprzejmie. Na zadawane sobie pytania co do stanu zdrowia Doli, odpowiedział, że jest to gorączka nerwowa.

— Sądzę, że nie zbyt groźna. Może pan zechce zaprowadzić mnie do panny Żalińskiej.

— Wstęp mężczyznom tutaj wzbroniony. Wyjątek stanowią tylko mężowie.

— O ile wiem, *żon* bywa tutaj mało: przeważnie — matki niezamężne. I właśnie, protestuję przeciwko umieszczeniu mojej siostrzenicy w przytułku dla... położnic.

— Pan hrabia jest źle poinformowany. Mój zakład jest »lecznicą dla kobiet«. Miewamy dużo panien, chorych nerwowo.

— Wiem, wiem. Ale właśnie — i ja, i moja żona, jako najbliżsi krewni panny Żalińskiej, nie życzymy sobie, aby ona przebywała wśród... tych »panien«.

— Pozwolę sobie nadmienić, że pannę Żalińską przywiozłem tutaj, bo nie miała gdzie się podziać.

— Powinien pan był ją zawieźć do nas.

— Daruje pan hrabia, ale nie mam obowiązku znać koligacyi moich pacyentek ani adresu ich wujów.

— To jedno wiem, że niema pan prawa zatrzymywać jej w swojej... lecznicy wbrew woli

rodziny. Zabieram pannę Żalińską. Opieka mojej żony będzie równie dobra, jak pańska.

— O tem nie wątpię, że pod opieką pana hrabiego nie brakłoby pannie Żalińskiej... starań troskliwych, pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę, że przewiezienie jej w gorączce przy 10 stopniach mrozu, może sprowadzić bardzo poważne, powiem nawet, groźne komplikacye.

— W takim razie wezwę konsilium.

— W moim zakładzie, mnie tylko służy to prawo.

— Dziwny to wogóle zakład. Nie rozumiem jego urządzeń. Będę musiał prosić o wyjaśnienie — adwokata.

— Pan hrabia mi grozi?

— Nie, tylko ostrzegam. Zresztą robienie awantur nie leży w mojem przyzwyczajeniu. A sądzę, że i pan, we własnym interesie, nie zechce doprowadzać do skandalu. Sprawa między nami powinna być załatwiona na cztery oczy. Więc korzystam z naszej rozmowy sam na sam, żeby panu powiedzieć, jak ja się na tę sytuacyę zapatruję: oto pan nadużył omdlenia mojej siostrzenicy, aby ją, poprostu wykraść i, co za tem idzie — skompromitować.

— Przywiozłem pannę Żalińską w biały dzień, otwarcie, bez podstępu. Mam na to świadków. Zresztą panna Żalińska wiedziała, gdzie jedzie.

— Pragnę ją o to sam zapytać.

— A pan hrabia pozwoli mi także zadać sobie jedno pytanie: gdzie pan chce odwieźć pannę Żalińską?

— Wszak już mówiłem, że do mego domu, i że ją oddam pod opiekę mojej żony.

— W takim razie, jak tylko stan chorej na to pozwoli, *sam* ją odwiozę do pani hrabiny.

— Nie darmo pan ma opinię lekarza niezwykle troskliwego o młode, niedoświadczone pacyentki. Czy pan każdą odwozi osobiście do rodziny?

— Każdą, która ma opiekunów tak gorliwych, jak pan hrabia.

— Zatem wszystkie po kolei, bo, jak mówią, niema tu ani jednej pacyentki — bez opiekuna.

— Na mieście mówią różne rzeczy. I ja słyszałem, że panna Żalińska ma opiekuna, który myśli nawet o mieszkaniu...

Rozmawiali spokojnie, cedząc słowa.

— Daruje pan hrabia, ale zbliża się godzina moich przyjęć — rzekł dr. Derkacz, spojrzawszy na zegarek.

— I ja się śpieszę na śniadanie. Może mnie pan zaprowadzi do chorej.

Ruchem ręki, przyzwyczajonej do gestów rozkazujących, drzwi wskazał.

W oczach dra Derkacza odbiło się wahanie — bardzo krótkie.

— Widzę, że pan hrabia jest uparty — rzekł — a na upór, i my lekarze, nie mamy lekarstwa.

— *A la bonne heure!*

— Ostrzegam jednak, że rozmowa nie może trwać dłużej nad pięć minut i że trzeba unikać wszystkiego, coby mogło przyczynić się do podniesienia temperatury.

— Możesz pan być spokojny! Idźmy!

Dola, ujrzawszy wuja Zdzisława, ani się ucieszyła ani zdziwiła. Noc przyniosła jej znowu obojętność, apatyczne osłabienie. Od samego rana chciała wstać, ale myśląc wciąż, że wstać trzeba, nie mogła się na to zdobyć. Odkładała z minuty na minutę, z godziny na godzinę. Nic jej nie bolało; czuła w sobie tylko bezwład ciała i ducha, zupełny zanik woli.

— Widzisz, Dudy — mówił już od progu hr. Zdzisław — źle się wychodzi, nie słuchając starszych. Mówiłem, tłómaczyłem, że te literackie wybryki nie mają sensu. Doigrałaś się. Zamiast, żebyś ty ich porzuciła, oni tobie dają odprawę. Wiem już, wiem. Ale nie warto dlatego chorować. Powiedz, cóż cię boli?

— Nic, wujaszku.

— Więc wstawaj i jedź ze mną — do nas. Ciotka cię bardzo prosi.

Dola spojrzała niedowierzająco.

— Możeby pani hrabina przyjechała sama — wtrącił dr. Derkacz. — Wolno paniom odwiedzać chore codzień od czwartej do piątej.

— T-a-ak? Tylko my, mężczyźni, musimy ko-

łatać po parę godzin o audyencyę. Wyobraź sobie, nasz kochany doktór, to Cerber. Położył się przy twoich drzwiach i nikogo nie puszcza... Oj, ci doktorzy! Zawsze muszą przesadzać. To ich fach. Pan Derkacz powiada, że jesteś bardzo chora. No, powiedz-że, jak się czujesz?

— Nic mnie nie boli. Za chwilkę wstanę. Mam do załatwienia interesy.

— Interesy? Patrzcie mi, taka poważna osoba!

— Panie hrabio, pięć minut już upłynęło.

Hr. Zdzisław nie stawił oporu.

— No, do widzenia — rzekł, wychodząc.

A za drzwiami wziął dra Derkacza pod rękę i idąc z nim, mówił konfidencyonalnie:

— Mój panie, mam nadzieję, że ją pan w łóżku przetrzyma. Widzę, że istotnie jest słaba. Nie można jej puszczać na miasto.

— Naturalnie.

— Ale panny bywają uparte, jak sobie co w głowę wbiją... Gotowa jeszcze uciec. Niechże ją pilnuje dozorczyni. Wszystkie koszta ja biorę na siebie...

Pożegnali się w najlepszej zgodzie.

Hr. Zdzisław, podczas wizyty w lecznicy, wniknął lepiej w sytuacyę i zrozumiał, że przebywanie tutaj Doli może mu przynieść korzyść... zadając szwank jej dobrej sławie. Chodziło mu jednak o to, aby szwank był pozorny. Pragnął

uchronić Dolę od dość wyraźnych zabiegów dra Derkacza.

Rękojmią w tym względzie była obowiązująca lekarza ostrożność. Wszak za nadużycie swej władzy mógł być pociągnięty do odpowiedzialnosci, bardzo ciężkiej.

. . . .

XXIV.

Nad głową Doli, jak szpady, krzyżowały się ostrza intryg i pożądliwości. Czuła, że wisi nad nią groza, i lęk sprowadzał gorączkę.

Doktór po parę razy na dzień badał ciepłotę, za pomocą termometru. Pewnego wieczora dotknął jej nogi. Szarpnęła nią z całych sił.

— Proszę leżeć spokojnie — upomniał. — Wstyd doprawdy: widzieć zło we wszystkiem. I co pani sobie wyobraża? To tak samo, jak auskultacya płuc...

. . . .

— Mój Boże, taka młodziutka! — Wierzyć się nie chce — woła, wchodząc do numeru Doli fertyczna pacyentka z przyległego pokoju. — Panią to chyba przywieźli po słabości. Nie słyszałam, żeby pani jęczała. Ja bo zawsze krzy-

czę w niebogłosy. Już drugi raz tu jestem. Jakże się pani czuje?

— Właściwie, nic mnie nie boli, tylko jestem osłabiona — odpowiada uprzejmie Dola.

— Tak zwykle bywa... potem. Mój Boże! Pani zupełnie *na to* nie wygląda. *On vous donnerait le bon Dieu sans conffession.* Bo to musi pani wiedzieć: jestem nie byle kto. Tak, tak, z dobrego domu. Miałam nie tylko matkę — co nie sztuka, ale nawet i ojca. Żyli ślubnie, a trzymali do mnie bony, guwernantki. Umiem, jak pani widzi, po francusku, trochę nawet i po angielsku. Ale żadna francuzczyzna *od tego* nie obroni. Człowiek głupi, młody, zakocha się, potem da się skrzywdzić, a z krzywdy — ot co! Pani przynajmniej dobrze trafiła. Stary, ale bogaty. Tacy najpewniejsi. Można z nich ciągnąć łyko. Widziałam przez szparę. Dystyngowany. Ja-bo przepadam za dystynkcyą. Podobno i hrabia. To także ma swoje znaczenie... A dziecko żyje? Na mamkach?... Cóż to? Co pani się stało?

Dola leżała śmiertelnie blada, ręce jej zaciskały się kurczowo. Powieki opadły.

Gadatliwa kumoszka, »starsza panna« z pierwszorzędnego magazynu, wabiąca się »Marotą«, pobiegła po intendentkę zakładu, panią Dzbańską.

Zaczęły cucić Dolę. Była przytomną, lecz nie miała siły dać znaku życia. Zresztą nie chciała.

Potoki wymowy Maroty były niewyczerpane.

— Moja pani, ładna, bo ładna, ale niemrawa — mówiła do pani Dzbańskiej. — Głupiutka, niby trzech zliczyć nie potrafi, a do czego innego, to ma rozum... Taki bogacz, i hrabia! Mój Boże! A jak to ślicznie mówi, jakby śpiewał... Będzie o niej pamiętał do końca życia... i po śmierci może. A cóż tam było: syn czy córka?

Usta Doli wykrzywiły się kurczowo.

— Niechże pani tak nie trajkocze nad głową chorej — upominała Marotę pani Dzbańska. — Pani, to nie może chwili wysiedzieć bez gadania. Po co tu było włazić? Pewno jej pani palnęła jakieś głupstwo, a teraz wszystko na mnie się skrupi.

— Co jej miałam palnąć, niby to ona sama nie wie. Takie niewiniątko!... W całej Warszawie o tem głośno... I rada jestem nawet, że ją poznałam. Będę miała o czem opowiadać w magazynie... A wie pani, podobno stary hrabia był firmantem... korzystali inni: jakiś oficer od huzarów, mówią nawet — ale to już pani powiem pod największym sekretem...

Sekret został wrzucony w ciekawe, zapewne, ucho pani Dzbańskiej.

— O! to ananas! — zadecydowała Marota.

— Nie nasza rzecz, moja pani — zwróciła jej uwagę pani Dzbańska.

Budującą rozmowę przerwało wejście doktora.

— Cóż pani tu robi? — rzekł od progu do »starszej panny«.

— Przyszłam ratować.

— Na to jest personal służbowy. Proszę wracać do swego numeru.

— Czy pani pierwszy rok tutaj? — zwrócił się gniewnie do intendentki. — Nie wie pani, że pacyentkom nie wolno składać sobie wizyt? Jeżeli to się raz jeszcze powtórzy, rozprawimy się ostro. A teraz proszę wyjść.

Dola słyszała, co dokoła niej mówią, lecz słowa odbijały się jakby fotograficznie w mózgu, pozostawiając tylko ślad pustych dźwięków; nie wywoływały żadnych myśli ani wrażeń.

— Dlaczego pani oczu nie otwiera? — pytał doktór, nachylając się nad nią. — Ja wiem, że pani nie jest zemdlona. Proszę na mnie spojrzeć.

Utkwiła wzrok w olejno malowanej ścianie i trzymała go na niej uporczywie. W uszach jedno tylko słowo: »łyko«, »łyko«, »łyko« — powtarzało się, jak cykanie zegara. Poza tem ani jednej myśli; tylko ten dźwięk pusty, utrwalony w mózgu przypadkowo. Odegnać go nie mogła.

Dr. Derkacz przesunął parę razy ręką po jej czole, następnie obu rękami wodził po jej twarzy — bardzo leciutko.

Słowo przestało brzęczeć w jej uszach. Popadła w ciężki bezwład.

Doktór usiadł przy niej i patrzał długo z wielkiem natężeniem wzroku. Wreszcie odchylił kołdrę, ostrożnie, dotknął nogi — jednej, drugiej, ręka jego posunęła się wyżej, na twarz wystąpiły ceglaste rumieńce, oczy zbladły.

Wstał, przeszedł się po pokoju na palcach. Usiadł znowu przy chorej — nie u stóp, lecz przy wezgłowiu.

Gorący oddech musnął Dolę. Otworzyła nagle oczy. Była już w nich myśl przytomna.

Doktór, wciąż nad nią nachylony, położył rękę na jej głowie.

— Ludzie bardzo źli — szepnęła takim głosem, jak gdyby prowadziła dalej rozmowę przerwaną.

— Gorsi nawet, niż nam się wydaje, gdy o nich myślimy, że są bardzo źli — przytwierdził — ale nic nie pomoże o tem myśleć.

Długą chwilę leżała w milczeniu z oczyma wpatrzonemi w ścianę. Rozważała widocznie jego ostatnie słowa, po chwili bowiem rzekła:

— Ja muszę myśleć, muszę coś obmyśleć, żeby ich przekonać, że to nieprawda.

— Nikt jeszcze nie przekonał takich, którzy chcą wierzyć w zło... A któż pani tę plotkę powtórzył?

Znowu milczała długo, wreszcie rzuciła mu pytanie, pełne urazy:

— Dlaczego mnie pan tu przywiózł?

— Nie *to* wywołało plotkę. Mogę panią upewnić, że już od dawna krąży. A przywiozłem panią tutaj dlatego właśnie, żeby to co mówią, pozostało i nadal — oszczerstwem.

— I pan o mnie tak myśli, pan, który mnie zna. Cóż inni?

— Myślę tak, bo znam i panią i... tamtego. Pani jest niewiniątko, a on rozpustnik i wuj... ma pewne przywileje...

Osłoniła uszy rękoma.

— Niech pan tak nie mówi! Niech pan tak nie mówi! — zawołała ze wstydem.

— Muszę mówić, żeby panią ostrzedz.

— Mnie ciągle ktoś przed kimś ostrzega. Nie, nie, dość już tego!

Urwała nagle. Obejrzała się po pokoju.

— Czy przynieśli już moje rzeczy? — spytała niespodziewanie.

— Są. Może pani stąd odjechać, choćby zaraz.

— Dlaczego nie przynieśli tutaj?

— Garderoba pacyentek składana bywa w szatni. Z numerów usunięte jest wszystko, co mogłoby zajmować miejsce niepotrzebnie i psuć powietrze.

— Ja muszę mieć moje rzeczy — zaraz — natychmiast. Niech pan każe przynieść. Już dzisiaj w nocy myślałam: gdyby pożar wybuchnął, nie mogłabym nawet uciec. Doprowadza mnie to do gorączki. Ja pana bardzo proszę! Niech mi

się pan nie sprzeciwia. Jestem taka biedna wszyscy się nademną pastwią!

— Chyba nie ja. A na dowód, zrobię, co tylko pani każe. Panią trzeba słuchać. Wiem.

Nacisnął dzwonek elektryczny.

Weszła posługaczka.

— Proszę tu zaraz przynieść kufer panny Żalińskiej.

— I futro i kapelusz i kalosze.

— Gdzie powiesić? — spytała służąca.

— Wnieście szafkę.

— No, chyba jestem dość posłuszny — rzekł po wyjściu posługaczki. — To się zupełnie sprzeciwia regulaminowi. Aż mi wstyd służby.

— Dziękuję panu serdecznie. Teraz będę spokojniejsza. Ale musi mi pan jeszcze dać słowo, że każdej chwili, jak tylko zechcę i kiedy zechcę, będę mogła wyjść stąd, że mnie nikt nie będzie śmiał zatrzymać. Niech pan da słowo.

Uśmiechnął się.

— Dobrze, mogę dać słowo — rzekł — toć przecież nie forteca ani więzienie.

Mówił to wesoło, z dobrodusznością, obliczoną na uspokojenie pacyentki. Znając ją zresztą, był pewien, że nie zdobędzie się na czyn tak energiczny.

— Pan to zapowie i intendentce i służbie?

— Zapowiem.

— Słowo?

— Słowo.

— I niech pan jeszcze zabroni wchodzić tutaj pani Dzbańskiej... Ja na nią teraz patrzeć nie mogę.

— Już jej pani nie zobaczy.

— Pan jest lepszy od innych.

— Zawsze to pani mówię. A chce pani na noc dozorczyni?

— Nikogo, nikogo. Chcę być samą zupełnie. Tylko niech się lampka pali.

— Dobrze. I ja odchodzę. Dobranoc.

. . . .

Łzy już nie zmyją brudu, błota, którem ludzie obryzgali — już nie tylko czyste imię, ale i czystą duszę Doli.

Nie ręka matki, ani pieszczoty ukochanego odsłoniły jej kotarę, za którą spodziewała się zobaczyć — szczęście. Zerwały ją ręce brutalne, obce, i nie przy wtórze słów miłosnych, lecz wśród zgrzytu potwarzy spostrzegła, co kotara osłania. Nie miała już w sobie ciekawości żadnej ani pragnienia pieszczot. Wydawały jej się wstrętne. Zgasł w niej płomień; zdmuchnął go powiew cuchnący.

A teraz co? Czem żyć, gdy się żyło tylko nadzieją *takiego* szczęścia, a to szczęście okazuje się brudną szmatą?

I przedtem było jej źle, ciężko wśród ludzi — teraz było jej źle z sobą.

Uciec przed ludźmi można. Ale przed sobą — jak? gdzie?

Chyba w bezpowrotną otchłań śmierci...

I to nie. — Śmierci się bała.

. . . .

XXV.

...Doktór dał jej się wypłakać... Gdy zajrzał do niej nazajutrz, popołudniu, miała już oczy suche.

Usiadł przy jej łóżku.

— Czy łzy przyniosły ulgę? — zapytał. — Pani płakała przez całą dobę.

— Czemu mnie pan podpatrywał? Ja tego nie chcę. Ja tego nie zniosę!

— Ze łzami, jak widzę, spłynęła słodycz wrodzona.

— Tak, będę teraz zła... okropnie.

— I ja tak przypuszczam.

— Dlaczego?

— Bo w organizmie pani zachodzą zmiany.

— Jakie?

— Doznaje pani takiego uczucia jak gdyby sztywniały ręce, nogi...

Przypominała sobie...

— Tak — rzekła po chwili.

— Dławi się pani jakąś kulą i przełknąć jej nie może?

— O, tak, tak. Co to znaczy?

— To się nazywa *globus histericus.*

— Histerya?

— Wszak pani pamięta: zapowiadałem ją pół roku temu. Już przyszły omdlenia kataleptyczne.

Dotknął jej nóg. Kiwał głową, pocierał czoło, unikał spojrzenia jej oczu wylęknionych.

— Pan mi wszystkiego nie mówi — rzekła z trwogą.

Milczał.

— Ja wolę wiedzieć, choćby to było bardzo złe. Na wszystko pana zaklinam.

Nie odzywał się, lecz na twarzy jego znać było niepokój.

— Wolę wszystko od tej strasznej niepewności! — zawołała. — Czemu pan dzisiaj taki tajemniczy? Pan musi mi powiedzieć, co mnie czeka.

Wahał się jeszcze chwilę.

— Mogą przyjść rzeczy jeszcze gorsze — oznajmił wreszcie.

— Co? Niechże pan mówi — na miłość Boską.

— Dojdzie pani do... nieprzytomności stałej.

— Do obłędu? Nie, to niepodobna. A może — już jestem nieprzytomna?

— Ależ nie, nie! Jeszcze daleko — i potrafimy temu zapobiedz.

— Można?

— Jest sposób, ale trzeba go zastosować zaraz.

— Jaki?

— ...Obieg krwi nieprawidłowy. Trzeba naturze pomódz.

— Niech pan mówi wyraźniej. Nie rozumiem.

— Rozumieć nie potrzeba. Dość mi zaufać. Nie będzie pani wiedziała... jak i co...

— Ja chcę wiedzieć, na co to potrzebne.

— To potrzebne — żeby zapobiedz podobnym wybuchom płaczu, jak dziś i wczoraj, napadom gniewu, jak przed chwilą — a uprzedzam, mogą się stać tak gwałtowne, że trzeba je będzie poskramiać — siłą. I pobyt w moim zakładzie stanie się dla pani niemożliwym.

— Pan mnie odda do domu obłąkanych? Panby to zrobił? Pan...

Przechyliła się ku niemu. Blada twarz nie powlokła się rumieńcem, ale rozpałała. Siwe oczy wydawały się czarne. Był w nich tracący już świadomość lęku — strach zwierza, osaczonego zewsząd, który nie widzi przed sobą ratunku.

Dr. Derkacz nie mógł wytrzymać spojrzenia tych oczu. Spuścił głowę.

— Ja przecież nie mówię, że to się stanie dziś, jutro — tłómaczył. — Ale to przyjść może, jeśli pani nie zechce usłuchać mojej rady.

— A jeżeli pan użyje tego lekarstwa?

— Dozna pani takiej ulgi, jak po rozpięciu za ciasnego stanika. Krew znajdzie ujście. Przestanie buszować. Uderzenia do głowy, odrętwienia ustaną.

— Nic nie rozumiem.

— Toć mi pani doradzać ani pomagać nie potrzebuje. Więc na co wiedzieć? Chodzi tylko o zaufanie zupełne — a chyba już na nie zasłużyłem.

— Jakie to będzie lekarstwo — pytała uporczywie.

— To będzie... operacya.

— Operacya?

— Właściwie operacyjka niebolesna, wypiszę pani świadectwo, że ją zrobiłem.

— A innego sposobu niema?

— Jest. Od początku zalecam go pani...

Słuchała bez zawstydzenia. Chciała zrozumieć. Nagle, wytężona uwaga załamała się pod wpływem jakiejś myśli?

— A gdybym wyszła za mąż, nie dostałabym obłędu? — spytała.

— Nie. Proponowany przezemnie środek, to surogat.

— Niech pan mówi słowami zrozumiałemi.

— To znaczy: środek zastępczy.

— Powinnam wyjść za mąż — dla zdrowia? Tak pan radzi?

— Tak, za mąż... albo...

Przysunął się z krzesłem do łóżka. Wziął ją za rękę. Wyrwała mu ją.

— Ja pani dzisiaj nie poznaję — rzekł oszołomiony.

— Mam dostać obłędu, co dziwnego, że jestem nie taka, jak dawniej.

— ...Jak wczoraj.

Zwróciła się do niego zniecierpliwiona.

— Ale niechże mi pan nareszcie powie, czy mąż *naprawdę* wyratuje mnie od tych wszystkich okropności?

— Toć pani za mąż wyjść nie może.

— Wyjdę.

— Cóż się nagle stało? Zawsze pani mówiła, że nikt... że niema nikogo...

— Jest... Jest ktoś, kto mnie chce...

— Niestety, chce panią zbyt wielu...

Rozumiała już, co znaczą słowa takie.

Poznał to z drgnięcia powiek, osłaniających oczy. Podniosła je nagle i patrząc na niego, mówiła powoli, dobitnie:

— Jest ktoś, kto chce się ze mną ożenić.

— Ożenić! — podchwycił zdziwiony.

— Tak! Na myśl mi nawet nie przyszło, że *tak* wyjść za mąż można. Ale teraz — byle nie dom obłąkanych.

— Któż to taki?

— Oficer.

— Jak się nazywa?

— Orłow.

— Taak? Partya odpowiednia... Na to właśnie ojciec pani...

W źrenicach jej odbił się znowu lęk zwierzęcy.

— Niech mi pan nie wspomina o ojcu... Jakiem prawem?

— Prawo, w tym wypadku, ma każdy...

— Więc co? Więc co? — krzyknęła, wyciągając ręce.

— Więc... ja — szepnął, i chwycił te ręce rozpaczne, bezradne.

Owionął ją żar oddechu. Odwróciła głowę, ukryła ją w poduszki.

Do jej szyi przywarły usta rozpalone.

— Nie, nie, nie! — powtarzała.

— Tak. Musisz być moją — szeptał. — Co tylko chcesz... rozwód... wyjedziemy... daleko...

Ukląkł, położył głowę przy jej głowie.

— Nie masz już nic do stracenia — szeptał — a ja cię kocham — kocham — jak młodzieniec. Ja tylko jeden.

Z obawy, że w takiej chwili może popaść w omdlenie, resztę sił traciła.

— Nie, nie, nie!

Były to nie słowa — jęk raczej.

On już nie panował nad sobą. Trząsł się cały. Siwą głowę skłaniał do jej złotego warkocza.

Próbował objąć jej ramiona. Zadrżały, jakby od mroźnego powiewu. Próbował zwrócic jej twarz ku sobie. Zasłoniła ją rękoma. I cicho, coraz ciszej, po przez palce rzucała mu to jedno słowo:

— Nie! nie! nie!

Gwałtowny opór nie mógłby go drażnić bardziej. Zapamiętywał się, już nie tylko w namiętności, lecz w gniewie na tę bezbronną, a tak trudną do zdobycia. Nachylił się, palił ją oddechem zziajanym. Uczuła na sobie rękę żylastą.

Nagle sił jej przybyło.

Zerwała się. Usiadła na łóżku, naciągnęła kołdrę coraz wyżej.

— Nie! — krzyknęła rozpacznie mocno.

— Wolisz zaprzedać duszę... Moskalowi, jak ciało mnie — syknął i chciał ją w pół chwycić.

Odsunęła się na sam kraj łóżka.

— A może wolisz... tamtego starego?... Bogatszy...

Chłośnięta obelgą, jak batem, chwyciła się rękami za głowę. I tak siedziała z oczyma wystraszonemi, kiwając się, kiwając...

...Może to już obłęd?

Patrzeć na to nie mógł. Zerwał się. Wyszedł.

. . . .

XXVI.

Słaniająca się postać zadzwoniła u drzwi dra Żelwietra.

Służący oznajmił, że przyjęcia skończone.

— Ja bardzo potrzebuję rady — rzekła bledziutka pacyentka, podnosząc na niego oczy smutne.

Stary służący znał swego pana od dziecka, wiedział, że nikt nie odchodził od jego drzwi niewysłuchany; próbował jednak zawsze bronić go przed nadmiarem pracy.

Ale jakże odprawić takie mizeractwo!

Zdjął z pacyentki futro, wskazał jej drzwi do poczekalni, już pustej.

— Musi jakaś bardzo chora, a młodzieńka — rzekł wchodząc do jadalnego pokoju.

Dr. Żelwietr był przy wieczerzy. Wstał natychmiast.

— Proś — rzekł, przechodząc do gabinetu.

Otworzyły się drzwi.

Weszła Dola.

Nie zdziwił się. Przywitał ją tak, jak gdyby na nią czekał.

— Domyśliłem się, że to pani — rzekł.

I jej nie zdziwiły te słowa. Otworzyła usta, ale nie od razu mogła z nich dźwięk wydobyć.

— Przyszłam — zaczęła wreszcie — przyszłam, bo...

— Wiedziałem, że pani przyjdzie.

— Panie, czy to prawda, że ja... utracę... przytomność?

— *On* to mówił?

Pochyliła głowę.

— Niech pan mnie zbada, niech mi pan powie, czy ja jestem jeszcze przytomna.

— Proszę usiąść, ot tu, na tej kanapie. Proszę się uspokoić, wypocząć. Pomówimy o wszystkiem.

— Bo pan nie wie, ja miałam katalepsyę, i histeryczny globus, i...

— Chyba dosyć na jedną wątłą osóbkę — przerwał jej żartobliwie.

— Panie, to okropne! okropne!

— I te wszystkie okropności objawiły się w lecznicy?

— Pan wiedział, że ja tam jestem?

— Wiedziałem.

— I pan wie, że ja jestem zgubiona?

— Wiem, że panią chcieli zgubić.

— Dlaczego mnie pan nie ratował?

— Bo sobie mówiłem: jeżeli pani jest taką, jak myślę, to się pani sama wyratuje; a jeśli pani jest inną, to ratować nie warto.

— Pan słyszał: o mnie bardzo źle mówią w Warszawie?

— Słyszałem, ale teraz nie wierzę, bo gdyby

to była prawda, paniby tutaj nie przyszła. To dobrze! To bardzo dobrze!

— Chciałabym pana jeszcze o coś zapytać, a nie śmiem.

— Skoro pani tu przyszła, trzeba mówić wszystko.

— Czy ja muszę wyjść za mąż? Czy to mnie *naprawdę* ocali od obłędu?

— I to w panią wmawiał?

— Ale czy to konieczne? Bo ja już... już chciałam — popełnić coś okropnego — ze strachu.

— Życie sobie odebrać?

— Gorzej. Umrzeć dla wszystkich swoich.

— Czy z miłości dla jednego... obcego?

— Nie. Dla zdrowia. *On*, nawet *on* powiedział, że toby zgubiło moją duszę. A mój ojciec był bohater... Więc dlatego przyszłam, żeby mi pan powiedział, czy ja *koniecznie* muszę zgubić duszę, żeby ratować ciało?

— Niech się pani uspokoi. Niech pani te krople wypije. Trzeba posiedzieć cichutko. Tak, okryć się pledem. Gdyby pani mogła zasnąć, byłoby bardzo dobrze. Proszę spróbować! Potem panią zbadam i będziemy mówili o tych... strasznych rzeczach — dodał takim tonem, jak się mówi do dziecka.

Nie łatwo jej było uspokoić się. Z początku próbowała myśli zgarnąć, próbowała zrozumieć,

co w niej jest, ale nie umiała dojść z sobą do ładu. Trapiło ją to coraz mniej, z każdą chwilą, spędzoną w tym zacisznym gabinecie. Wreszcie przestało trapić zupełnie. I sama się temu dziwiła.

O niczem nie myśleć, nie martwić się, jak to miło!

A potem zrobiło jej się jeszcze milej. Nie wiedziała, czy to sen, czy naprawdę już nie jest w lecznicy. Pamiętała jeszcze, że tam była, wiedziała jeszcze gdzie jest. A potem chciała sobie przypomnieć, co się z nią dzieje, i nie mogła. Wreszcie przestała tego chcieć i było jej z tem bardzo dobrze; ale i to poczucie spokoju w niej zamarło.

Usnęła.

Dr. Żelwietr usiadł przy biurku. Chciał czytać, wodził oczyma po jakiejś gazecie lekarskiej, przewracał stronice bardzo cichutko. Nie mógł skupić myśli.

Gazetę odłożył.

Podniósł oczy błękitne, rozumne i, naprzód ze smutkiem, potem z rozrzewnieniem, wreszcie z bezmierną tkliwością patrzył na wątłą postać, wtuloną w kąt kanapy. Patrzył, i napatrzeć się nie mógł.

Srogim był dla niej dotychczas. Ją jedną na całym świecie sądził surowo, ją jedną gotów był potępić. A teraz do siebie miał żal, a dla niej —

tem większe pobłażanie, i czułość — ojcowską niemal.

Poruszyć się nie śmiał, aby nie odegnać tej chwili — najszczęśliwszej w twardem życiu.

Patrzył i cieszył się, że patrzeć może.

On, który żył jutrem, a nawet pojutrzem, zakreślając dalekie plany działań, postanowień i dążąc do nich dzień po dniu, bez wahań — on teraz nie wiedział, co zrobi za chwilę i nie chciał się nad tem zastanawiać.

— Będzie, jak Bóg da — powtarzał sobie.

I rad był, że nie potrzebuje stanowić o tem, co przyniesie chwila blizka. Chciał u jej progu czekać jak najdłużej.

Mijały kwadranse, wydzwaniane przez stary zegar.

On siedział i patrzył.

Dola spała już godzinę, gdy wybiła dziewiąta. Głos zegara doleciał do jej uszu, jak z pod ziemi. Słyszała pierwsze jego uderzenia, nie zdając sobie sprawy skąd pochodzą; ostatnie zbudziły jej świadomość.

I od razu przypomniała sobie wszystko.

Senne powieki podniosły się i spoczęły na głowie, nachylonej znowu nad gazetą.

Słysząc, że się porusza, wstał i podszedł do niej. Wziął ją za rękę.

— Teraz zobaczymy jak jest — rzekł z wielką powagą.

...Czuła jego głowę na piersiach, na plecach. Badał ją tak samo, jak — tamten, a jednak inaczej. Nie mogła zrozumieć, na czem polega różnica, ale ją odczuwała — w tem przedewszystkiem, że ta jasna głowa, wsłuchująca się w tętno jej serca, nie wzbudzała w niej takiego wstydu i lęku, jak tamta — siwa.

Więc badania lekarskie nie są czemś nieprzyzwoitem...

Zstępował w nią coraz większy spokój, nie bała się już nawet orzeczenia z tych ust, z których dotychczas padały na nią ostre wyroki.

Skończył badanie. Przysunął fotel do kanapy. Usiadł przy niej. I nic nie mówił.

Zdjęła ją znowu trwoga.

...Może istotnie tak jest źle, jak twierdził tamten.

— Niech pani dobrze słucha i zapamięta, co powiem — odezwał się wreszcie.

— Pan mi powie prawdę.

Nie było to pytanie, lecz wyrażona pewność.

— Zwykle nic nie mówię pacyentom. Bo i poco? Chyba na to, żeby się wsłuchiwali w siebie i zwiększali tem chorobę. Skoro jednak mówiono pani tak dużo, i ja powiem, ale wpierw muszę się jeszcze wiele dowiedzieć. Niech mi pani odpowiada na pytania.

Na każde, odpowiadała skinieniem głowy, potwierdzeniem.

Była zdumiona, skąd on się mógł wszystkiego domyśleć.

W nieświadomości swej sądziła, że *ją* tylko jedną coś podobnego spotyka.

Ani razu nie omylił się w przypuszczeniach. Gdy już dowiedział się, jak było i jak być mogło, zadumał się.

Milczał długo.

. . . .

— I wtedy pani zerwała się z łóżka i przyjechała do mnie — rzekł, kończąc głośno wywody, które poczynił w myśli. — Że też panią wypuścili! — dziwił się.

Siedziała z głową spuszczoną nizko. Podniosła ją.

— Żadna siła ludzka nie zdołałaby mnie zatrzymać! — rzekła z mocą.

— Taka pani niezwalczona! — podchwycił, ogarniając ją spojrzeniem serdecznem. — Ale czy była sposobność do walki?

— Nie! — szepnęła z żalem.

W tem przyznaniu się do niespełnionego bohaterstwa był taki powab, że dr. Żelwietr musiał bardzo nad sobą panować, żeby jej nie przygarnąć do serca.

Im więcej się czuł słabym, w tem większą powagę się zbroił.

— Skończyliśmy już z pytaniami — rzekł. —

Teraz niech pani słucha uważnie i zapamięta. Nerwową pani jest bardzo. Zdenerwowaną jeszcze bardziej, a przytem anemiczną. Ale nic pani złego nie grozi. Żadnych lekarstw aptecznych, ani... innych nie trzeba, tylko atmosfery zdrowej i życiowego celu.

— I mogę być... przytomną, nie wychodząc za mąż?

— A pani za mąż wyjść nie chce?

— Dawniej chciałam... bardzo — nawet zanadto, a teraz już nie; i za nic nie chcę tak, jak wyjść mogę.

— Za tego oficera?

— Pan i to wie... Do wczoraj na myśl mi to nawet nie przyszło. Ale teraz — byle nie dom obłąkanych.

— Domu obłąkanych nie będzie dla pani. A i ten... oficer nie dla pani.

— Doprawdy! Doprawdy! — zawołała.

— Tak — potwierdził poważnie, uroczyście.

— Panie, ale czy ja nie mam tego *globusa* histerycznego? — spytała, podnosząc na niego oczy, rozpalone jeszcze gorączką.

— Nie — zaprzeczył, omijając ten wzrok, który go trzeźwości pozbawiał.

— A jednak mnie coś naprawdę podchodziło do gardła.

— Imaginacya: on zapowiadał z góry sym-

ptomaty, które się potem zjawiały, przez autosuggestyę.

— A omdlenia kataleptyczne nie wrócą? — pytała coraz śmielej.

— Nie, bo ich wcale nie było.

— Jednak mdlałam trzy razy.

— Ze zwyczajnego osłabienia.

— Więc wszystko, co *on* mówił, było kłamstwem?... Ale to chyba prawda, że każdy ma obowiązek być szczęśliwym.

— Człowiek ma obowiązek — cierpieć.

— *To* znowu mówił mi mój ojciec.

— Pani go słuchać nie chciała?

— Bo chciałam koniecznie być szczęśliwą.

— Aż: *koniecznie*. I ze skutkiem?

— Nie.

— Dlaczego?

— Spowiednik mówi, że *ja* sama jestem winna.

— Czy pani była... czy pani jest zakochana?

— Byłam... bardzo...

— Już minęło?

— Czasem jeszcze wraca... we śnie.

— A na jawie o czem pani myśli najwięcej?

Zarumieniła się.

— Nie może pani powiedzieć? To już chyba o miłości.

— Teraz daleko mniej — szepnęła. — Odarli mnie ze złudzeń. Już miłość wydaje mi się czemś wstrętnem.

— Nie, pani, miłość jest piękna. Ale trzeba umieć kochać.

— Spowiednik twierdził, że nie umiałam. Ale on się mylił.

— Sądzę, że miał słuszność. Kochać, to rzecz nie tak łatwa, jak się wydaje... Na to nie potrzeba chorobliwej fantazyi, ani marzeń, ani upojeń. Trzeba umieć o sobie zapomnieć. Czy pani potrafi?

— Dotychczas ciągle tylko o sobie myślałam.

Już nie uciekał przed jej oczyma. Spojrzał w nie prosto, badawczo, a gdy je spuściła, patrzał jeszcze na spuszczone powieki i na cień padający od rzęs długich.

— W pani jest dusza, ale uśpiona — rzekł po długiej chwili, więcej do siebie, niż do niej. — Czy pani ją da obudzić?

— A będzie mi z tem lepiej?

— Będzie jaśniej, zdrowiej. Ale trzeba tego chcieć. Czy pani chce?

— Nie tak mocno, jakbym pragnęła.

— A czego pani teraz pragnie najbardziej?

— Niczego, nawet śmierci, choć wiem, że dla mnie w życiu szczęścia niema.

— Jest tyle innych pięknych rzeczy.

— To dziwne: pan, o tyle młodszy od mego ojca, a zdaje mi się, jak gdybym słyszała jego.

— Pani z usposobienia do ojca niepodobna. Czy do matki?

— Także nie. Oboje byli rozumniejsi i szlachetniejsi odemnie — choć...

— Choć co?

— Choć... słyszałam nieraz — pan wie od kogo — że mnie bardzo źle wychowali... a nawet, że to zbrodnia puszczać w świat dziewczynę bez... żadnych wiadomości o życiu...

— Jednak pani dała sobie rady...

— Bardzo źle... a i nikomu nic ze mnie nie przyszło.

— To właśnie dobrze — zawołał, uśmiechając się mimowoli.

— Jak pan tak może mówić — pan?

— Dobrze się stało, powtarzam, że z pani nie było pożytku dla ludzi złych. Gdyby wychowano panią inaczej, byłaby pani podatniejsza dla ich zamierzeń.

— Byłabym odgadła je wcześniej, nie szłabym poomacku.

— My wszyscy tak chodzimy po świecie, wszyscy szukamy drogi, a kto jej sam nie znajdzie, wart mało. Dlatego nie chciałem pani ratować. Najłatwiej nauczyć się pływać, wskakując głową naprzód do wody.

— Można przytem utonąć.

— Zapewne, ale kto wypłynie na powierzchnię, ten zabezpieczony od utonięcia raz na zawsze.

— Nie, raz tylko. Jabym się już nie mogła

zdobyć na drugi taki wysiłek. Wiem, że będę zawsze wobec życia słaba. Więc może doprawdy źle zrobili, wychowując mnie pod kloszem?

— Nie to panią gubiło, że pani była skromna, lecz to, że pani była bierna. I jedno jeszcze: że nie dano pani wyższego ideału... A nie rozumiem właśnie, jak córka takiego ojca...

— Niech pan źle o moich rodzicach nie myśli. Oni robili, co mogli. I nie słyszałam nigdy o miłości od nich — ale od niani, od panny służącej i czytałam dużo ukradkiem... To nie wina rodziców — nie! Już taka brzydka naturą.

Uśmiechnął się pod wąsem.

— Nic we mnie dobrego niema — dodała z przekonaniem głębokiem.

— Jest — zaprzeczył żywo. — Tylko trzeba wyjść naprzeciw tego dobra.

— Nie potrafię. Sił nie mam.

Wpatrywał się w jej bladą twarzyczkę.

Była przeźroczem o tafli podwójnej: odbijało się na niej i to, co było wewnątrz duszy i to, co na nią padało zzewnątrz.

Długo nic nie mówił, tylko patrzał na to przeźrocze. Odgrodziła się od niego powiekami, a choć oczy mówić przestały, mówiły usta milczące, i światła, i cienie, kładące się na jej twarzy.

I tak, w ciszy, nawiązywało się między nimi porozumienie. On ją przenikał do głębi, a ona

czuła, że mógłby stać się dla niej ostoją i wybawić ją nie tylko od złych ludzi, ale od jej własnej bezsilności.

Czy zechce?

Na jej drodze po raz pierwszy stawał człowiek dobry — prawdziwie dobry. Czuła to całą sobą i w tem poczuciu znajdowała spokój i radość.

Zapomniała zupełnie, że oboje milczą, tak żywa była rozmowa dusz, i zdziwiła się, gdy on wreszcie się odezwał.

— Jakież pani ma projekty na przyszłość? — zapytał.

— Układałam rozmaite, leżąc w łóżku — odpowiedziała. — Myślę wyjechać na Pobereże — do jednych państwa, u których byłam nauczycielką. Bardzo mnie lubią i niedawno właśnie pisali, że gdyby mi było źle, mogę wrócić. W Warszawie być nie chcę i nie mogę. Dostałam dymisyę w »Brzasku«.

— Wiem.

— I to także?

— I to. Teraz wiem już o pani wszystko. Pani jest przeźroczysta — mówił jakby do siebie. I znowu zamyślił się.

— Już teraz się pani nie boję — rzekł po chwili.

Podniosła oczy.

— Mnie jeszcze nigdy nikt się nie bał — rzekła zdziwiona.

— A jam się bał i dlatego stałem na uboczu. Teraz wiem, jaka pani jest, i już mi nie strach.

W tej chwili zegar wybił dziesiątą.

Zerwała się zdziwiona.

— Tak późno! — rzekła. – Dorożkarz z kufrem czeka na dole. Dziękuję panu... bardzo i bardzo. A teraz pojadę do cioci Józi.

— Do panny Jabłonowskiej odeszlę panią ze służącym. Ale pani nie pojedzie na Pobereże — tylko na Litwę, do Nowotrzeb, do matki.

— Nie, to niemożebne. Moja matka nie jest u siebie.

— Jest. I pani pojedzie — tam.

Mówił głosem stanowczym, choć miękkim, a ona, jak zwykle bierna, nie wdrożona do stawiania własnej woli w poprzek cudzej, gotowa już była uznać jego władzę.

— Pani musi pozostać kilka dni u ciotki dla nabrania sił — zadecydował.

— Zrobię jej kłopot.

— To trudno. Inaczej nie można.

— W przyszłym tygodniu pojedzie pani do Nowotrzeb na odpoczynek.

— Długo tam bawić nie mogę — broniła się.

— Zabawi tam pani miesiąc, może dwa... potem przyjadę po panią i przywiozę tutaj.

— Do Warszawy? Za nic. Tutaj dla mnie miejsca niema.

— Będzie. Przywiozę panią tutaj — do tego mieszkania — do mnie.

Mówił to spokojnie, stanowczo.

Ona się podniosła, oparła się o poręcz kanapy i stała tak nachylona, przybita jakby temi słowami, które w nią uderzyły silnie i nagle.

— Tutaj? — powtarzała — tutaj?

— Jeżeli pani zechce — jeżeli zechcesz, Dolu, być moją żoną.

Wziął ją za obie ręce i posadził znowu przy sobie.

...Czy dobrze słyszała? Tak. Ślad słów został na jego twarzy wzruszonej.

I nagle zdało jej się, że o tem wie od dawna i że od dawna ma w duszy spokój i nadzieję, obudzoną temi słowami.

Siwe, marzące źrenice rozbłysły i obwieściły jej radość wewnętrzną.

Mówiły mu:

...Nikt dla mnie dobrym nie był — ty pierwszy!

Czytał w nich te słowa, tak jak gdyby mu wpadały do ucha.

Przed godziną jeszcze byli sobie dalecy, a teraz nie dziwno im było, że są tak blizcy.

On teraz dopiero czuł, że do tego dojść musiało.

A ona miała takie wrażenie, jak gdyby całe jej życie do tej chwili było nie jej własnem, lecz cudzem, oddzielonem od niej przepaścią; jak

gdyby wszystkie łzy i zawody zmywała jakaś fala ciepła. I zdało jej się, że obawa przed ludźmi i jutrem odpływa, a ona stoi na jakimś brzegu słonecznym, stoi przy nim i niczego się już nie boi, ona, która przez całe życie bała się wszystkiego.

— Dziękuję, dziękuję — szepnęła.

On drgnął.

— Czemu to mówisz? Tak ci mówić nie wolno — rzekł z wyrzutem.

— Bo nikt jeszcze — nikt nie był dla mnie taki.

— Ty, *biednieńka* — szepnął — dużo, dużo nauczyć się musisz.

— Ale czy ja się nauczyć potrafię? — spytała z budzącym się niepokojem.

— Musisz tego chcieć i — kochać.

— To, ja już umiem.

— Tak ci się zdaje — rzekł, patrząc na nią ze smutkiem.

— A ja, czy jestem... kochana? — spytała słodko.

— Czy to trzeba koniecznie mówić? — rzekł, jak do dziecka, z perswazyą.

Wysunęła rękę z jego dłoni. Obawa zamroczyła jej radość. Wyczytał to na twarzy przejrzystej.

— Mów, mów wszystko, co myślisz, co czujesz, nie bój się.

— Nie będę się bać — rzekła, podnosząc na niego oczy ufne. — Ja panu jestem bardzo wdzięczna — ale pan pewno z żalu nademną... z litości. To za wielka ofiara. Nie mogę jej przyjąć. A zresztą ja jestem nie taka, jak pan myśli i nie wiem, czy potrafię kiedy być taką, jak pan chce... W pierwszej chwili ucieszyłam się bardzo, bo myślałam, że pan mnie kocha, ale teraz... boję się znowu. Nie chcę litości tylko...

— Słuchaj — rzekł poważnie. Wziął ją za obie ręce, odsunął od siebie i patrzał w jej oczy prosto, przenikliwie. — Słuchaj, Dolu — powtórzył — i zapamiętaj: ja pięknie mówić nie potrafię. Jam nie trubadur, i nie na gruchanie cię biorę. Ja biorę ciebie — sobie — na życie — na bój.

Powrotną falą oblała ją trwoga.

— A ja życia się boję. Walka nie dla mnie. Chcę być bardzo kochaną i słyszeć o tem często, i sama chcę kochać, i o tem mówić.

Przyznawała mu się do tego, jak do winy, w jego badawczem spojrzeniu topiąc oczy wylękłe.

Przyciągnął ją do siebie, położył jej główkę na swem ramieniu i gładził ją po włosach, po twarzy.

— Więc dobrze? — pytał. — Chcesz mnie takim, jak jestem?

Ciężkie powieki opadły. Usta zadrżały.

— Chcesz? Zgadzasz się? — nalegał.

— Tak — szepnęła — zgadzam się.

Obie jej ręce do ust podniósł.

— Bierzesz takiego nudziarza?

— Biorę takiego dobrego... Biorę dlatego właśnie, żem takiego dobrego nie warta — że jestem słaba i samolubna...

Nie dał jej oskarżać się dłużej. Ujął oburącz złotą głowę, chylącą się na jego ramię.

— Podnieś oczy — prosił ją głosem cichym, dobrym.

A gdy spojrzała na niego radośnie i słodko, uczuł się bezsilnym, i przeląkł się.

Brał ją na bój z życiem. Chciał krzepić jej wolę, uczyć ją lepszej miłości, a zaczynał obawiać się, że ona nauczy go swojej, że nie on rozszerzy jej widnokrąg, lecz ona jego horyzont zacieśni.

Bał się coraz więcej tego bezbronnego stworzenia a wyrzec go się już nie mógł. I nie chciał.

Ten lęk zasłonił mu twarzyczkę rozmarzoną i rozmarzającą.

Ona to odczuła. Ręce jej zadrżały w jego dłoni i zbladły usta, rozchylone do pocałunku.

W obojgu była trwoga, lecz w obojgu powstawała moc, niwecząca wszelkie obawy. Kruszyła hart jego woli i kuła broń, którą słabość zwycięża siłę.

Ta moc nad mocami zacieśniła uścisk ich rąk, potem zbliżyła ramiona, a potem usta.

On przestał być apostołem idei, ona przestała być niewolnicą pokorną i wdzięczną. Oboje przestali rozważać, jak im będzie ze sobą.

Teraz było im tak, jak bywa, gdy po raz pierwszy, dwoje ludzi jednocześnie uczuje, że miłość zespala ich na dobrą lub złą dolę.

Warszawa 30 października 1908 r.